ZAGASŁE ŚWIATŁO.

Rzych

ZAGASŁE ŚWIATŁO

PRZEZ

Rudyarda Kiplinga

przetłómaczyła z angielskiego

Eugenia Żmijewska.

Dodatek do „Słowa“.

WARSZAWA
DRUKIEM NOSKOWSKIEGO
11 ulica Mazowiecka 11.

1893.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 26 Декабря 1892 года.

ROZDZIAŁ I.

— Jak myślisz, coby nam zrobiła, gdyby nas złapała? Nie wolno nam się tak bawić, nieprawdaż — mówiła Maisie.

— Hm! Coby nam zrobiła? Mnie by wybiła, a ciebie zamknęłaby w swoim sypialnym pokoju — odpowiedział Dick bez namysłu. — Czy masz nabojeć?

— Tak, mam je w kieszeni, ale trą się okropnie. Czy naboje same przez się mogą wystrzeli?

— Nie wiem. Jeśli się boisz, weź rewolwer, a ja będę niósł naboje.

— Ja się wcale nie boję — odpowiedział Maisie, wsuwając rękę w kieszeń i z zadartą do góry główką kroczyła butnie naprzód. Dick szedł za nią, niosąc mały kieszonkowy rewolwer.

Przed miesiącem już dzieci uznały, że ich egzystencya jest nieznośną i że należy ją urozmaicić... strzelaniem do celu.

Po wielu namysłach i prywacyach, Dick zaoszczędził siedm szylingów i sześć pensów, za co można dostać rewolwer najgorszej belgijskiej konstrukcyi.

Maisie do syndykatu owego przyłączyła się z pół gwineą zaledwie — i kupiła nabojów.

— Ty umiesz lepiej odemnie oszczędzać — mówiła do Dicka. — Ja bo lubię łakotki. Zresztą to rzecz chłopców składać pieniądze.

Dickowi takie zapatrywanie nie przypadało do smaku, zrobił jednak pożądane sprawunki, które dzieci miały właśnie wypróbować.

Zabawy podobne nie wchodziły w zakres codziennego ich życia, regulowanego przez opiekunkę, która miała jakoby zastępować matkę tym dwojgu sierotom, z czego wywiązywała się jaknajgorzej.

Dick znajdował się pod jej pieczą już od lat sześciu; przez ten czas korzystała z funduszów, przeznaczonych na jego odzienie, i częścią bezmyślnie, w części zaś przez wrodzoną chęć dokuczenia — dodać tu musimy, że była wdową w pewnych latach, żądną powtórnych związków — zatruwała mu młode życie, którego brzemię ciężyło już bardzo jego młodocianym barkom.

Zamiast miłości macierzyńskiej, której był żądnym, dawała mu najprzód lekceważenie i obojętność, a potem nienawiść.

Gdy, podrósłszy, szukał u niej przyjaźni, obdarzyła go naigrawaniem.

Godziny, zbywające jej od zajęć około małego gospodarstwa, poświęcała tak zwanemu przez siebie „kształceniu“ Dicka Heldar.

Wszczepiała w niego zasady wiary, opartej nie na miłości do Stwórcy, lecz jedynie na odmawianiu psalmów; przekładała mu wciąż, że Bóg go nienawidzi za jego nieprawość, i zamiast wzbudzać i podsycać, tłumiła jedynie religijne jego uczucia, rozwijając w nim wszystkie wady, których początkowo nie posiadał, choć go wciąż o nie pomawiała.

Z natury nie miał wcale usposobienia do kłamstwa, lecz obawa kary popchnęła go na drogę fałszu i obłudy; stał się skrytym, nigdy wprawdzie nie popełnił najmniejszego nawet kłamstwa bezcelowego, lecz nie zawahał się również przed najpotworniejszem, jeśli się spodziewał, że może szare jego życie uczynić znośniejszem.

Niesprawiedliwość i zawziętość mistress Jennett nauczyły

go szukać odosobnienia, co mu się bardzo przydało, gdy poszedł do szkół, a koledzy wyśmiewali się z jego nędznego, połatanego ubrania.

Na czas wakacyj wracał znowu pod ferułę mrs. Jannett, która dla zaznaczenia, iż władza jej nad nim nie osłabła, na wstępie prawie witała go chłostą.

Pewnego roku, jesień przyniosła mu towarzyszkę niedoli, długowłosą, siwooką Kruszynę, również skrytą jak i on, która prześlizgiwała się po domu, jak cień i przez pierwsze tygodnie otwierała usta li tylko do kozy Amomy, jedynej swojej na świecie przyjaciółki, pasącej się w ogrodzie po za domem.

Z początku mrs. Jannett kozy tej trzymać nie chciała, lecz marna kruszynka stawiła opór.

— Jeśli tak — rzekła — to napiszę do mojego adwokata i powiem mu, że pani bardzo zła. Amoma jest moją, moją, moją!

Mrs. Jannett szła już do sieni, gdzie stały w kącie parasole, laski i tym podobne narzędzia tortury.

Kruszyna zrozumiała, również dobrze, jak i Dick, co to zapowiada.

— Nieraz już byłam bita — rzekła spokojnym głosem. — i to mocniej daleko, niż pani potrafisz. A jeśli mnie się dotkniesz, napiszę do mojego adwokata i powiem, że mi zamało jeść dajesz. Nie boję się wcale.

Mrs. Jannett do sieni nie poszła, a Kruszyna, przekonawszy się, że minęło wszelkie niebezpieczeństwo, wybiegła do ogrodu, aby się wypłakać na grzbiecie Amomy.

Dick dowiedział się niebawem, że Kruszynie na imię jest Maisie i z początku obdarzał ją wielką nieufnością, w obawie, aby nie krępowała resztki swobody, jakiej mu wolno było używać.

Obawy okazały się jednak bezpodstawnemi; dziewczynka trzymała się także zdaleka.

Lecz zanim wakacye dobiegły kresu, dzielone wspólnie

kary zespoliły tę parę sierot, połączonych bodaj wspólnemi usiłowaniami okłamywania mrs. Jannett.

Gdy Dick miał już do szkoły powracać, Maisie szepnęła mu na ucho:

— Teraz pozostaję sama i muszę sama sobie radzić, lecz— tu wstrząsnęła butnie główką — lecz umiem to doskonale. Obiecałeś przysłać Amomie obrożkę. Przyszlij ją prędko. Nie zapomnij.

W tydzień potem przypomniała mu listownie tę obietnicę, domagając się, aby ją wypełnił przez odwrotną pocztę, i bardzo się zasępiła, dowiedziawszy się, że obróżka jeszcze nie gotowa. A gdy wreszcie Dick posłał jej tak pożądany upominek, zapomniała mu nawet podziękować.

Wiele wakacyj nadeszło i upłynęło od dnia owego; Dick wyrósł na dużego chłopca i bardziej niż kiedykolwiek cierpiał nad swojem połatanem ubraniem.

Mrs. Jannett nie zmieniła systemu swej opieki, lecz szkolna feruła — Dick karany bywał conajmniej cztery razy na miesiąc — natchnęła go pogardą dla jej władzy.

— Mnie nie boli, jak ta jędza bije — tłómaczył Maisie, która go namawiała do buntu — a lepsza jest zawsze dla ciebie, gdy złość swoją na mnie skrupi.

Dick wzrastał w zaciętości, oddając słabszym, co sam wziął od mocniejszych; doświadczali tego na swej skórze jego towarzysze szkolni.

Nieraz nawet próbował dokuczyć Maisie, lecz dziewczyna nie dawała się gnębić.

— I tak już oboje jesteśmy nieszczęśliwi — mówiła. — Po cóż więc sobie dokuczać? Daleko lepiej wymyślmy razem jaką zabawę i starajmy się zapomnieć, że nam jest niedobrze na świecie.

Wynikiem tych poszukiwań rozrywki był — rewolwer.

Mogli nim się bawić jedynie w najdalszem ustroniu zatoki, za łazienkami kąpielowemi, poniżej okrytych trawą stoków fortu Keeling.

Podczas przypływu, morze zalewało brzegi, pozostawiając po ustąpieniu, silny zapach zielsk.

Dawno już było popołudniu, gdy Dick i Maisie dotarli do zwykłego miejsca zabawy, Amoma dreptała za nimi.

— Uf! — zawoła Maisie, wchłaniając świeże, ożywcze powietrze. Dlaczego morze tak pachnie. Nie lubię tego zapachu.

— Ty nie lubisz wszystkiego, co nie jest przeznaczone dla ciebie wyłącznie — odparł gorzko Dick. — Daj mi tymczasem naboje, spróbuję strzelać. Ciekaw też jestem, jak daleko niesie taki rewolwer.

— Oh! zapewne na pół mili — zawołała Maisie stanowczo. — W każdym razie robi dużo hałasu. Bądź ostrożny z nabojami, bądź ostrożny, powiadam ci.

— Dobrze. Wiem przecież, jak się obchodzić z bronią. Strzelę ot tam, na lewo w trawy.

Wystrzelił, Amoma odbiegła przestraszona.

Kula oderwała kawałek błota, na prawo od wskazanego zielska.

— Dołuje trochę i znosi na prawo — objaśniał Dick tonem znawcy. — Spróbuj teraz ty, Maisie. A uważaj, bo nabity co do jednego ładunku.

Maisie wzięła do rąk rewolwer, odeszła trochę na bok, nad sam brzeg i celowała ręką pewną, przymrużywszy lewe oko i usta mocno ścisnąwszy.

Dick usiadł na kępce traw i śmiał się.

Amoma powracała bardzo ostrożnie.

Przyzwyczajona była do najrozmaitszych doświadczeń w czasie poobiednich wycieczek; widząc, że nikt nie pilnuje pudełka z nabojami, wetknęła weń pyszczek ciekawy.

Maisie strzeliła, lecz dojrzeć nie mogła, gdzie utkwiła kula.

— Zdaje mi się, że w sam cel trafiłam — rzekła, jednak przysłaniając ręką oczy.

— Widziałem, że przeleciała przez Marasion Buoy — zaśmiał się Dick. — Celuj niżej i bardziej na lewo, to może

i trafisz. Oh! ale spojrzyj-no na Amomę, zjada nam naboje, niecnota!

Maisie odwróciła się, z rewolwerem w ręku i ujrzała Amomę uciekającą przed kamykami, które na nią Dick ciskał.

Niema nic nietykalnego dla kozy. Obficie odżywiana przez swoją panią, ulubienica jej Amoma, uznała za rzecz zupełnie naturalną połknąć dwa naboje.

Maisie podbiegła do pudełka, aby się przekonać, czy Dick jej nie zwiódł.

— Istotnie, dwóch braknie — zawołała. — Przebrzydłe stworzenie! Teraz naboje wystrzelą z niej i rozszarpią ją na drobne kawałki. Dobrze jej tak.... Oh! Dick czy ja cię nie zabiłam! Powiedz.

Młode, niedoświadczone ręce nie umieją obchodzić się z rewolwerem.

Maisie, wymachując nim, strzeliła niechcący.

Obłok gęstego dymu zakrył nagle Dicka przed jej oczyma. Z po za dymu doleciało ją niewyraźne bełkotanie.

Podbiegła do towarzysza i upadła przed nim na kolana, z głośnym lamentem.

— Dick, czy jesteś raniony? Powiedz. Ja doprawdy nie chciałam.

— Ma się rozumieć — odparł Dick, przychodząc do siebie i obcierając z dymu policzek. — Ale o mało co nie pozbawiłaś mnie wzroku. Pfu! jak ten proch śmierdzi!

Stal, połyskująca na szarem tle skały wskazywała, gdzie kula utkwiła.

Maisie gotowa była do płaczu.

— Daj pokój — zawołał Dick, zrywając się na równe nogi i otrząsając z piasku. — Powiadam ci przecie, że mnie nic a nic nie boli.

— Ale mogłam cię zabić — szeptała Maisie, a kąty jej ust osuwały się nadół. — I cóżbym wtenczas zrobiła?

— Poszłabyś do domu i powiedziała mrs. Jannett. — Dick zaśmiał się szyderczo na tę myśl; po chwili łagodniej już do-

dał: — Proszę cię, nie martw się. Zresztą czas tracimy. Trzeba już powracać na herbatę. Teraz ja wezmę rewolwer.

Maisie byłaby się rozpłakała przy najlżejszej zachęcie, lecz obojętność Dicka powstrzymała ją od wybuchu żalu.

Chłopak, choć cały wzburzony, nie pokazywał tego po sobie; drżącą ręką podniósł z ziemi rewolwer.

— Daj mi jeszcze spróbować — rzekła Maisie — przyszłam już zupełnie do siebie.

Strzelali po kolei; niewiele brakło, aby lichy rewolwer nie roztrzaskał się na kawałki.

Tymczasem odegnana Amoma skubała trawę opodal, nie mogąc zapewne zrozumieć, dlaczego rzucano na nią kamieniami.

Dzieci znalazły kawałek blachy i uradowane wzięły ją za cel, strzelając doń po kolei.

— Na przyszłe wakacye — mówił Dick — kupimy lepszy rewolwer, taki, który będzie niósł dalej.

— Dla mnie nie będzie już „przyszłych" wakacyj — odparła Maisie. — Wyjeżdżam ztąd.

— Gdzie?

— Sama nie wiem. Adwokat mój pisał do mrs. Jannett, że mam pobierać nauki gdzieś we Francyi, nie wiem dokładnie gdzie, ale rada jestem, że się ztąd wydostanę.

— Ja wcale rad nie jestem. Zapewne będę musiał tu zostać. Powiedz, Maisie, czy doprawdy odjedziesz? Więc to ostatnie wakcye, spędzone razem. Potem już cię nigdy nie zobaczę. A wracam już do szkoły na przyszły tydzień. Chciałbym....

Młoda krew zarumieniła mu policzki.

Maisie wyskubywała kępki traw i zrzucała je z pochyłości do wody.

— Chciałabym — mówiła po długiem milczeniu — chciałabym widywać cię od czasu do czasu. Czy i ty chciałbyś?

— Tak, ale szkoda, że... że trafiłaś w skałę, a nie tu — wskazywał na swe czoło.

Maisie przez chwilę patrzała na niego zdumionemi oczyma.

Czyż to był doprawdy ten sam chłopiec, który przed dziesięciu dniami, ozdobił rogi Amomy strzępionym papierem, podając ją na śmiech całej osady.

Powieki dziewczęcia opadły, na twarz wystąpiły rumieńce: nie, to był inny zupełnie chłopiec.

— Oh! brzydki samolub! — rzekła z wybuchem, charakteryzującym jej naturę. — Pomyśl tylko, jakieby to było dla mnie okropne, gdybym cię zabiła. I tak już jestem dość nieszczęśliwą.

— Dlaczego? Czy, że odjeżdżasz od mrs. Jannett?

— Nie.

— Więc może dlatego, że odjeżdżasz odemnie?

Przez dłuższą chwilę nie było odpowiedzi.

Dick nie śmiał spojrzeć na Maisie. Czuł, choć sprawy sobie z tego nie zdawał, jak miłemi były dla niego te cztery lata, spędzone razem, a czuł to tem silniej, iż nie mógłby uczuć swych w słowach wyrazić.

— Nie wiem — odpowiedziała. — Przypuszczam, że tak.

— Maisie, ty musisz wiedzieć. *Ja* nie przypuszczam.

— Chodźmy do domu — rzekła tchórzliwie.

Lecz Dick nie myślał o powrocie.

— Ja nie umiem mówić ładnie — rzekł — ale mi bardzo przykro, żem ci dokuczał wczoraj. Teraz, to już będzie zupełnie co innego, ty to rozumiesz, co? Powinnaś mi była sama powiedzieć, że ztąd odjeżdżasz, zamiast dać mi się domyśleć.

— Nie domyśliłeś się przecież, ja ci powiedziałam pierwsza. Oh! Dicku, po co ty mi dokuczasz?

— Albo ja wiem, zresztą, to nie dokuczanie. Byliśmy razem tyle lat a nie wiedziałem dotąd, że cię tak bardzo lubię.

— Nie wierzę, abyś doprawdy mnie lubił.

— Bo dawniej nie lubiłem, a teraz lubię okropnie. Maisie — szepnął — Maisie, najdroższa, powiedz, że i ty także mnie lubisz.

— O! tak, lubię cię, lecz to się na nic nie zda.

— Dlaczego?

— A no, bo odjeżdżam już.

— Tak, ale przedtem musisz mi coś obiecać. Powiedz tylko: tak.

Po raz wtóry słowo: „najdroższa“ wyśliznęło się z ust Dicka, a tym razem łatwiej daleko niż pierwszym.

W ciągu krótkiego swego życia nie słyszał nigdy, ani od mrs. Jannett, ani w szkole, słów pieszczotliwych; teraz odnajdywał je sam instynktowo.

Ujął drobną rączkę, osmoloną prochem.

— Obiecuję — rzekła uroczyście Maisie — ale jeśli cię lubię, to po co obiecywać.

— A więc lubisz?...

Po raz pierwszy w ciągu tej rozmowy oczy ich spotkały się i dopowiedziały tego, co usta nie umiały wyrazić.

— Oh! Dick, daj pokój, proszę cię. Co innego na dzień dobry i dobranoc, ale teraz, to zupełnie, zupełnie inaczej....

Amoma przyglądała się z oddali.

— Nieraz już widziała tych dwoje kłócących się ze sobą, lecz po raz pierwszy patrzała na ich pocałunki.

Bardziej snać doświadczonemi były trzciny nadbrzeżne, bo tylko kiwały głowami.

Pocałunek to był niezgrabny, lecz że pierwszy i zupełnie inny niż dawane dotychczas, z obowiązku, otworzył przed oczyma dzieci nowe światy, a właściwie rzucił zasłonę na świat cały i siedzieli tak, ręka w rękę, nic do siebie zgoła nie mówiąc.

— Teraz już zapomnieć nie możesz — szepnął wreszcie Dick.

Policzki jego pałały ogniem, nietylko od oparzenia.

— I tak bym nie zapomniała — odparła Maisie. Spojrzeli znowu na siebie i zobaczyli, że każde z nich jest zupełnie inne, niż przed godziną, a cudu tego oboje w żaden sposób zrozumieć nie mogli.

Słońce chowało się już za wodę, ostry wiatr dął od morza.

— Spóźnimy się na herbatę — rzekła Maisie. — Wracajmy już do domu.

— Nie, trzeba wpierw wystrzelać resztę nabojów — mówił Dick i poważnie bardzo sprowadzał towarzyszkę po stoku fortecznym nad brzeg, choć sama mogła zbiedz w kilku podskokach.

Maisie z niemniejszą powagą wzięła jego osmoloną rękę.

On się pochylił; odgadła, co chce zrobić i swoją rękę cofnęła.

Dick się zarumienił.

— Bardzo tu ładnie — rzekł, ot, aby coś powiedzieć.

— Tak! — rzekła Maisie z uśmiechem zadowolnionej próżności.

Stała tuż przy Dicku podczas gdy nabijał rewolwer, a on miał takie uczucie, jak gdyby własną swą piersią osłaniał ją od wszelkich niebezpieczeństw świata tego.

Blask zachodzącego słońca ubierał tych dwoje dzieci w purpurę, kładł im złote korony na głowę.

Byli teraz panami świata, władcami.

Dick, olśniony, patrzał na to światło jaskrawe, jak na cud z nieba, a cud był taki: że on stał przy boku Maisie, która obiecała lubić go długo, bardzo długo, aż dopóki....

Powiew wiatru rzucił mu na twarz czarny warkocz dziewczyny i świat mu cały zasłonił, więc nie dziw, że w oczach mu pociemniało i że do celu nie trafił.

Kula wpadła w wodę.

— Nie mamy już nabojów — rzekł Dick — trzeba biedz do domu.

Nie biegli jednak, ale szli powoli, trzymając się za ręce.

Obojętne im było, czy Amoma, z dwoma nabojami we wnętrznościach, wybuchała, jak naładowany rewolwer, czy też za nimi biegła, albowiem otworzyło się przed nimi złote dziedzictwo i szafowali skarbami temi z rozwagą, właściwą ich wiekowi.

— A ja będę... — zaczął Dick butnie, lecz urwał. — Nie

wiem jeszcze sam, czem będę. Nie zdam zapewne ostatecznego egzaminu, ale za to umiem robić doskonałe karykatury profesorów. Ho! ho!

— A więc bądź artystą — zawyrokowała Maisie. — Śmiejesz się zawsze ze mnie, kiedy próbuję rysować, a tobie samemu zdałoby się to bardzo.

— Nie będę już się nigdy śmiał z tego, co ty robisz — odparł. — Zostanę artystą.

— Artyści potrzebują zawsze pieniędzy, nieprawdaż?

— Mam moich własnych sto dwadzieścia funtów rocznie. Opiekunowie mówili mi, że je dostanę, jak dojdę do pełnoletności. Wystarczy na początek.

— Oh! ja jestem bogata — mówiła Maisie. — Jak skończę lat dwadzieścia jeden, będę miała trzysta funtów rocznego dochodu. Dlatego to mrs. Jannett lepszą jest dla mnie, aniżeli dla ciebie. Chciałabym jednak mieć kogoś, ktoby należał do mnie wyłącznie — naprzykład ojca albo matkę.

— Ja należę do ciebie — rzekł Dick — na zawsze i zawsze.

— Tak, należymy do siebie. Jak to przyjemnie!

Przytuliła się do jego ramienia. Otaczająca ciemność dodawała im odwagi.

Dick widział tylko, jak przez mgłę, delikatny profil Maisie, więc ośmielony, zdobył się wreszcie wypowiedzieć słowo, które już od dwóch godzin dławiło go, nie mogąc mu przejść przez gardło.

— Wiesz, że ja cię kocham, Maisie — rzekł szeptem, a zdało mu się, że szept ten, zabrzmiał echem po świecie całym, po owym świecie, który postanawiał zdobyć przebojem.

Straszna wynikła scena, gdy dzieci do domu wróciły.

Mrs. Jannett wpadła z wielkim gniewem na Dicka, najprzód za to, iż na czas się nie stawił, powtóre, iż omal się nie zabił, i że używał broni, co mu było srogo wzbronionem.

— Bawiłem się rewolwerem i sam wypalił — wykręcał się Dick, gdyż mając policzek oparzony, nie mógł wyprzeć

się winy zupełnie. — Oh! chce mnie pani wybić! Hola. Nie pozwolę się już dotknąć, nigdy, nigdy! Siadaj pani i dawaj nam herbatę; nie myśl, że nas wykwitujesz z podwieczorku.

Maisie nie odzywała się ani słowem, ale zachęcała Dicka oczyma.

Przez cały wieczór zachowywał się względem swej opiekunki szkaradnie.

Mrs. Jannett przepowiadała mu potępienie wiekuiste, lecz on tymczasem pławił się w rajskiej szczęśliwości i nie słuchał wcale jej złorzeczeń.

Gdy miano się rozejść na spoczynek, Dick powiedział Maisie dobranoc zdaleka, trzymając oczy spuszczone.

Zwróciło to uwagę mrs. Jannett.

— Jeśli nie jesteś gentlemanem — rzekła urągliwie — powinieneś przynajmniej zachować się, jako taki. Znowu więc pokłóciłeś się z Maisie.

Była to aluzya do tego, iż Dick nie pocałował towarzyszki swej na dobranoc, jak zwykle.

Maisie, blada i drżąca, nastawiła policzek z wyrazem najwyższej obojętności, Dick dotknął go zaledwie ustami i cały zarumieniony wybiegł z pokoju.

Nocy tej miał sny dziwnie burzliwe.

Śniło mu się, że świat cały zdobył na własność i przyniósł go Maisie w pudełku od nabojów, lecz odtrąciła je nogą i zamiast powiedzieć: „Dziękuję,“ rzekła tylko:

— Gdzie jest obróżka mosiężna, którą obiecałeś dla Amomy! Oh! jaki z ciebie samolub!

ROZDZIAŁ II.

— Nie przeklinam angielskiej publiczności, lecz życzyłbym, aby parę tysięcy osobników z jej łona spadło nagle pomiędzy te skały. Wówczas nie tak może gwałtownie dopominaliby

się o wiadomości z planu boju w dziennikach porannych. Czy możesz sobie wyobrazić czcigodnego „Lubownika Prawdy,“ „Stałego Prenumeratora,“ „Ojca rodziny“ i tym podobnych czytelników, drepczących po takim oto rozpalonym piasku....

— Z niebieskim welonem u kapelusza i poszarpanym na strzępki garniturem nankinowym. Czy ma kto tutaj igłę? Oto kolana wylazły mi już ze spodni.

— Mogę ci pożyczyć szydła, długości sześciu cali, do zszywania worków.

— Dawaj, może sobie i z szydłem poradzę. Dick, co ty tam wiecznie bazgrzesz w tej twojej tece?

— Szkicuję z natury specyalnego korespondenta przy ważnej funkcyi łatania garderoby — odparł Dick, przyglądając się towarzyszowi swojemu, który z namaszczeniem wielkiem dopasowywał kawałki płótna masztowego do miejsc przetartych, wyrażając swe niezadowolnienie z obszaru zdewastowanej garderoby w formie najgroźniejszych i najenergiczniejszych przekleństw.

Głowa pokryta fezem spuszczona na szerokie piersi, podnosiła się zrzadka a wówczas ukazywały się jasno rude bokobrody, oczy ładne, niebieskie i usta, którym właściwszy musiał być uśmiech pogodny, niźli wyraz goryczy, jaki na nich błądził w tej chwili.

Człowiek o podartych spodniach, ubrany w kurtkę wielbłądzią i koszulę z szarej flaneli, szył zawzięcie, Dick rysował dalej.

Kilkanaście łodzi stało na brzegu mułowatem, rojącem się od angielskich żołnierzy.

Opodal piętrzyły się paki, blaszanki i pudełka z amunicyą, wyładowane z popsutej łodzi, którą cieśla naprędce naprawiał.

— Najprzód trzaska ster — mówił on do siebie — potem odpada maszt, a wreszcie, dno się otwiera jak kielich chińskiego lotosu.

— Zupełnie tak samo było z mojemi spodniami — mruknął

przygodny krawiec, głowy od roboty nie podnosząc. — Dick, ciekaw też jestem, kiedy oczy moje ucieszą się widokiem przyzwoitego sklepu.

Życzenie to pozostało bez odpowiedzi i nieprędko zapewne ziścić się miało.

U stóp, ich Nil szemrał groźnie i miotał się, chcąc jakby tych przybyszów odeprzać i zagnać do kraju rodzinnego.

Charakterystyczny zapach mułu zapowiadał opadanie wody.

Od wielu już tygodni nie było wcale utarczek, a przez cały ten czas Nil nie oszczędzał roztasowanego nad brzegiem jego wojska, zmuszając je ustępować sobie z drogi, rozpościerając się coraz szerzej, coraz dalej.

Za skałami napływały skały, za wyspami — wyspy, aż wreszcie wycieńczone, zdziesiątkowane febrą szeregi straciły świadomość miejsca i czasu.

Wiedziały to tylko, że przed sobą mają Nil, i że na drugiem jego krańcu był człowiek, zwany Gordon, broniący życia w mieście, zwanem Khartum.

Kolumny wojska angielskiego obozowały na pustyni, kolumny roztasowały się nad wybrzeżem, czekając rychło Nil opadnie i aż będzie można wsiąść na łodzie.

Zapasowe kolumny oczekiwały w Assiot i w Assuan, a na całej przestrzeni od Suakimu do Szóstej Katarakty krążyły najrozmaitsze i najfałszywsze pogłoski; a każdy z ludzi składających te kolumny, przypuszczali, iż ktoś zapewne kieruje ich poruszeniami.

Około dwudziestu łodzi stało na piaszczystem wybrzeżu, rojącem się od żołnierzy sześciu korpusów, którzy w chwili tej właśnie zajęci byli praniem bielizny.

Obowiązkiem owej kolumny nadbrzeżnej było strzedz łodzie od zatonięcia i zboże krajowców od stratowania, zdobywać jaknajwiększą ilość pożywienia i godzin snu, a przedewszystkiem czatować na ustępowanie wód.

Wraz z żołnierzami wszelkie prywacye i trudy dzielili

korespondenci pism, którzy nie wiele więcej zdawali sobie sprawę z położenia rzeczy od swoich towarzyszów.

Lecz nieodzownem było przecież, aby Anglia, przy pierwszem śniadaniu mogła dowiadywać się, ku trwodze swej lub radości, czy Gordon żyw lub martwy i czy połowa wojska angielskiego zaścieła trupami pustynie.

Kapania sudańska była malownicza i dawała pole do jaskrawych opisów.

Od czasu do czasu, jaki „specyalny" korespondent dostawał się w ręce nieprzyjaciół, co nie było bez korzyści dla pisma, które reprezentował. Walka z dzikiemi plemionami dostarczała wątku do sensacyjnych sprawozdań, które warto było przesyłać do kraju drogą telegraficzną po cenie ośmnaście pensów od wyrazu.

Korespondentów było mnóstwo, poczynając od weteranów, którzy znajdowali się na tyłach kawaleryi, co zajęła Kair w roku 1882, kiedy Arabi Pasza mianował się królem, od takich, którzy patrzyli na pierwsze roboty przy ufortyfikowaniu Suakimu (gdy co nocy zażynano szyldwachów i zasypywano to, co saperzy dokonali w ciągu dnia), aż do terminatorów w tym kunszcie, wezwanych telegraficznie na miejsce starszyzny, rannej lub poległej.

Wśród weteranów — takich, którzy znali na wylot wadliwe urządzenie poczt miejscowych — takich, którzy potrafili ugłaskać nawet urzędników telegraficznych — był właśnie człowiek w koszuli flanelowej, barczysty, rudowłosy Torpenhow.

Reprezentował on w tej kampanii Syndykat południowy, tak jak go reprezentował w wojnie egipskiej i w paru innych kampaniach.

Syndykatowi nie chodziło o krytykę operacyj wojennych obsługując szerokie masy, żądał jedynie malowniczości opisów i obfitości szczegółów, albowiem większa jest radość w Anglii z powodu żołnierza, który uchybił dyscyplinie i wysunął się z szeregów dla ratowania życia towarzyszowi, niżli nad dwu-

dziestu generałami, suszącymi sobie głowy nad poziomą sprawą transportu i intendentury.

W Suakimie, Torpenhow spotkał młodego człowieka, który siedząc na krawędzi opuszczonej reduty wielkości pudełka od kapelusza, przerysowywał z natury stosy ciał zaścielających piaszczystą równinę.

— Co pan tu robisz? — spytał Torpenhow?

Słowa, jakiemi korespondent wojenny wita nieznajomego, niewiele się różnią od pytania, jakie zwykł stawiać komiwojażer spotkanemu w drodze pasażerowi.

— Pracuję na własną rękę — brzmiała odpowiedź. — Czy masz pan tytoń?

Torpenhow zaczekał na wykończenie szkicu, poczem rzuciwszy nań okiem:

— Po co pan tu przybyłeś? — zapytał.

— Po to, aby zobaczyć jak się biją i szkicować sceny z pola bitwy.

— Zdrów z pana numer! Masz takie plecy, że mógł byś sam stawiać reduty — zawołał Torpenhow, uderzając nieznajomego po ramieniu. — Czy zawsze tak pan rysujesz?

Młody człowiek wyjął z teki kilka innych szkiców.

— Bójka na chińskiej łodzi — mówił, pokazując je po kolei. — Kapitan związywany powrozami przez zbuntowanych majtków.— Chłosta, wymierzona Somaliskiemu przewodnikowi.— Granat, wpadający do obozu w Bebera.— Niewolnicy, pędzeni wzdłuż zatoki Tajurrah. — Trup żołnierza, w noc księżycową pod okopami Suakimu.

— Hm! — mruknął Torpenhow — sam nie lubię tego rodzaju tematów, lecz różne są gusta na świecie. Czy pan teraz pracujesz nad czemś ważniejszem?

— Nie, bawię się tylko.

Torpenhow spojrzał na straszne, przygnębiające pustkowie.

— Do kaduka! Dziwne pojęcie o zabawie — rzekł. — Czy masz pan przynajmniej dość pieniędzy.

— Tyle, że jako tako żyć mogę. Słuchaj pan: czy chcesz, abym rysował do gazet?

— Mnie to wszystko jedno, ale może mój syndykat zechce. Przypuszczam, że nie chodzi panu o wysokie honorarya.

— Tymczasem, nie. Chcę szczęścia spróbować.

Torpenhow obejrzał raz jeszcze szkice i kiwnął głową.

— Tak, masz racyę — rzekł — trzeba z każdej sposobności korzystać, zwłaszcza na początku karyery.

Torpenhow co koń wyskoczy popędził do miasta i zatelegrafował swojemu syndykatowi:

— „Znalazłem człowieka do rysunków. Zdolny i tani. Czy się umawiać? Chcecie korespondencye ilustrowane?"

Przez ten czas „człowiek do rysunków" siedział na reducie, przebierał nogami i mówił do siebie:

Wiedziałem, że wcześniej czy później szczęście do rąk mi wlezie. Do stu piorunów, jeśli wyjdę zdrów i cały z tego piekła, będą musieli opłacać mnie na wagę złota.

Wieczorem dnia tego Torpenhow mógł już donieść nowemu swemu przyjacielowi, iż Agencya południowa zgadza się przyjąć go na próbę i wypłaci mu honorarya za trzy miesiące z góry.

— Ale prawda, jakże się pan nazywasz? — spytał Torpenhow.

— Heldar — brzmiała odpowiedź. — Czy pozostawiają mi wolność pracowania na własną rękę?

— Biorą pana na ryzyko. Musisz wybór usprawiedliwić i pokazać, co umiesz. Radziłbym przyłączyć się do mnie. Jadę w głąb kraju z kolumną. Zrobię, co będę mógł dla ciebie. Daj mi pan kilka swoich szkiców, zdjętych tutaj; poszlę je do Londynu.

A w duchu dodał:

„Jest to najlepszy nabytek, jaki zdarzyło się zrobić Syndykatowi, a i mnie jednak pozyskali dość tanim kosztem."

Dick został zatem włączony do czcigodnego bractwa korespondentów wojennych, którzy posiadają niezaprzeczone pra-

wo do jak największej pracy i o ile się da najniższych honoraryów.

Do przymiotów korespondenta wojennego należy także, potęga wymowy, którejby nie mógł się oprzeć żaden mężczyzna, a tem bardziej żadna kobieta (która to wymowa służy im do zdobywania pożywienia lub łóżka); dalej bystrość wzroku sokola, zdrowie bawołu, żołądek strusi, dar kuchmistrza i niesłychana zdolność zastosowania się do wszystkiego.

Lecz wielu umiera, zanim ten stopień doskonałości osiągnie, a wytrwalsi, po przejściu próby ogniowej, wróciwszy do Anglii, ubierają się, jak reszta ludzi, w tużurki i we fraki i chodzą na proszone obiady, rauty i bale, tak iż chwała ich ukrytą jest przed okiem ludzkiem.

Dick towarzyszył swojemu nowemu przyjacielowi, dokonali wspólnie niejednego arcydzieła, każdy w swoim rodzaju.

Życie ich nie było usłanem różami, a trudy i niewygody, dzielone wspólnie, zbliżały ich jeszcze bardziej.

Jadali z jednej misy, pili wodę z jednej butelki i co było węzłem najsilniejszym, w jednej kopercie wyprawiali swe prace.

Dickowi udało się kiedyś spoić urzędnika telegrafu, funkcyonującego w palmowym szałasie, po za Drugą Kataraktą, a podczas gdy ten leżał nawpół martwy, rysownik, przepisał starannie ważną bardzo informacyę, przesyłaną przez korespondenta przeciwnego syndykatu, co dało pole Torpenhow'owi, który znajdował iż wszystko godziwem jest w miłości i korespondencyach wojennych, do wykrojenia doskonałego artykułu z wodnistych opisów swojego przeciwnika.

Natomiast Torpenhow — lecz streszczanie przygód, każdego zosobna i obydwu razem, zaznanych na przestrzeni od Philoe do Herawi i Muella, zajęłoby kilka tomów *in quarto*....

Pracowali wśród gradu kul, niebaczni na niebezpieczeństwa, walczyli z tragarzami na pustyni i z żołnierzami przy wspólnym kotle; wśród tropikalnego upału przebyli niejedną milę, na grzbietach małych egipskich koników; przeprawiali się po Nilu w istnych łupinach od orzecha, gdy łodzie, na któ-

rych, po wielu zabiegach, udało im się znaleść pomieszczenie, zahaczywszy o skały podwodne, rozłupywały się na dwoje.

Teraz siedzieli na ławie piaszczystej, przypatrując się żołnierzom, piorącym bieliznę nad brzegiem.

— Tak — zawołał Torpenhow, robiąc ostatni ścieg w swojej poturbowanej garderobie. — Robota była wspaniała.

— Łata czy też kampania? — zapytał Dick. — Nie wiele co prawda trzymam o jednej i o drugiej.

— Chciałbyś zapewne mieć pierwszorzędne pancerniki angielskie na Nilu po za Trzecią Kataraktą i ośmdziesięciojednotonowe działa w Jakdul.... Teraz, jestem już zupełnie zadowolniony z moich spodni.

Podnosił je w górę, pokazując swój majsterszyk z tryumfem.

Nagle cisnął spodnie o ziemię, ręką oczy przysłonił i z natężoną uwagą wdal spoglądał.

— Cóż to się stało? — zawołał.

Rozległ się odgłos trąby. Ludzie piorący bieliznę, rzucili się do broni i mundurów, dosiadali wielbłądów.

„Żołnierze Pizańscy zaskoczeni znienacka podczas kąpieli“ — zacytował Dick spokojnie. — Czy przypominasz sobie ten obraz? Jest pędzla Michała Anioła. Kopiują go wszyscy początkujący. Zdaje mi się, że wojsko poczuło nieprzyjaciela.

Oddział jazdy wielbłądziej przyzywał piechotę; głuchy szmer, na całej przestrzeni wybrzeża, świadczył, że i reszta kolumny zwietrzyła niebezpieczeństwo.

Z szybkością, z jaką cicha powierzchnia wody zmącona bywa wiatru powiewem, najeżone skałami i usiane piaskiem wybrzeże zaroiło się od ludzi zbrojnych. Wyskoczyli oni jakby z pod ziemi, wymachiwali rękami tryumfalnie i zdawali się cieszyć z góry niechybnem zwycięstwem nad zaskoczonym znienacka nieprzyjacielem.

Jeden z pośród nich wygłaszał nawet długą przemowę.

Oddział kawaleryi nie dawał ognia, formował się w czworobok.

Piechota napływała mu z pomocą w łodziach. Wyładowywał na brzeg kto tylko był zdrów i cały. Ranni i chorzy pozostali pod opieką kilkunastu ludzi.

Arabski mówca umilkł, towarzysze jego natomiast podnieśli wrzask okropny.

— Coś jakby mahdyści — rzekł Torpenhow, wysuwając się naprzód. — Lecz zkąd ich się wzięło tylu. Będzie tu z parę tysięcy. Wiem przecież, że okoliczne plemiona z nami trzymają.

— Ha! Mahdi musiał zdobyć znowu jakie miasto — odparł Dick. — Darował życie tym czarnym djabłom, wypuszczając ich na nas, jak sforę psów. Pożycz-no mi twojej lunety.

— Nasi szpiegowie powinni nas byli ostrzedz. Wpadliśmy w pułapkę — rzekł jeden z oficerów. — Kiedyż wreszcie odezmie się artylerya wielbłądzia? Naprzód, a żywo!

Nie potrzeba było rozkazu.

Żołnierze z trwogą w sercu cisnęli się do czworoboku, wiedząc dobrze, iż strasznym będzie los tych, którzy pozostaną po za szeregami w chwili rozpoczęcia utarczki.

Mała, stu pięćdziesięciofuntowa armata, ustawiona przy jednym z rogów czworoboku rozpoczęła ogień, kolumna posunęła się naprzód, robiąc zwrot na prawo, dla zajęcia wierzchołka przyległego wzgórza.

Nie pierwszy to raz Anglicy mieli się bić w ten sposób i znali dobrze wszystkie fazy walki.

Najprzód gorączkowe formowanie czworoboku, dalej szalone, bezładne natarcie nieprzyjaciela, który zawsze umiał uderzyć w najsłabszą stronę, kilka minut rozpaczliwych zapasów, a potem grobowa cisza pustyni, przerywana tylko wrzaskami zbiegów, dopędzanych przez kawaleryę wielbłądzią.

Anglicy wiedzieli, co ich czeka, lecz było im to obojętnem.

Armaty zabierały głos od czasu do czasu. Czworobok posuwał się naprzód powoli, gdyż wielbłądy ruszać z miejsca nie chciały.

Potem przyszło gwałtowne natarcie trzech tysięcy ludzi,

którzy nie nauczyli się z książek, iż wobec broni odtylcowej nie występuje się z zwartych szeregach.

Kilka pojedynczych wystrzałów zapowiedziało zbliżenie nieprzyjaciela, kilku jeźdzców prowadziło owe zastępy, złożone z ludzi wściekłych, nawpół nagich, zbrojnych jedynie w pałasze i lance.

Instynkt pustyni, gdzie wojna nigdy prawie nie ustaje, podszeptywał im, że prawy flank jest najsłabszy, więc przewinęli się przed frontem, aby na prawy bok uderzyć.

Armatki ostrzeliwały ich po drodze i przerzedzały ich szeregi, tak jak wiatr ściele zboże na łanie.

Ogień piechoty, wstrzymany do odpowiedniej chwili, zagrzmiał wreszcie i kładł trupem całe seciny, odpadały na bok jak bruzdy ziemi pod pługiem.

Żadne wojsko cywilizowane nie mogłoby przetrwać ognia, wśród którego ta dziez przeszła z całym impetem, jak woda na młyńskie koła, wpadając na prawy flank czworoboku.

Zastępy walczących ku blademu niebu pustyni słały kłęby kurzu i dymu.

Nie podobne to było wcale do regularnej bitwy: Anglicy czuli, że mogą być napadnięci ze wszystkich czterech stron odrazu.

Dzicz niszczyła, tratowała, wszystko co napotkała po drodze, kąsała, rzucała się do oczu, kłuła lancami.

Dick przyglądał się temu spokojnie wraz z przyjacielem swoim Torpenhow i młodym doktorem wojskowym, aż dopóki walka nie doszła punktu kulminacyjnego.

Przed odparciem ataku niepodobna było przyjść rannym z pomocą.

Oceniając to, wszyscy trzej zbliżali się ostrożnie ku stronie najsłabszej.

Rozległ się chrzęst zbroi.

Pędziło czterdziestu ludzi, wymachując lancami; utorowali sobie niemi drogę wśród angielskich szeregów i przedarli się w sam środek czworoboku.

Prawy flank zwarł się szczelnie, pochłonął jakby nieprzyjaciół; zawrzała bitwa wściekła.

Ranni, którym pozostawało do życia zaledwie godzin parę, czepiali się nóg przeciwnika, ściągali go z koni, lub też, w drżące ręce ujmując karabiny, strzelali na oślep w sam środek czworoboku.

Dick zdawał sobie sprawę, że go ktoś silnie po hełmie uderzył, że on natomiast wypalił z rewolweru w twarz czarną, okrytą krwią i pianą, niepodobną już wcale do ludzkiej twarzy i że Torpenhow dostał się pod nogi Araba, którego usiłował chwycić za gardło i że wirując z nim w tańcu piekielnym, palcami szukał jego oczu.

Doktór wymachiwał bagnetem na chybił trafił, a jakiś żołnierz z gołą głową strzelał po przez plecy Dicka: proch osmalił temu ostatniemu policzek.

Dick instynktownie idąc za pierwszym popędem, rzucił się na pomoc Torpenhowa.

Przedstawiciel Południowego Syndykatu odrzucił od siebie nieprzyjaciela i zerwał się, ocierając z krwi ręce.

Arab, złapawszy się oburącz za głowę, wrzeszczał w niebogłosy, nagle, rzucił się do lancy i wpadał na Torpenhowa, który pod osłoną Dickowego rewolwera, odpoczywał, zziajany.

Dick strzelił dwa razy, przeciwnik się zatoczył i padł twarzą do góry. Miał jedno oko wyłupione.

Ogień z karabinów zdwoił się, lecz łączyły się z nim okrzyki radości.

Nieprzyjaciel podawał tyły.

Pobojowisko wyglądało na jatki rzeźnicze.

Angielska kawalerya doganiała uciekających, lecz czoło daleko już było na pustyni, wolne od pościgu.

W pogoni za kilkudziesięciu maruderami rzucił się także Dick.

Po za granicą trupów, odrzucona na bok, leżała duża, okrwawiona lanca arabska, dalej roztaczała się cicha, bezludna i bezbrzeżna pustynia.

Słońce rzucało snop promieni na stal okrwawioną i zamieniło ją w czerwoną tarczę. . . .

Ktoś po za plecami Dicka wrzasnął:

— Z drogi, psi synu!

Młody rysownik podniósł rewolwer i mierzył w stronę pustyni. Po za jego plecami zamierały wrzaski, przechodząc w szept cichy, podobny do szmeru strumyka.

Dick nie widział nic oprócz rewolweru i tarczy czerwonej; nic nie słyszał oprócz chrzęstu głuchego, lecz wszystko to dochodziło do świadomości jego tak niewyraźnie, jak gdyby z po za innych światów.

Dick czekał, co dalej będzie. Coś jakby pękło mu w głowie; przez chwilę ogarnęła go ciemność, ciemność dotkliwa, kąsająca jakby.

Strzelił na oślep, kula pomknęła jak ptak po pustyni.

— Chybiłem — zawołał — a brak mi już nabojów. Trzeba do namiotu powracać.

Dotknął ręką głowy i odjął ją całą okrwawioną.

— No, stary, jesteś ranny i nie na żarty. Ten djabeł łupnął cię po głowie, aż zachrzęściło.... Wiem, coś dla mnie uczynił. Dzięki. No, wstańże. Tutaj przecież wylegiwać się nie możesz.

Dick osunął się bezwładnie na ręce Torpenhowa i mruczał niewyraźnie, że rewolwer dołuje.

Torpenhow zawlókł go do doktora, sam zaś zabrał się do opisu utarczki.

Dick przez noc całą przyzywał wciąż Maisie.

Torpenhow doglądał go z pieczołowitością macierzyńską, nie pozbywając się jednak swego rubasznego humoru.

— Istny fenomen z tego chłopaka — mówił do doktora, poprawiając poduszki rannemu. — Wśród maligny wspomina jedno tylko imię kobiece. Po raz pierwszy w życiu słyszę coś podobnego, a doglądałem już niejednego chorego. Dick, napijże się lemoniady.

— Dziękuję ci, Maisie — odparł Dick.

ROZDZIA III.

Kampania sudańska ukończyła się już od kilku miesięcy, rozpłatana głowa Dicka miała już czas się zagoić. Syndykat południowy wypłacił mu sumę na rachunek otrzymanych szkiców, które to szkice, jak nie omieszkał go zapewnić — nie zadawalniały jego wymagań.

Dick wrzucił list do Nilu pod Kairem, zamienił przekaz na gotówkę w temże mieście i serdecznie pożegnał na stacyi przedstawiciela Syndykatu południowego.

— Jadę teraz odpocząć — mówił Torpenhow. — Nie wiem jeszcze, gdzie zamieszkam w Londynie, lecz mam nadzieję, że spotkamy się jeszcze. Pozostajesz tutaj w oczekiwaniu nowych zaburzeń. Hm! Będzie tu spokojnie, aż dopóki wojska nasze nie zajmą południowego Sudanu. Zapamiętaj to sobie dobrze. Dowidzenia, życzę ci szczęścia, a wracaj, jak wydasz pieniądze, i prześlij mi twój adres.

Dick wałęsał się po Kairze, Aleksandryi, Izmaili, Port-Said, zwłaszcza po Port-Said.

Wiele jest nieprawości i zepsucia na świecie całym, lecz nieprawości, bezwstyd i zepsucie wszystkich krajówześrodkowują się w Port-Said.

Dick osiadł w dzielnicy bardziej hałaśliwej, niźli przyzwoitej, spędzał wieczory w porcie, przyglądał się odjazdowi statków angielskich, żegnał przyjaciół, uprzejme Angielki, z któremi poprzednio flirtował—zbyt może swobodnie—na werandzie hotelu Shepheard, żegnał korespondentów wojennych, szeregowców i oficerów.

Wszyscy spieszyli z powrotem do kraju.

On jeden pozostał.

Albumy jego wzbogacały się typami wszystkich ras Wschodu i Zachodu, studyował je w stanie podniecenia, przy stołach gry, w salonach, w szynkowniach — gdzie się dało.

Dla rozrywki przypatrywał się wodom kanału, lśniącym

piaskom pustyni, długim szeregom okrętów i białym szpitalom, gdzie umierali angielscy żołnierze.

Przelewał na papier—kredką, ołówkiem lub wodnemi farbami wszystko, co mu pod oko podpadło i wciąż nowych poszukiwał tematów.

Że jednak, nietylko sztuce się oddawał, ale także pędził życie hulaszcze, więc niebawem roztrwonił nadesłane mu przez Syndykat południowy honoraryum, a nadto podjęte z góry sto dwadzieścia funtów rocznego dochodu.

— Teraz trzeba zabrać się na seryo do pracy i z głodu przymierać — pomyślał dnia pewnego, lecz dziwnym zbiegiem okoliczności, dzień ten właśnie przyniósł mu telegram od Torpenhowa z Anglii.

Depesza brzmiała w te słowa:

„Wracaj natychmiast: idziesz w górę.“

Uśmiech tryumfu opromienił twarz Dicka.

— Nie sądziłem, że to tak prędko przyjdzie — pomyślał. — No, no, szczęście w sam czas się zjawia. Dziś pohulam, co się zowie.

Połowę pozostałych funduszów oddał Dick przyjaciołom swoim *Monsieur et Madame* Binat i obstalował u nich tańce zanzibarskie — w przednim gatunku.

Monsieur Binat, pijany jak Bela, nie rozumiał o co chodzi, lecz *madame* Binat uśmiechnęła się domyślnie

— *Monsieur* naturalnie usiądzie i będzie przez ten czas rysował: *Monsieur* zabawia się zawsze w ten sposób — rzekła.

Binat wsunął przez drzwi twarz sino-bladą.

— Rozumiem — zabełkotał — *Monsieur* jest artystą, tak jak ja dawniej. — Dick głową skinął. — Koniec końców — ciągnął dalej Binat. — *Monsieur* stoczy się na same dno piekła, tak jak ja się stoczyłem.

Zaśmiał się ohydnie.

— I pan także musisz przyjść na tańce — rzekł Dick. — Będziesz mi potrzebny.

— Potrzebujesz mojej twarzy — co? Wiedziałem, że tak

będzie. Mój Boże! jakżem ja już upadł nisko! Nie, nie chcę. Weźcie go! To szatan!... Albo wreszcie, Celestyno, zażądaj więcej.

Binat wyszczerzył żółte zęby w cynicznym uśmiechu.

— Wszystko jest na sprzedaż w Port-Said — oświadczyła *Madame*. — Obecność mojego męża podniesie koszta o pół suwerena.

Suma została wypłacona z góry i nocy tej odbywały się tańce szalone w tylnem podwórzu domu *Madame* Binat.

Dama ta, wystrojona w wypłowiałą suknię jedwabną przygrywała na fortepianie; dziewczęta zanzibarskie wirowały przy dźwiękach Strausowskiego walca w świetle kopcących lampek naftowych.

Binat siedział na krześle i patrzał oczyma bezmyślnemi aż dopóki wir taneczny i dźwięki fortepianu nie rozbudziły go z pijackiego odrętwienia; wówczas twarz jego zapałała dziwnym ogniem.

Dick chwycił za brodę i podniósł tę twarz do światła.

Madame Binat spojrzała przez ramię i zaśmiała się, ukazując wszystkie zęby.

Dick oparty o ścianę szkicował długo, aż dopóki lampy naftowe nie zaczęły gasnąć i czarne tancerznice nie padły na ziemię zziajane.

Zamknął wówczas tekę i chciał się już oddalić, lecz Binat pociągnął go za rękaw.

— Pokaż — szepnął. — Ja także byłem kiedyś artystą, taki jak ja nawet!

Dick szkic mu podał.

— Czy to ja? — pytał pijak. — Pokażesz światu całemu, że to ja, Binat, nieprawdaż?

Jęknął boleśnie, a łzy jak groch potoczyły się po jego żółtych policzkach.

— *Monsieur* za wszystko zapłacił — upewniała *madame*. — Żegnam i dziękuję, a spodziewam się, że *monsieur* powróci do nas wkrótce.

Dick skierował swe kroki do domu gry, gdzie częstym bywał gościem.

— Jeśli szczęście mi dziś dopisze, będzie to dobrą wróżbą na przyszłość — rzekł. — Jeżeli przegram, będę tu musiał zostać.

Położył pieniądze na stole i czekał z śmiertelną trwogą w sercu.

Szczęście mu dopisało.

Wygrał dwadzieścia funtów. Nie chcąc ryzykować dalej, opuścił jaskinię gry.

Przez parę godzin błąkał się po ulicach miasta, świt zastał go w porcie.

Miał już czas zaprzyjaźnić się z jakimś kapitanem statku kupieckiego, który za skromną opłatą zobowiązał się wziąść go do Londynu.

*

* *

Szara mgła słała się nad stolicą, powietrze było chłodne i dżdżyste, albowiem była to właśnie pora letnia w Anglii.

— Nie bardzo się tu zmieniło — mruknął do siebie Dick, stawiając nogę na ziemi rodzinnej. — No, a teraz co z sobą zrobię?

Nadbrzeżne magazyny i składy nie dawały odpowiedzi.

Dick spojrzał na szereg ulic, na ludzi spieszących tu i owdzie.

— Oh! wy hołoto! — przemawiał do nich w duchu. — Czy wiecie czego się po was spodziewam? Musicie mi dostarczyć służbę, powozy i konie, piękną rezydencyę i całe stosy złota. Tymczasem — dodał z gorzkim uśmiechem — trzeba sobie kupić całe buty i nowe, niepoplamione ubranie; powrócę niebawem i deptać po was będę. Spieszcie się, pracujcie na mnie.

Przeciskał się wśród tłumów z miną zwycięzcy; ktoś, pędząc naprzód, potrącił go.

— Dobrze — zakarbował sobie Dick w pamięci — jeszcze jedna obelga, za którą zapłacicie mi sowicie. Niebawem ja

będę po ludziach deptał. Na bok, hołoto, przed przyszłym władcą.

Porządne odzienie i buty nie są rzeczą tanią, to też Dick, z wycieczek swych po sklepach wyniósł przekonanie -że przez czas pewien będzie ubrany przyzwoicie, lecz... tylko pięćdziesiąt szylingów w kieszeni.

Na jednej z ulic nadbrzeżnych najął pokój, w hotelu, gdzie sprzęty przyśróbowane były do podłogi i prześcieradła znaczone w ten sposób, aby ich goście ukraść nie mogli, i gdzie zresztą nikt nie sypiał.

Ubrawszy się w nowy garnitur, Dick podążył do biura Południowego Syndykatu po adres Torpenhowa; udzielono mu go, dodając, iż należą mu się jeszcze pieniądze.

Wiele? — zapytał Dick z miną człowieka, który obraca milionami.

— Coś około czterdziestu funtów — brzmiała odpowiedź.— Gdybyś pan chciał, moglibyśmy wypłacić tę sumę zaraz, lecz mamy zwyczaj regulować rachunki miesięcznie.

— Jeśli teraz okażę, że jestem w potrzebie, przepadłem — wyrozumował Dick. — Trzeba czekać, choćby przyszło z głodu przymierać.

A głośno rzekł:

— Nie będę panów trudził dla takiej drobnostki, zresztą wyjeżdżam na wieś, na miesiąc. Odbiorę należność za powrotem.

— Spodziewamy się, panie Heldar, że nie zerwiesz z nami stosunków?

Zawód rysownika nauczył młodzieńca czytać w twarzach ludzkich, jak w księgach otwartych.

— Ten człowiek — pomyślał Dick — buduje na mnie nadzieje. — Nie zobowiążę się do niczego, dopóki się z Torpenhowem nie zobaczę. Trzeba umieć szczęście wyzyskać.

Odszedł, nic nie obiecawszy i podążył do swojej stancyjki.

A dzień ten był siódmym w miesiącu, a miesiąc ów, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, miał właśnie dni trzydzieści jeden.

Dick myślał o tem z trwogą.

Nie łatwem jest człowiekowi zdrowemu i cieszącemu się dobrym apetytem wyżyć przez dni dwadzieścia cztery za pięćdziesiąt szylingów, ani też miłem prowadzić taki eksperyment w samotności, wśród pustyni, rojącej się od ludzi, jaką jest każde wielkie miasto dla pozbawionego środków materyalnych przybysza.

Dick płacił siedem szylingów tygodniowo za mieszkanie, tak iż zostawał mu niecały szyling dziennie na jadło i napój.

Po długich namysłach i poszukiwaniach, przekonał się, że za tą cenę może jedynie dostać kiełbasy z tartemi kartoflami w wędliniarni; ale kiełbasa, na śniadanie kilka razy tygodniowo może się sprzykrzyć, na obiad, zwłaszcza z tartemi kartoflami i jako jedyna potrawa, może zupełnie obrzydnąć.

Po trzech dniach Dick przeklinał kiełbasę potem zastawił zegarek, aby módz zjeść głowę baranią, co nie jest tak tanio, jak się wydaje, dzięki kościom i sosowi; potem wrócił znowu do kiełbasy i tartych kartofli.

Potem poprzestał na tartych kartoflach przez dzień cały i dostał okropnych kurczów w żołądku; potem zastawił surdut i krawat i myślał z żalem o pieniądzach, strwonionych w ciągu życia.

Nic bardziej nie uspasabia do rozmyślań, jak pusty żołądek.

Podczas rzadkich spacerów, (unikał ruchu, albowiem budzi on pragnienia, których zadowolnić nie mógł)—otóż podczas swoich wycieczek po mieście, Dick dzielił spotykanych ludzi na dwie kategarye: takich, którzy wyglądali, jak gdyby mogli mu dać co do zjedzenia i takich, którzy sami chcieli widocznie się pożywić.

— Byłem dotychczas głupim zarozumialcem. Zdawało mi się, że znam ludzkie twarze, a nie domyślałem się nawet, czego się można z nich nauczyć — mówił sobie, a w nagrodę za taką skromność, Opatrzność sprawiła, iż dorożkarz jakiś w wędliniarni dnia tego pozostawił niedojedzony kawał chleba.

Dick rzucił się nań i byłby stoczył walkę z całym światem o zatrzymanie tej zdobyczy.

Miesiąc dobiegł wreszcie kresu. Drżąc cały z niecierpliwości, Dick biegł po swoje pieniądze.

Odebrawszy je udał się pod wskazany adres do Torpenhowa.

W sieni doleciał go już zapach pieczonego mięsa.

Torpenhow uściskał przyjaciela tak mocno, iż nie wiele brakło, aby mu żebra połamał, przyczem zasypał go tysiącem różnorodnych pytań.

— Mizernie jakoś wyglądasz! — zawołał wreszcie, przyglądając mu się pod światło.

— Czy masz co do zjedzenia? — rzekł Dick, wodząc zgłodniałemi oczyma po pokoju.

— Za chwilę przyniosą mi śniadanie. Chcesz może kiełbasy?

— Wszystko, byle nie kiełbasa. Przez trzydzieści dni i nocy nie brałem nic do ust, oprócz tego siekanego mięsa.

— Cóż znowu za pomysł szalony!

Dick opowiedziawszy dzieje ostatnich tygodni, rozpiął palto — nie było pod nim tużurka.

— Jak widzę, narobiłeś mnóstwo głupstw — zawyrokował Torpenhow — jedz-że teraz, pogadamy później.

Dick rzucił się na szynkę z jajami i zjadł sam cały półmisek, poczem zapalił fajkę i pociągał dym z rozkoszą, jakiej doznaje jedynie człowiek przez czas pewien pozbawiony dobrego tytoniu.

— Uf! — zawołał. — Co za niebiańskie uczucie.

— Dlaczegóżeś u licha nie przyszedł do mnie pierwej!

— Nie mogłem. I tak już zbyt wiele ci zawdzięczam. Zresztą miałem przesąd, że ów głód przyniesie mi szczęście na przyszłość. Dzięki Bogu, już się skończyło, a syndykat ani się domyśla, w jakich byłem opałach. Teraz powiedz mi jak stoję?

— Donosiłem ci już: idziesz w górę, czyli raczej wcho-

dzisz w modę. Ludziom podoba się bardzo twoja robota. Powiadają, że wynalazłeś nowy zupełnie sposób rysowania. Pół tuzina pism ilustrowanych i kilku wydawców, chce twe współpracownictwo pozyskać.

Dick zatarł ręce.

— O mniejsze szkice dobijają się księgarze i właściciele magazynów z rysunkami. Sądzą zapewne, że pieniądze ulokowane na tobie przyniosą duży procent. Hm! głupota ludzka jest niezgłębiona!

— Przeciwnie, ludzie mają więcej rozumu, niźli myślałem.

— Chcesz zapewne powiedzieć, że dają się unosić niewytłómaczonym porywom. W obecnej chwili jesteś człowiekiem zjawiskowym, przedmiotem zachwytu, ciekawości, mody. Ja jeden tutaj wiedziałem coś o tobie, to też zasypywano mnie pytaniami. Musiałem pokazywać kilku wpływowym osobom szkice, któreś mi ofiarował. Masz szczęście, stary.

— Dobryś ze swojem szczęściem. Ciężkom ja się napracował, zanim mi ono zabłysło. Potrafię go wyzyskać, bądź spokojny. Tymczasem potrzebuję kąta do pracy.

— Sprowadź się tutaj — rzekł Torpenhow, wychodząc na korytarz i otwierając drzwi od pokoju naprzeciwko — apartament wprawdzie niezbyt wspaniały, ale obszerny; jest gdzie chodzić, szukając natchnienia — dodał, mierząc pokój dużemi krokami — a przytem światło masz tu dobre i osobny pokój sypialny. I czegóż więcej potrzeba?

— To mi wystarczy — odparł Dick, przyglądając się dużemu istotnie pokojowi, z oknami, wychodzącemi na Tamizę.

Blado-żółte światło, uwydatniało kurz i śmiecie, panujące wszechwładnie i niepodzielnie w tym apartamencie.

Trzy kroki oddzielały go od pokoju Torpenhowa, trzy kroki było do schodów.

Klatka schodowa, głęboka, jak studnia, niknęła wśród ciemności, oświecona zrzadka gazowemi płomykami; słychać było głosy ludzkie i trzaskanie drzwiami o siedem pięter poniżej.

— Czy masz tutaj zupełną swobodę — zapytał Dick przezornie, albowiem nic bardziej nad swobodę nie cenił.

— Naturalnie — upewnił go Torpenhow — każdy, wprowadzając się tu, otrzymuje osobny klucz od drzwi wchodowych i może robić, co mu się żywnie podoba. Telegrafując do ciebie, zamówiłem jednocześnie ten pokój.

— Za dobry jesteś dla mnie, Torpenhow, stanowczo za dobry.

— To tylko egoizm, chciałem cię mieć obok siebie. Nie wymkniesz mi się już, stary. Wezmę się w kuratelę.

Torpenhow położył rękę na ramieniu Dicka i chodzili po pokoju, który odtąd miał nosić nazwę pracowni. Nie mówili do siebie, lecz rozumieli się doskonale.

Nagle ktoś do drzwi Torpenhowa zapukał.

— To zapewne jaki łobuz przychodzi na kieliszek wódki — zawołał tenże wesoło, głosem podniesionym.

Lecz do pokoju wsunął się gentleman lat średnich w długim paltocie z przedniego sukna, nie wyglądający bynajmniej na łobuza. Mały, pękaty przedstawiał raczej typ zadowolnionego ze siebie mieszczucha.

Nowoprzybyły przedstawił się, jako główny kierownik Południowego Syndykatu i „jeden z najgorętszych wielbicieli talentu p. Heldar."

— Przyszedłem — rzekł — wyrazić panu podziękowanie Syndykatu, a zarazem nadzieję, iż nie zechcesz pan zapomnieć, iż my to właśnie wyprowadziliśmy pana na szeroką widownię.

Mówił to zadyszany, jak człowiek, który nie zwykł wdrapywać się na siódme piętro.

Dick spojrzał na Torpenhowa, który zmrużył nieznacznie lewe oko.

— Oh! nie zapomnę, bądź pan pewien — odparł Dick z budzącym się instynktem zachowawczym. — Wynagrodziliście mnie tak hojnie, że nie mógłbym w żaden sposób zapomnieć. Ale, prawda, prosiłbym o zwrot moich szkiców.

— Hm! właśnie w tej sprawie przybywam. Hm! ponie-

waż nie obwarowałeś się pan pod tym względem, szkice są naturalnie, hm! naszą własnością.

— Chcesz pan powiedzieć, że je zatrzymujecie.

— Tak, i spodziewamy się, że za pewnem wynagrodzeniem, pomożesz nam do urządzenia z nich małej wystawy, która, poparta naszemi wpływami, wyświadczy panu wielką usługę. Szkice te....

— Są moją własnością. Dostawaliście je za pół darmo, a teraz chcecie je wziąść na własność. Przez Boga żywego, ależ to cały mój majątek!

Torpenhow pogwizdywał, spoglądając na Dicka, który chodził po pokoju, wzburzony.

Chciano zagrabić pierwsze jego próby artystyczne, pierwszy oręż w walce o byt.

Ów nieznajomy, mieniący się przedstawicielem Południowego Syndykatu, pomimo tak szumnego tytułu nie nakazywał młodemu rysownikowi szacunku, nie oburzała go też niesprawiedliwość podobnych roszczeń, (nauczył się bowiem w ciągu krótkiego swego życia, iż siła idzie zawsze przed prawem), łaknął tylko krwi gentlemana w wytwornym paltocie.

Gdy po chwili się odezwał, głos jego był tak słodkim, iż Torpenhow poznał odrazu, iż się na walkę zanosi.

— Daruj pan — rzekł — lecz może kto młodszy od szanownego pana mógłby załatwić ze mną ten interesu?

— *Ja* reprezentuję komitet i nie widzę potrzeby wprowadzania osób trzecich....

— Przekonasz się pan o tej potrzebie za chwilę. Bądź pan łaskaw oddać mi szkice.

Gentleman spojrzał ze zdumieniem na Dicka, potem na Torpenhowa.

Nie był przyzwyczajony, aby go proszono o zrobienie tego, czego uczynić nie chciał.

— Bądź ostrożny, Dick — wtrącił Torpenhow — pamiętaj, że to nie Sudan.

— Ze względu na usługi, jakie syndykat panu wyświadczył, przedstawiając cię szerokim kołom publiczności....

Uwaga była niezbyt fortunną. Przypomniała Dickowi lata, strawione na bezowocnej walce o rozgłos, wśród niezaspokojonych pragnień, a wspomnienia te nie usposobiły go przychylnie dla człowieka, który chciał używać owoców tych lat krwawych.

— Nie wiem doprawdy, co z panem zrobić — mówił Dick, wahająco. — Jesteś pan naturalnie złodziejem i zasługujesz wpełni na stryczek, który wcześniej czy później cię nie ominie; ja tymczasem ręki do tego nie przyłożę, bo niemiło jest mieć trupa we własnem mieszkaniu. Nie zamierzaj się pan na mnie, to cię tylko rozdraźni niepotrzebnie.

Jedną ręką chwycił za kołnierz przedstawiciela syndykatu, drugą przesuwał po jego plecach.

— Mój Boże — mówił do Torpenhowa — i taki karmnik poważa się zapuszczać ręce w cudzą kieszeń! Widziałem jak darto pasy z czarnej skóry przewodnika murzyńskiego za to, iż ukradł pół funta suszonych daktyli, a był suchy, jak kij bambusowy. Ten oto złodziej utuczony, jak indyk a miękki, jak kobieta.

Mało jest na świecie rzeczy bardziej upakarzających, jak być trzymanym za gardło przez człowieka, który uderzyć nie zamierza.

Przedstawiciel syndykatu zzieleniał ze strachu i złości.

Dick okrążał go, klepał po tłustych plecach, przyglądał mu się, jak kot myszy, którą ma połknąć za chwilę.

Wreszcie przystąpił do wylękłego potentata i kiwając głową mówił z udanym spokojem.

— A zatem chciałeś mnie ograbić z tego co moje, moje, moje własne i niepodzielne. Hola! mój panie. Życie twe wisi na włosku, więc radziłbym napisać słów parę do biura — wszak powiadasz, że jesteś jego szefem — i kazać oddać Torpenhow'owi moje szkice—wszystkie, co do jednego. Poczekaj chwilę. Ręka ci drży. Uspokój się.... No, teraz!

Wyciągnął notes z kieszeni i położył go przed swą ofiarą. Kartka została skreślona w mgnieniu oka.

Torpenhow zabrał ją i oddalił się w milczeniu.

Po jego odejściu Dick chodził wciąż naokoło tłustego gentlemana, udzielając mu rad niezbędnych, jak twierdził, dla zbawienia jego duszy.

Torpenhow powrócił z olbrzymią teką.

— No, mam nadzieję — rzekł Dick najsłodszym głosem — że nauka, jaką panu dałem, w las nie pójdzie. A jeślibyś zamierzał wytoczyć mi akcyę sądową o napaść, to cię uprzedzam z góry, że ani się spostrzeżesz, kiedy cię śmierć z mojej ręki zaskoczy. Bądź co bądź, niedługo cieszyć się będziesz życiem. Przepowiadam ci apopleksyę niechybną. No, tymczasem możesz odejść. *Imshi Vootsak.* Wynoś się, do stu tysięcy djabłów!

Tłusty jegomość wytoczył się z pokoju, zziajany, blady, w pomiętym paltocie.

Niepodobny był do zadowolnionego ze siebie i z zycia gentlemana, który wszedł był tu przed godziną.

Dick odetchnął swobodnie.

— Jakże przewrotnym jest ten świat — zawołał. — Gotów zawsze wyzyskać, okraść biednego sierotę! Skończony łotr z tego człowieka, a Syndykat, na którego czele stoi, to nic innego, jak zorganizowana szajka rabusiów. Czy oddali ci wszystkie szkice, Torp?

— Tak, jest ich tu sto czterdzieści siedem. No, przyznać ci muszę, że dzielnie sobie poczynasz.

— Wszak nie mogłem dać się oskubać. Dla niego jest to kwestya kilkunastu funtów, dla mnie, to wszystko, co posiadam. Chyba mnie przed sąd nie pozwie. Udzieliłem mu kilku informacyj medycznych o stanie jego zdrowia. Dostały mu się nawpół darmo. A teraz do rysunków.

Dick usiadł na ziemi i z lubością prawdziwą przyglądał się swoim utworom i rozpamiętywał nad sposobem, w jaki je zdobył.

Było już dobrze popołudniu, gdy Torpenhow wszedł do jego pokoju.

Zastał go w szalonych podskokach.

— Lepsze to, niż myślałem. Dobre, bardzo dobre! — zawołał na widok przyjaciela. — Urządzę z tych szkiców wystawę na własną rękę.... I pomyśleć, że chciano mi ten skarb wydrzeć! Wiesz, żałuję teraz, żem nie udusił na dobre zacnego przedstawiciela Syndykatu.

— Ejże, Dick, z twoją krewką naturą możesz źle skończyć. Proś Boga, aby cię strzegł nadal od porywów gniewu i zarozumiałości... choć wątpię, czy modlitwy te będą skutecznemi. A teraz, idź do hotelu, przynieś swoje rzeczy. Urządzimy z tego wspaniały apartament.

— Będę ja niebawem mieszkał w prawdziwych apartamentach, zobaczysz.

ROZDZIA IV.

— No i jakże smakuje powodzenie? — pytał Torpenhow swego przyjaciela w trzy miesiące potem, za powrotem z letniej wycieczki.

— Wyśmienicie — odparł Dick, oblizując się — lecz chcę więcej tego przysmaku, znacznie więcej. Skończyły się lata chude, teraz przyszedł szereg tłustych.

— Bądź ostrożny. Droga to niebezpieczna.

Torpenhow leżał wyciągnięty na szezlongu i bawił się z charcikiem, Binkee.

Dick rozpinał płótno na stalugach.

Jesienne słońce chyliło się ku zachodowi, półmrok roztaczał się nad pracownią.

— O tak — mówił Dick z zapałem — lubię sławę, lubię rozgłos, a nadewszystko pieniądze. Gotów jestem polubić tych, którzy robią ten rozgłos i płacą pieniądze.... Lecz w gruncie to hołota.

— Bądź co bądź, bardzo dla ciebie przychylna. O ile

wiem, wystaw szkiców przyniosła ci świetne rezultaty pod każdym względem. Nazywano ją wprawdzie w pismach: „Dziką wystawą.”

— Mniejsza o to. Sprzedałem wszystko, com chciał sprzedać, dlatego zapewne, że brano mnie za samouka — samouka genialnego. Byłbym osiągnął trzy razy większe ceny, gdybym pomysły moje rysował krwią na kościach wielbłądzich, a nie ołówkiem i kredkami na papierze. Ludzie, to stado baranów: ani krzty poczucia artystycznego, zrozumienia, pędzą na oślep, gdzie ich drukowana bibuła prowadzi. Wyobraź sobie, spotkałem wczoraj jakiegoś „znawcę,“ który twierdził, iż niepodobna jest, aby cienie na białym piasku miały kolor niebieski, ultramarina. Dowiedziałem się potem, że człowiek ten nie wychylił się nigdy po za wybrzeże Brighton; tem nie mniej czuł się powołanym do rozprawiania o sztuce i udzielania mi rad światłych. Między innemi doradzał mi, abym się nauczył techniki malarskiej. Niechże go jasny piorun trzaśnie! Ciekaw też jestem, coby na to powiedział Kami?

— A więc uczyłeś się u niego, człowieku o tajemniczej przeszłości?

— Studyowałem przez dwa lata pod jego kierunkiem w Paryżu. Uczył nas za pomocą osobistego magnetyzmu. Nie dawał żadnych wskazówek, przyglądał się tylko robocie uczniów swych i mówił: *Continuez mes enfants.* Każdy musiał pracować, jak umiał najlepiej i sam wszystkiego dochodzić. Co to za miękkość pędzla, jakie poczucie barw w tym człowieku! U niego myśl każda jest barwą. Nie potrzebuje widzieć danego przedmiotu, on go przeczuwa i odtwarza takim, jakim jest istotnie.

— Pamiętasz niektóre krajobrazy w Sudanie? — przerwał Torpenhow.

Dick podskoczył na miejscu.

— Nie przypominaj mi — zawołał — bo bierze mnie ochota polecieć tam lotem ptaka. Co to były za barwy! Rozkosz! Opale, bursztyny, szafiry — tło brunatne, pośrodku czarny odłam

skały, naokoło wielbłądy, a u góry turkusowe sklepienie nieba. Tylko patrzeć i podziwiać.... Nie, dusza mi się wyrywa.

Zaczął chodzić po pokoju gorączkowo.

— A jednak — mówił — jeśli zechcesz przedstawić ludziom cuda takie, w miarę zdolności, jakie ci Bóg udzielił, pół tuzina głupców, pozujących na koneserów, tacy, którzy nie widzieli w życiu swem nietylko pustyni, ale nawet nieba afrykańskiego, będą ci twierdzili: najprzód, że pomysł twój nie jest nowym, a powtóre, że tego, co tworzysz, sztuką nazwać nie można.

— Oto skutki mojej kilkotygodniowej nieobecności. Widzę, żeś chodził po wystawach i przysłuchiwał się temu, co ludzie mówią.

— Istotnie — odparł Dick pokornie — ale nudziło mi się w samotności. Niepodobna pracować bezustanku.

— Lepiej było chodzić do szynków i upijać się codziennie.

— Wielka szkoda, żem tego nie robił; natomiast zapoznałem się z ludźmi, którzy mieli się za artystów: twierdzili, że umieją rysować — ale nie chcą. Dawali mi herbatę — herbatę o piątej popołudniu! i rozprawiali o sztuce i o stanie swych dusz. I cóż mnie ich dusze mogły obchodzić! W ostatnich sześciu tygodniach nasłuchałem się tyle o sztuce, a tak mało jej widziałem, jak nigdy w mojem życiu.... Czy przypominasz sobie Cassaveli'ego — pracował dla jakiegoś kontynentalnego Syndykatu i włóczył się wszędzie za kolumną, stojącą obozem na pustyni. Wyruszając na wyprawę, zaopatrywał się zwykle w cały rynsztunek: brał baterye flaszek, rewolwer, przybory do pisania, ołówki, albumy, i Bóg wie co jeszcze; uczył nas jak się z tem obchodzić, jak pisać i pracować należy, lecz nie pracował nigdy samodzielnie, przepisywał poprostu sprawozdania naszego Nilghai.

— Poczciwy Nilghai. Jest w Londynie. Zawsze taki tłusty i krzykliwy. Ma tu przyjść dzisiaj.... Rozumiem, twoje porównanie. Ale po co się było wdawać z takimi filistrami. Masz teraz za swoje. Rozstroili ci nerwy, wyprowadzili z równowagi.

— Przeciwnie, wiele im zawdzięczam: teraz dopiero zrozumiałem, co sztuka prawdziwa.

— I czemże jest, mów?

Dick podniósł obrazek, odwrócony do ściany.

— Oto próbka sztuki prawdziwej — rzekł. — Jakiś tygodnik miał dać z tego facsimilową reprodukcyę. Jest to akwarella pod tytułem „Ostatni strzał,“ zrobiona z natury w El Maghreb. Przedstawiłem pijanego karabiniera, z hełmem na bakier, z szaloną obawą śmierci w nawpół przytomnych oczach i rozpłataną do kości głową. Nawpół żywy posyła jeszcze kulę za uciekającym nieprzyjacielem. Pięknym nie jest, lecz prawdziwym, oddanym genialnie.

— Jeszcze jeden dowód twojej skromności.

Dick zaśmiał się.

— Wszak mówię do ciebie. Z nikim nie byłbym tak szczerym. Otóż odtworzyłem tę postać, jak umiałem najlepiej, lecz redaktor tygodnika oświadczył mi, że taki szkic nie podobałby się jego prenumeratorom, że jest brutalnym i ordynarnym — jak gdyby ludzie, walcząc o życie bawili się w słodycz i dystynkcyę. Przekładał mi, że abonenci lubią żywsze barwy. Mogłem mu na to powiedzieć niejedno, ale co tu mówić z takim baranem! Zabrałem mój „Ostatni wystrzał.“ I patrz, com z niego zrobił. Ubrałem karabiniera w nowiuteńki mundur czerwony, niema na nim ani jednej plamki. To się nazywa sztuka. Wypucowałem mu buty, patrz jak błyszczą. To jest sztuka. Ogoliłem go, umyłem mu ręce i nadałem mu wyraz zadowolnienia, zaokrągliłem mu brzuszek i policzki. Rezultat taki, że wygląda, jak szyld na magazynie krawca wojskowego. A cena — dwa razy wyższa, niż za szkic poprzedni.

— Więc zamierzasz puścić w świat taką oto lichotę?

— I czemużby nie? Uczyniłem już to nawet, w imię ojczystej sztuki.

Torpenhow milczał przez chwilę, puszczając z fajki dym gęsty. Wreszcie z po za tych obłoków wygłosił wyrok następujący:

— Gdybyś był zadowolnioną ze siebie miernotą, nie rzekłbym ani słowa, pozwoliłbym ci wkraczać na pole płaskiej banalności, lecz wziąwszy na uwagę czem dla mnie jesteś, a także uwzględniwszy twój talent, daję ci taką odpowiedź. Patrzaj.

Torpenhow uderzył w papier obcasem; na ten szelest pies rzucił się i uszy nastawił, spodziewając się ujrzeć szczura.

— Jeśli chcesz mnie łajać, to łaj — mówił Torpenhow. — Milczysz. A zatem ciągnę dalej. Jesteś głupcem, postępujesz jak dwunastoletnia dziewczyna, co na złość rodzicom przeziębia się lub uczyć się nie chce. Niewolno nikomu lekceważyć sobie publicznością, choćby nawet publiczność była taką, jak powiadasz, co zresztą jest niesłusznem.

— O bynajmniej. Zresztą, czegóż można spodziewać się po ludziach, urodzonych i wzrosłych pod takiem niebem, przy takiem oświetleniu — Dick wskazywał na mgłę żółtą. — Jeśli chcą politury meblowej, będą mieli politurę, byle tylko za nią płacili. Wszak to tylko ludzie płci obojej. Ty o nich mówisz, jak gdyby byli bogami.

— Słowa twoje brzmią szumnie, ale nie mają nic z rzeczą wspólnego. Publiczność, o której wyrażasz się z taką pogardą, jest bądź co bądź, twoją pracodawczynią, pracować dla niej musisz sumiennie, czy chcesz, czy nie chcesz. Nie łudź się, Dickie, nie jesteś dość silnym, aby nią módz pomiatać, ani też aby módz lekce sobie ważyć siebie samego, co wychodzi na jedno. Strzeż się, abyś się nie upił — jesteś już nawpół pijany — łatwo zdobytą sławą i pieniędzmi. Dla tych pieniędzy, przez próżność piekielną, chcesz z powziętym z góry zamiarem i całą świadomością, dostarczać roboty lichej, niedbałej. Daj pokój, i tak popełnisz niejedną lichotę, nie domyśląc się tego wcale. A że cię kocham i wiem, że ty kochasz mnie także, więc nie pozwolę ci, choćby za miliony, odciąć sobie nos i twarz oszpecić na zawsze. Takie jest moje postanowienie. A teraz, obiecaj mi, że będziesz mu posłusznym.

— Nie wiem — odparł Dick. — Próbowałem się na ciebie rozgniewać, ale nie mogę, jesteś tak nieznośnie logicznym.

Wyobrażam sobie, jak będzie się na mnie miotał redaktor „Dickenson's Weekly."

— Jakto, więc ty się podjąłeś pracować dla takiego marnego tygodnika? Ależ to dobrowolne zaprzedanie sławy!

— Opłaca mi się jednak sowicie, przynosi mi całe stosy dolarów — mówił Dick, zagłębiając ręce w kieszeniach.

Torpenhow patrzał na niego z pogardą.

— Myślałem, że mam do czynienia z mężczyzną — rzekł — lecz widzę, że jesteś jeszcze dzieckiem.

— Oh! nie mów tak — zaprzeczył Dick namiętnie — ty nie wiesz, co znaczy pewność i łatwość zysku dla człowieka, któremu zawsze brakło pieniędzy. Żadne skarby ludzkie nie zdołają mi nagrodzić umartwień i prywacyj, jakie ponosiłem, zdobywając mozolnie tę trochę sławy. Nie dojadłem, nie dospałem, połknąłem niejedno upokorzenie, niejedną łzę gorzką. Teraz oni za wszystko zapłacić mi muszą, muszą mi dostarczyć tego, co pragnę.

— I czegóż Wasza Królewska Mość sobie życzy? Wszak nie możesz już palić więcej niż palisz; pić nie lubisz, jesz cokolwiek ci dadzą z apetytem, nie dbasz o wytworne odzienie. A gdy kiedyś proponowałem ci, abyś trzymał konia, odpowiedziałeś mi, że nie warto, bo może okuleć. Nie jesteś nawet dość naiwnym, aby sądzić, iż teatry, *café chantants* i wszystko, co w nich dostać można, stanowi rozrywkę i uciechę człowieka inteligentnego. Więc na cóż, u djabła potrzebne ci pieniądze?

— Hm! nie wiem jeszcze, ale dowiem się może niebawem. Opatrzność zsyła mi orzechy, gdy mam jeszcze zdrowe zęby do ich zgryzienia. Wprawdzie nie znalazłem jeszcze orzecha, któryby zgryźć pragnął, ale trzymam zęby w pogotowiu. W tych dniach wyruszymy obaj w podróż naokoło świata... w pogoń za szczęściem?

— Po tygodniu takiej wycieczki byłbyś nieznośnym a i ja także. Cóż warta włóczęga bez pracy, bez troski, kłopotów, współzawodników? Zresztą ja z tobą nie jadę. Nie chcę uży-

wać pieniędzy, wziętych za sprzedaż duszy — bo w taki sposób je osiągniesz. Dick, wszelkie argumenta są tu zbyteczne. Powiem ci tylko, żeś osioł.

— Odpowiem ci na ten zarzut parabolą. Żeglowałem kiedyś na statku chińskim, wiozącym nierogaciznę. Kapitan tego statku zdobył sobie wielki rozgłos i uznanie za to, iż zdołał uratować około dwudziestu pięciu tysięcy wieprzy, dotkniętych morską chorobą. Otóż, biorąc owe świnie za punkt porównania.

— Niech cię febra tłucze z twojemi porównaniami. Ilekroć tylko chcę udoskonalać twoją duszę, wyciągasz z mroków przeszłości jakąś niedorzeczną anegdotę.... Publiczność angielska nie jest stadem nierogacizny; rozgłos zdobywa się inaczej w Chinach niż tutaj, lecz godność osobista jest godnością na całej przestrzeni świata. Idź sobie teraz na spacer i rozważ, com ci powiedział. Gdyby Nilghai tu przyszedł, czy mogę mu pokazać twoje bazgraniny?

— Ma się rozumieć. Niebawem, pytać mnie będziesz, czy wolno ci do drzwi moich zapukać.

Dick odszedł i błąkając się po ulicach wśród gęstej mgły, rozważał i zastanawiał się nad słowami swego przyjaciela.

W pół godziny po jego odejściu, Nilghai gramolił się na schody.

Był on najzdolniejszym, a także najtłuściejszym z korespondentów wojennych.

Z wyjątkiem przyjaciela jego, Keneu, „wielkiego Orła wojennego,“ nikt nie miał silniejszej od niego pięści.

Każdą rozmowę zwykł był zaczynać od wieści, iż gotują się zaburzenia w Bałkanach.

Torpenhow przywitał go szczerym śmiechem.

— Mniejsza o zaburzenia w Bałkanach — rzekł, nie dając mu dojść do słowa. — Te małe państewka żyją ze sobą jak pies z kotem, to wiadomo. Ale czyś słyszał o powodzeniu Dicka?

— Tak, podobno idzie w górę. Spodziewam się, że poskramiasz od czasu do czasu wybuchy jego zarozumiałości. Potrzebuje hamulca.

— O i bardzo! Zaczyna już sobie lekceważyć to, co swoją sławą nazywa.

— Tak prędko. Nie wiem nic o jego sławie, lecz mogę mu przepowiedzieć, że na tej drodze może bardzo łatwo kark skręcić.

— Tak też mu i tłómaczyłem, ale wątpię czy mi uwierzył.

— Żaden z nich z początku nie wierzy. Lecz cóż to za strzępy?

— To ostatnia próbka jego zuchwalstwa.

Torpenhow wygładził otwór wybity obcasem i pokazał towarzyszowi swemu wymuskany obrazek.

Nilghai przyglądał mu się, pogwizdując.

— Chromo-litoleo-margarino-grafia! — zadecydował wreszcie głosem stentorowym. — Co za bies wszedł w tego chłopca! A jednak uchwycił ton, przemawiający do publiczności, na ogół, głupiej, jak stołowe nogi. Zuchwalstwo tej pracy ratuje ją niemal. Dick nie powinien jenak pozwalać sobie zanadto. Zdaje mi się, że go przechwalono i zepsuto. Wiesz, ludzie nie mają w niczem miary. Dopóki trwa zapał, gotowi zrobić go drugim Detaille'm i młodszym Meissonier'em, ale zapały prędko mijają. To niebezpieczne dla młokosa.

— Dick robi sobie z ludzkich zachwytów tyle, co młody wilczek, któremuby zamiast mięsa podawano słodycze. On pracuje tylko dla pieniędzy. A przytem butny, zadzierżysty.

— Potrzebuje tęgiej frycówki, jak widzę.

— Spraw mu ją koniecznie, tylko zręcznie. Schłostałbym go sam, ale zanadto go lubię.

— Co do mnie, nie miałbym skrupułów. Ten smarkacz usiłował kiedyś w Kairze odebrać mi kobietę.

— Czy ci ją odebrał?

— Dowiesz się ze sposobu, w jaki sobie z nim poczną. Lecz koniec końców po co to wszystko? Lepiej zostawić go sobie samemu, a przyjdzie niebawem ze zwieszonym łbem i podwiniętym ogonem. Życie nikogo nie oszczędza, swoją drogą zerżnę go porządnie w „Kataklyzmie."

— Wątpię, czy go to opamięta. Dziwny bo to chłopiec! Dusza jego zahartowała się już w ogniu, zanim spotkaliśmy go na naszej drodze. Strasznie podejrzliwy i samowolny.

— Kwestya temperamentu— objaśnił Nilghai. — Frycówka działa na każdego inaczej. Jednego wygrzmocisz, to się zabierze do pracy; innego wygrzmocisz, stanie dębęm, innego jeszcze wygrzmocisz a pójdzie sobie na spacer pogwizdując z rękami w kieszeniach.

— Tak właśnie zrobił Dick. Poczekaj na niego. Tymczasem możesz przygotować materyały do „zerżnięcia.“ Pokażę ci ostatnie i najgorsze jego prace.

Dick dla uspokojenia wzburzonych myśli poszedł nad wodę. Oparłszy się o arkady mostu Westminsterskiego przypatrywał się Tamizie.

Z początku zastanawiał się nad radami Torpenhowa, lecz ulegając sile przyzwyczajenia, skończył na badaniu twarzy przechodniów.

Jedni nosili na niej zapowiedź rychłej śmierci, a pomimo to wesoły uśmiech na ustach. Innym miłość opromieniała oblicza; na innych znowu twarzach znać było pracę ciężką, ogłupiającą, lecz Dick ze wszystkich tych twarzy czerpał dla siebie naukę.

Biedni, w jego mniemaniu, cierpieli dlatego, aby on mógł cierpienie studyować, a bogaci po to tylko byli stworzeni, aby płacili za rezultat tych jego studyów.

Cierpiał i on dawniej, teraz miał ciągnąć zyski z cierpienia innych.

Przez chwilkę mgła rozsunęła się, słońce zabłysło, krwawą łuną zabarwiając wodę.

Dick przyglądał się tym efektom świetlanym.

Dziewczyna jakaś, idąca pod rękę z młodym mężczyzną, potrąciła go brutalnie.

— Stanął na środku drogi i ani się ruszy, jak gdyby most do niego tylko należał — mruknęła.

Ten sam powiew wiatru, co przed chwilą rozchylił mgłę

żółtą, teraz rzucił mu w twarz kłęb gęstego dymu z mknącego po rzece parowca.

Dick zamknął oczy, a gdy je po chwili otworzył, przed sobą ujrzał — Maisie.

Wzrok go nie mylił. Ona to była istotnie.

Lata minione przedzierzgnęły dziecko w kobietę, nie zdołały jednak zmienić barwy ani wyrazu jej oczu, zatrzeć świeżości cery, ani złagodzić energicznego zarysu ust i brody, a w dodatku, dziewczę, jak dawniej, w szarą ubrane było sukienkę.

Na widok towarzyszki lat dziecinnych serce podskoczyło w piersiach młodzieńca; podbiegł do niej i przyzwał ją okrzykiem, zapamiętanym ze szkolnej ławy.

— Halloo ho! — zawołał.

Ona poznała go widocznie po głosie, bo odwróciła się i rzekła, bez wielkiego wzruszenia.

— Oh! to ty, Dick!

A jemu serce zabiło tak silnie, że tchu złapać nie mógł, ani słowa przemówić.

Mgła znowu się zsunęła, twarz Maisie ukazywała się z po za niej perłowo-biała.

Milczeli oboje, idąc obok siebie, krokiem równym, zgodnym, jak dawniej, przed laty.

Dick wreszcie odezwał się pierwszy.

— Co się stało z Amomą? — zapytał głosem nieswoim, ochrypłym.

— Zginęła, nie od nabojów, ale z przejedzenia. Pamiętasz, była zawsze taka żarłoczna. Jakie to dziwne! Prawda.

— O Tak!... Nie... Czy mówisz o Amomie?

— Taak. Nie.... O tem naszem spotkaniu. Zkąd przybywasz?

— Ztamtąd — rzekł wskazując na wschodnią dzielnicę miasta — a ty?

— O! ja mieszkam na północ, daleko po za Parkiem. Jestem bardzo zajęta.

— Cóż robisz?

— Maluję.

— Jakto! Miałaś przecież dostateczne utrzymanie. Trzysta funtów rocznego dochodu!

— Mam je wciąż. Ale swoją drogą maluję

— Czy jesteś tu sama zupełnie?

— Mieszkam z koleżanką. Nie idź tak prędko, Dicku, zgubiłeś krok.

— A więc nauczyłaś się malować.

— Wszak mówiłam zawsze, że chcę być artystką. Uczyłam się u Mertona w Saint John Wood, potem kopiowałam w Galeryi narodowej, teraz pracuję pod kierunkiem Kami'ego.

— Ależ Kami jest w Paryżu.

— Nie, ma szkołę malarską w Vitry-sur-Marne. Pracuję u niego latem, na zimę wracam do Londynu.

— Czy dużo sprzedajesz?

— Od czasu do czasu zdarzy się nabywca. Ale oto nadchodzi mój omnibus. Muszę wsiadać, inaczej straciłabym pół godziny. Dowidzenia, Dick.

— Dowidzenia, Maisie. Czy nie powiesz mi, gdzie mieszkasz. Chciałbym koniecznie zobaczyć cię jeszcze, a może będę mógł pomódz ci w robocie. I ja także maluję trochę.

— Jutro, jeżeli nie będzie dobrego światła, przyjdę do Parku. Chodzę tam zazwyczaj na spacer. Naturalnie, że zobaczymy się jeszcze.

Wsiadła do omnibusu, który potoczył się dalej wśród mgły.

— Przepadłem — mruknął Dick.

Zły na siebie, na świat, na wszystkich! oprócz Maisie, powrócił do domu.

Torpenhow i Nilghai zastali go siedzącym w ciemnej pracowni, z głową na ręku opartą.

Powtarzał wciąż: „Przepadłem! Przepadłem!“

— Przepadniesz ty dopiero jak ja ciebie „urządzę“ — zagrzmiał mu nad uchem Nilghai, wymachując kartką zapisa-

nego papieru. — Cierpisz podobno na rozstrój umysłowy. Takie ogólnie chodzą o tobie wieści.

— Ha! Nilghai? Jesteś tu znowu? I cóż słychać w Bałkanach?

— Mniejsza na teraz o Bałkany. Mam sobie za obowiązek „zerżnąć“ cię w recenzyi. Nie pozostawię na tobie suchej nitki. Torpenhow, przez fałszywą delikatność, nie chciał się podjąć tej roboty. Przetrząsnąłem całą twoją tekę. Czy nie wstyd ci „popełniać“ takich lichot?

— Pisz i myśl o mnie co ci się żywnie podoba, ja tymczasem idę do łóżka.

— Hm! Hm! Muszę ci jednak przeczytać, com napisał. W pierwszej części artykułu przedstawiam twój artystyczny dorobek. W dalszym ciągu taka jest moralna nauka:

„Praca, podjęta bez szczerego przekonania; potęga talentu, rozproszona na utwory banalne; robota, wykonywana z zamiarem uzyskania łatwego poklasku uniesionej prądem mody publiczności....“

— Rozumiem. Jest to wzmianka do „poprawnej“ edycyi „Ostatniego wystrzału.“ Czytaj dalej.

„...Publiczności—taka praca osiągnie to, na co zasługuje a wiec najprzód — wzgardliwe potępienie, a wkrótce zapomnienie zupełne. Mamy nadzieję, że p. Heldar zdoła uchronić się od podobnego losu.“

— *Hau! Hau! Hau!* — przedrzeźniał Dick lekceważąco.— Twoje szczekanie mało mnie obchodzi, choć konkluzye nie są pozbawione słuszności, przyznaję. Lecz jakiemże czołem — powstał i rzucił się na manuskrypt—jakiem czołem prawisz mi to, rozbestwiony gladyatorze, ty, który gdziebądź wojna zapali pochodnię, pędzisz, aby wśród publiczności angielskiej rozbudzać brutalne, zwierzęce, krwi pragnienie. Niema dziś cyrkowych aren i gladyatorów, miejsce ich zajęli korespondenci wojenni. Tyś właśnie takim gladyatorem. Stoisz na jednym poziomie z kupczącą swemi wdziękami aktorką, z burzącym wszystko orkanem, wreszcie — z moją marną osobą. I taki uważa się

za powołanego prawić mi morały, uczyć, czem jest sztuka prawdziwa! Nilghai! gdyby gra warta była świecy, przedstawiłbym cię w karykaturze w czterech na raz pismach....

Nilghai drgnął. Nie przewidział był takiego odwetu.

— ...Lecz, że jak powiadam, nie opłaciłoby mi się pokazywać cię publiczności, nawet pod postacią nosorożca, słonia lub dromadera, więc poprzestanę na podarciu tego manuskryptu w drobne kawałki.... Ot! tak!

Na posadzkę spadł grad białych płatków.

— A teraz, Nilghai, wracaj do domu, a mnie w spokoju pozostaw. Chcę wyspać się porządnie.

— Ależ niema jeszcze siódmej — zawołał Torpenhow ze zdziwieniem.

— Jak zechcę, kłaść się będę o drugiej popołudniu — odburknął Dick. — Wynoście się, powiadam. Nie będę wcale jadł dziś obiadu.

Mówiąc to wypchnął swych gości i drzwi na klucz zamknął.

— I cóż poradzisz z takim człowiekiem? — rzekł Nilghai.

— Najlepiej pozostawić go samemu sobie. Jakieś licho opętało go znowu.

O jednastej rozległo się pukanie do drzwi pracowni.

— Czy Nilghai jeszcze nie odszedł? — zapytał głos z wewnątrz. — No, to mu powiedz, że całą swę naukę moralną mógł był streścić w te słowa: „Tylko wolni ludzie są niewolnikami, i niewolnicy jedynie są wolnymi ludźmi.“ Powiedz mu, Torp, że jest idyotą — a ja drugim.

— Dobrze. Przyjdź na kolacyę. Nie miałeś nic w ustach od rana. Fajka cię nie nasyci.

Zaproszenie to pozostało bez odpowiedzi.

ROZDZIAŁ V.

Nazajutrz Torpenhow znalazł Dicka pogrążonego w zadumie, wśród kłębów dymu.

— No, w jakimże dziś jesteś usposobieniu, waryacie?

— Nie wiem, badam się właśnie.

— Lepiej byś zrobił, gdybyś dał pokój rozmyślaniom, a zabrał się do pracy.

— Być może, ale mi nie pilno. Zrobiłem odkrycie. Torp, za wiele jest *Ego* w mojem *Cosmos*.

— Czy to objawienie jest rezultatem moich morałów, czy też słów prawdy, jakie ci palnął Nilghai?

— Nie, przyszedłem do tego wniosku drogą samodzielnych myśli.

Przerzucił kilka niedokończonych szkiców, zabębnił na rozpiętem płótnie, wyczyścił parę pędzlów, pociągnął za ogon charcika Binkie, przetrząsnął kolekcyę zbroi i kostyumów, poczem ubrał się w palto, kapelusz i oświadczywszy, że dość się już napracował, wyszedł na miasto.

— Co się temu chłopcu stało? — rozważał Torpenhow — pierwszy raz widzę go takim. Może też odkrył w sobie duszę, temperament artystyczny, albo coś w tym rodzaju. To są skutki pozostawienia go sobie samemu przez miesiąc. Musiał się wałęsać po nocach. Trzeba w to wniknąć.

Zadzwonił na starego rządcę domu a zarazem posługacza kawalerskich mieszkań, którego nic zdziwić ani rozgniewać nie mogło.

— Beeton — rzekł — czy p. Heldar jadał po za domem, podczas mojej nieobecności?

— Ani razu nie narządzałem mu garnituru frakowego, bywał zawsze na obiedzie. Ale za to przyprowadzał po teatrze młodych gentlemanów, którzy Bóg wie co wyprawiali. Ja bo już jestem przyzwyczajony, że panowie na tym piętrze nie zachowują się zbyt spokojnie. Ale takich, jak tamci, jeszcze nie widziałem. Bo to proszę pana, o drugiej w nocy robili hałasy na schodach, że niech Bóg broni. Przyszło im nagle do głowy zrzucać laski na dół z piątego piętra. A co się przytem naśpiewali, nagwizdali, to niech im Pan Bóg nie pamięta! Nie trzeba mieć litości nad innymi lokatorami. Zawsze powiadam:

„Czyńcie drugim, jako chcecie, aby wam czyniono.“ To moja zasada.

— Hm! wiadomo, górne piętro nie jest najspokojniejsze w całym domu.

— Nie skarżę się wcale, proszę pana. Robiłem uwagę p. Heldar—bardzo przyjacielską, delikatną, ale mnie wyśmiał i narysował moją żonę w karykaturze. Nie gniewałem się, bo „Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda....“ Tak, panie, pan Heldar cały ten czas nie miał na sobie fraka ani razu.

— Tem lepiej — pomyślał Torpenhow — łobuzerki w gronie kolegów, to jeszcze pół biedy, ale jak zaczną się salonowe kokieterye, jak damy z „towarzystwa“ i skromne panienki wezmą młodego chłopca w obroty, to już nieszczęście całe.

Binkie, ciesz się, że nie jesteś człowiekiem. Ustrzeże cię to od wielu głupstw.

Dick tymczasem kierował kroki swe ku północnej stronie parku a po drodze przypominał sobie figle chłopięce: jak kiedyś Amomie przybrał rogi w strzępiony papier, ja Maisie się złościła, jak on się śmiał z jej gniewu, jak potem się pogodzili.

Przypominał sobie ważniejsze momenta tych czterech lat, spędzonych razem, a każde wspomnienienie opromienione było obrazem Maisie.

Widział ją w czarnej sukience nad brzegiem zatoki, wśród wichury, odgarniającą z czoła ciemne włosy; widział ją w dnie słotne przeskakującą z kamyka na kamień, widział ją spokojnie i zuchwale okłamującą mrs. Jannett; widział ją strzelającą do celu z wielkim zapałem.

Obrazy te jeden po drugim przesuwały się przed jego wyobraźnią.

Najdłużej lubował się ostatnim.

W duszy jego był taki spokój i błogość, jakich już dawno nie pamiętał.

Zdawało mu się rzeczą zupełnie naturalną, iż zamiast siedzieć przy stalugach, on błądził po parku w zadumie.

— Dobre dziś światło do roboty — myślał, przypatrując się swemu cieniowi na piasku. — Niejeden bazgracz musi się cieszyć. Ale oto i Maisie.

Zbliżała się ku niemu od strony Marmurowego Łuku, mógł jej się dobrze przyjrzeć.

Widział z radością, że się nie wiele zmieniła.

Ten sam chód, ten sam wyraz twarzy, nawet sukienka szara, taka sama, jak przed laty.

Nie przywitali się ze sobą, także po dawnemu.

— Co tu robisz o tej porze? Dlaczego nie korzystasz ze światła? — pytał Dick, takim tonem, jak gdyby pytać miał prawo.

— Zbijam bąki — odparła. — Nie mogłam sobie poradzić z pędzlami, rzuciłam je więc i poszłam na spacer.

— Nad czem teraz pracujesz?

— Robię głowę, studyum fantazyjne, ale jakoś nie idzie. Niema w tem kolorytu, życia.

— Za to masz zbyteczny koloryt na tym oto rękawie — mówił Dick, pokazując jej wesoło zawalany mankiet.

— Jesteś zawsze taki sam nieznośny, jak byłeś.

— Zdaje się, że i tyś się nie zmieniła pod żadnym względem — mówił, bacznie jej się przyglądając.

Na bladem tle jesiennego nieba, przezierającego przez ogołocone z liści gałęzie parku, zarysowywała się czarna, kędzierzawa główka, o rezolutnym profilu.

— Nie, nie zmieniłaś się wcale — zadecydował Dick. — Jak to dobrze! Czy pamiętasz, jak ci przywiązałem warkocze do krzesła! Takeś się złościła!

Maisie uśmiechnęła się i zwróciła całą twarzą do Dicka.

— Pozostań tak chwilkę — zawołał. — ...Kąty ust trochę opadły. — Czy ci kto dokuczył, Maisie?

— Nikt, ja sama sobie dokuczam najbardziej. Nigdy nie jestem zadowolniona ze swej roboty, a jednak bardzo się staram, a Kami powiada....

— ...*Continuez, mesdemoiselles. Continuez toujours, mes enfants.*

— Istotnie, to jego zwykłe słowa. Zeszłego lata mówił mi jednak, że robię postępy i że w tym roku pozwoli mi posłać co na wystawę.

— Ależ chyba nie tutaj?

— Ma się rozumieć, w Salonie.

— Chcesz wysoko szybować.

— Ah! już tak dawno przygotowuję skrzydła do lotu. A gdzież ty wystawiasz, Dick?

— Nie wystawiam wcale, sprzedaję.

— Jaki jest twój rodzaj?

— Czyś o mnie nie słyszała?

Dick spojrzał na nią oczyma zdumionemi.

W głowie mu się nie mieściło, aby nazwisko jego w obecnej chwili mogło nie dojść do czyichbądź uszów, a zwłaszcza do uszu malarki.

Zastanowił się nad sposobem olśnienia jej. Byli niedaleko od Marmurowego Łuku.

Błysnęła mu myśl szczęśliwa.

— Chodź ze mną na Oxford-Street, a zobaczysz — rzekł.

Zbiorowisko ludzi stało przed oknem dobrze znanego Dickowi sklepu księgarskiego.

— Są tu reprodukcye kilku moich rzeczy — mówił z tryumfem.

Nigdy jeszcze powodzenie nie smakowało mu jak w tej chwili.

— Widzisz, to jest mój rodzaj. Czy ci się podoba?

Maisie przyglądała się dzikiemu, szalonemu natarciu czarnych zastępów na kolumny wojska angielskiego, witającego je ogniem kartaczy.

Dwóch artylerzystów stało po za nią w tłumie.

— Patrz — mówił jeden — jak ta hołota się bije, jak się przeciska. Co za bestye szalone, a jakie odważne!... A nasi!... Widzisz tego, jak sobie spokojnie celuje w sam środek mrowiska. Tybyś tak nie umiał.

— A tamten jak się szamocze z czarnym djabłem! Wyrž

wał mu lancę. Kolbą się zamierza. Tylko patrzeć, jak go powali na ziemię. Nasi górą.

— Widzisz jaki to koń. Żywy, co? To się nazywa obraz dopiero.

Dick śledził wrażenie, jakie słowa te czynią na Maisie i promieniał z radości.

Dziewczynę zajmowało bardziej zbiegowisko ludz., niźli obrazy.

— Ach! i ja tego chciałam dla siebie, chcę jeszcze — szepnęła wreszcie, z zapartym oddechem.

— Mogę być dumny — mówił Dick uroczyście. — Spojrzyj na twarze tych ludzi. Oni sami nie wiedzą, dlaczego tak szeroko otwierają oczy i usta, ale ja wiem. Wiem, co warta moja robota.

— O tak, widzę. Jakie to szczęście dojść do sławy!

— Zapewne. Ale nie tak łatwo, jak się wydaje. Trzeba się dobrze wpierw namozolić.

— Powiedz mi, jakeś to osiągnął?

Powrócili znowu do parku i Dick począł opowiadać o swoich zapasach ze sztuką, przyczem rozwinął zwykłe samochwalstwo, jakie mężczyzna ujawnia wobec kobiety, której się pragnie podobać.

Słowo „ja" nie schodziło z ust jego.

Maisie słuchała z przejęciem, od czasu do czasu kiwając głową.

Dzieje walki o byt, ciężkich umartwień i kłopotów nie wzruszały jej wcale.

Pod koniec każdej opowieści zwykł był dodawać:

„I to właśnie wlało we mnie poczucie barw... świateł," lub inne zalety, o które się ubiegał.

Wiódł ją, z zapartym oddechem przez pół świata, opowiadając swe przygody z niebywałą u siebie wymową.

A wśród tych opowiadań brała go nieraz ochota szalona porwać dziewczynę — co patrzyła na niego tak ciekawie, tak rozumnie — porwać ją i unieść daleko, bo go tak dobrze poj-

mowała, a przedewszystkiem, bo była jego Maisie, najpożądańszą ze wszystkich kobiet.

— I tak, zdobyłem wszystko, com pragnął — zakonkludował — a musiałem nieraz zdobywać przebojem. Teraz ty mów.

Dzieje Maisie były prawie tak szare, jak jej sukienka.

Składały się na nie lata pracy wytrwałej, podejmowanej w imię ambicyi szalonej, której nic zmrozić, nic złamać nie mogło: ani obojętność nabywców; ani mgły, przerywające tak często robotę; ani uwagi, niekiedy bolące mistrza; ani upokarzająca grzeczność koleżanek.

Jasnemi promieniami wśród tej bezbarwnej przędzy było przyjęcie paru obrazków na prowincyonalnych wystawach.

— Jak widzisz, Dick, pracowałam i pracuję krwawo, a jednak powodzenia jak niema tak niema — rzekła wreszcie z goryczą.

Serce Dicka wezbrało litością bezbrzeżną.

— Nie martw się — pocieszał ją — coś ci powiem, nie wiem tylko czy mi uwierzysz: cały ten kram, rozgłos, sława tak dalej, nie warte naszych wspomnień z Fort-Keeling. Pamiętasz?

Maisie zarumieniła się.

— Łatwo ci tak mówić, bo zdobyłeś to wszystko, a ja nic.

— Posłuchaj, Maisie. Wyda ci się to może dziwnem i niedorzecznem, ale dla mnie te dziesięć lat tak jakby nie istniały, przeszły one po mojej duszy bez wrażenia. Wróciłem i znowu jest tak samo. Tyś samotna i ja również. Więc po cóż się martwić! Chodź do mnie, najdroższa.

Maisie parasolką zakreślała figury na piasku.

— Rozumiem — rzekła po chwili — ale to niepodobna, mam przed sobą cel i dopiąć go muszę.

— Możesz dążyć do niego przy mnie i ze mną. Ja ci nie będę przeszkadzał.

— Nie, nie mogłabym. Ja chcę, żeby to było moje dzieło, moje... moje własne. Przez całe życie byłam samotna i żyłam dla siebie tylko, nie chcę należeć do nikogo. Pamiętam to co

było między nami równie dobrze jak i ty, ale byliśmy wówczas dzieciakami, nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Dick, nie bądź egoistą. Prawie pewną jestem, że w przyszłym roku zdobędę trochę powodzenia. Nie odbieraj mi go.

— Przepraszam cię, jedyna. Źlem zrobił, odzywając się do ciebie w ten sposób. Trudno istotnie, abyś wyrzekła się dla mnie tego, co cenisz sobie najbardziej. Usunę ci się z drogi, poczekam.

— Ależ, Dicku, ja nie chcę wcale... abyś mi się z drogi usuwał.

— Jestem na twoje rozkazy, kochanie.

Dick pożerał oczyma zakłopotaną twarzyczkę, a w oczach jego przebijała nadzieja, bo pewien był, że wcześniej czy później Maisie zechce go pokochać, skoro on kochał ją tak gorąco i tak serdecznie.

— Jestem niedobra i samolubna, czuję to — mówiła Maisie — ale teraz gdyśmy się znowu spotkali, chcę zatrzymać cię przy sobie, wprowadzić cię do mego życia.

— Naturalnie. Wszak jestem twoją własnością.

— O nie, ale tyś zawsze mnie rozumiał i będziesz mógł pomódz mi w robocie. Znasz lepiej odemnie technikę malarską. Co?

— Tak przypuszczam. A więc, nie chcesz mnie stracić z oczu, pragniesz, abym ci dopomógł w robocie?

— Tak, ale pamiętaj Dicku, że nie zobowiązuję się do niczego, że to co myślisz, nie nastąpi nigdy, nigdy! Dlatego to właśnie czuję się samolubną. Rzeczy między nami pozostaną zawsze tak jak stoją. Mówię ci otwarcie, że liczę na twoją pomoc.

— Będziesz ją miała. Lecz przedewszystkiem muszę zobaczyć twoje obrazy, przejrzeć szkice i twoje dążenia przeniknąć. Powinnabyś przeczytać, co gazety piszą o moich tendencyach! Potem będę ci rad udzielał, a ty wedle nich malować będziesz. Wszak tego właśnie spodziewasz się po mnie, Maisie?

Znowu w oczach Dicka zamigotał błysk tryumfu i nadziei.

— Za dobry jesteś dla mnie, a to dlatego, że bądź co bądź, liczysz na to, co nigdy nie przyjdzie; lecz pamiętaj: ja cię nie łudzę obietnicą żadną, choć może źle czynię, zatrzymując cię przy sobie.

— Mam oczy zupełnie otwarte. Zresztą królowa błądzić nie może. Zadziwia mnie, nie samolubstwo twoje, ale raczej zuchwałość, z jaką oświadczasz, że chcesz zrobić ze mnie użytek.

— Phi! Jesteś tylko Dicklem Heldar, początkującym, bądź co bądź artystą.

— Istotnie, niczem więcej. Ale, Maisie, wszak wierzysz, że cię kocham? Nie chcę, abyś sobie wyobrażała, że to jakieś uczucia braterskie lub tym podobne.

Maisie spojrzała na niego i oczy spuściła.

Śmieszne to zapewne, ale ci wierzę. Chciałabym pożegnać cię na zawsze, zanim wzbudzę w tobie żal i urazę... ale... ale koleżanka mieszkająca ze mną, jest ruda i przytem impresyonistka, wszystkie nasze pojęcia sprzeczne są ze sobą.

— Tak jak twoje z mojemi. Lecz mniejsza. Za trzy miesiące śmiać się będziemy z nich oboje.

Maisie wstrząsnęła głową ze smutkiem.

— Wiedziałam — rzekła — że mnie nie zrozumiesz. Spojrz na moją twarz, Dickie i powiedz, co w niej czytasz.

Stali naprzeciwko siebie. Naokoło mgła coraz bardziej gęstniała, zdala dolatywały odgłosy stolicy.

Dick przyzwał na pomoc, z takim trudem zdobytą, znajomość ludzkich fizyognomij i stosował ją kolejno do oczu, ust i każdego rysu twarzyczki, spoglądającej na niego z po za aksamitnego toczka.

— Oboje jesteśmy uparci — zadecydował wreszcie — i jedno musi przełamać upór drugiego. No, a teraz ułóżmy się co do następnych naszych spotkań. Chcę koniecznie odwiedzić cię i zobaczyć twoją robotę. Przyjdę którego dnia, jak twojej rudej koleżanki w domu nie będzie.

— W niedzielę mam najwięcej czasu wolnego. Przyjdź w niedzielę. Tyle rzeczy mam z tobą do obgadania, w tylu kwestyach pragnęłabym rady twojej zasięgnąć.

— Postaraj się do niedzieli zrozumnieć mnie należycie — szepnął Dick. — Dowidzenia najdroższa. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Maisie odbiegła, podobna do szarej myszki.

Dick długo patrzał za nią, nie mógł jednak słyszeć, jak szeptała do siebie:

— Jestem szkaradna, niegodziwa. Ale Dick mnie przecież zrozumie, zrozumieć powinien.

Nikt jeszcze dokładnie nie wykazał, jaki obrót przyjmują rzeczy, gdy wola niezłomna napotka na drodze swej nieprzepartą zaporę, jakkolwiek wielu już nad zagadnieniem takiem łamało sobie głowy, tak jak Dick w owej chwili.

Usiłował wmówić w siebie, że Maisie po paru tygodniach częstych jego odwiedzin i dowodów szczerej miłości da się wprowadzić na drogę tkliwszych uczuć, lecz trudno mu było się łudzić: uprzytomniał sobie jej twarz i to co było na niej wypisanem.

— Jeśli wogóle znam się na rysach i umiem w nich czytać — rzekł sobie — to nie ulega wątpliwości, że w jej twarzy jest wszystko, oprócz miłości własnej. Powinienem dobrze zapamiętać, iż te usta i ta bródka za żadne skarby świata nie dadzą się pozyskać. Ta kobieta, wie czego pragnie, do czego zmierza i wiedziała do kogo się udać dla urzeczywistnienia swych dążeń i pragnień. Co za zuchwalstwo jednak! Mnie! Mnie użyć do takich celów! Ale wszak to Maisie. Zmienia to zupełnie postać rzeczy, a przytem daje mi możność widywania jej częściej. Dawno już mówiłem sobie, że ona wszystko zrobić ze mną zdolna.... Będzie mnie używała, tak jak ja używałem *monsieur* Binat w Port-Said. Ma racyę, ma zupełną racyę. Trochę mnie to boli, ale za to będę ją widywał co niedziela, chodzić do niej będę, jak kawaler starający się o pokojówkę. Byłaby z lodu, gdyby choć trochę się nie rozgrzała.... A je-

dnak te usta, te usta nie mają w sobie ani krzty ciepła serdecznego. Przez cały czas będę miał szaloną ochotę ją całować, a natomiast, trzeba będzie oglądać jej obrazy, nie wiem nawet właściwie jaki jest jej rodzaj, trzeba będzie rozprawiać o sztuce, o sztuce kobiecej w dodatku. Niech djabli porwą sztukę wszelaką! Wyświadczyła mi ona niedawno olbrzymią przysługę, lecz dziś stoi mi na zawadzie. Trzeba wracać do domu, na jej łono!

Nawpół drogi do pracowni, myśl bolesna, uchwyciła Dicka za serce.

Nasunęła mu ją postać samotnej kobiety, co się przesunęła obok niego wśród mgły.

— I ona jest samotną w Londynie — pomyślał — za jedyną towarzyszkę ma jakąś rudowłosą dziewczynę, obdarzoną zapewne żołądkiem strusim. Wszyscy rudzi mają strusie żołądki. Z pewnością żywią się byle czem, jadają nieregularnie i wciąż popijają herbatę. Pamiętam tryb życia studentów paryskich. Maisie taka delikatna. Lada dzień może się rozchorować, a ja nie będę przy niej, nie będę miał prawa doglądać jej, nieść jej pomocy i ulgi. Oh! to okropne!

Torpenhow wszedł do pracowni o zmroku; patrzał na Dicka z wyrazem, w którym przebijała miłość surowa, ostra, jaka się wywiązuje pomiędzy mężczyznami, którzy dzielili wspólnie niebezpieczeństwa i trudy, a w gruncie jest bardziej serdeczną, choć nie tak tkliwą, jak uczucia, wykwitające pomiędzy kobietami.

Miłość ta tem jest prawdziwszą, iż nie wyklucza, przeciwnie wywołuje naganę, sprzeczki i szczerość niekiedy brutalną, lecz za to wytrzymuje ona próbę oddalenia, rozłąki, a nawet niewdzięczności.

Dick w milczeniu podał przyjacielowi fajkę.

Myślał w tej chwili o Maisie i jej potrzebach.

Dziwnem wydawało mu się myśleć o potrzebach kogokolwiek, oprócz Torpenhowa, który zresztą sam umiał sobie radzić. Nagle błysnął mu punkt wyjścia.

Przyszło mu na myśl, że mógłby trafić do serca Maisie — brylantami, grubym łańcuchem złotym otoczyć jej delikatną szyjkę, okrągłe ręce pokryć bransoletami kosztownemi, na drobne paluszki, które tulił w swych dłoniach, włożyć bogate pierścienie.

Był to pomysł szalony, wszak Maisie nie chciała nawet, aby paluszka jej ozdobił jednym jedynym pierścionkiem, a wyśmiałaby wszelkie świecidła i ozdoby, lub odrzuciła je z pogardą.

Och! ona była tak różną od ogółu kobiet!

Nie, zamiast obsypywać ją złotem, on wolałby stokroć siedzieć z nią sam na sam o zmroku, ręką opasać jej kibić, główkę jej oprzeć na swem ramieniu, tulić ją do siebie, jako ukochaną żoneczkę.

Buty Torpenhowa skrzypiały długo w noc, głos jego często przerywał ciszę.

Dick nic z tego nie słyszał. Rozmyślał nad dziwną swą dolą. Umiał był pozyskać sławę, powodzenie, uważał je za słuszną nagrodę po stoczonych walkach i poniesionych trudach, za hołd sobie należny, i oto teraz w owym tryumfalnym pochodzie zagradzała mu drogę kobieta — niezdobyta, niezwalczona.

Widziała, uznawała jego tryumfy, lecz pomimo to nie dbała o niego — ani odrobinę.

— Jak widzę, stary — zawołał wreszcie Torpenhow, po kilkakrotnych, a bezskutecznych próbach nawiązania rozmowy — jak widzę niczem nie można cię dziś poruszyć. Nagadałem ci już tyle, że innym razem byłbyś mi skoczył do oczu. A teraz siedzisz, jak mumia i ani się odburkniesz. Cóż to, czy wątroba w nieporządku?

— Człowiek prawdziwie zdrów nie wie nawet, że ma wątrobę. Jestem tylko trochę zmęczony i znudzony. Jeśli mi co doskwiera, to dusza.

— Człowiek prawdziwie zdrów nie wie nawet, że ma duszę. Co ci po takim zbytku?

— Ot, nie wiadomo zkąd przyszło jakieś opętanie. Któż to powiedział, że jesteśmy wszyscy, jako okręty obłudy, żeglujące po morzu nieporozumienia.

— Ktobądź to powiedział, powiedział prawdę na ogół. Ale my dwaj przecież okłamywać się nie będziemy wzajemnie.

Dick otoczył się kłębami dymu.

— Stary, czy chodzi o kobietę? — zapytał Torpenhow podstępnie.

— Niech cię licho porwie wraz z wszystkiemi kobietami na świecie, a jak zechcesz mnie brać na konfesatę, to uprzedzam cię, że wynajmę dużą pracownię z czerwonej cegły ze ścianami malowanemi białą olejną farbą, z doniczkami petunii na oknach i zaproszę do niej wszystkie kobiety, które rozprawiają i marzą o tak zwanej przez siebie sztuce, a ty będziesz musiał je przyjmować we fraku aksamitnym bronzowym, w żółtych spodniach i pomarańczowym krawacie. Ubawisz się, co?

— Nie wykręcaj się, Dick. Mnie w pole nie wywiedziesz. Zresztą to nie moja rzecz, czuję tylko, że gotujesz sobie jakiś zawód bolesny. Zkąd na ciebie spadnie, z ziemi czy z nieba, tego nie wiem, ale że spadnie, to pewna i ciężarem swym skruszy, zmiażdży twoją dumę, twoje zuchwalstwo i zarozumiałość. Potrzebujesz zresztą takiej nauki.

— Dobrze — rzekł — jak mnie spotka, to cię przywołam na pomoc.

— Bądź pewny, że i ja jeszcze przyłożę ręki do tej chłosty. Ale co my tam pleciemy. Chodźmy lepiej do teatru.

ROZDZIAŁ VI.

W parę tygodni potem, w mglisty dzień niedzielny szedł Dick przez park, wracając do swej pracowni.

— Królowa błądzić nie może — mówił do siebie — a trudno temu zaprzeczyć: ma pewne pojęcie o rysunku.

Wychodził właśnie z niedzielnych odwiedzin u Maisie.

Odbywały się one zawsze pod okiem rudowłosej impresyonistki, którą Dick znienawidził od pierwszego wejrzenia.

Regularnie co niedziela, kładł najlepszy swój tużurek i szedł przez park do odległej dzielnicy.

Przy pierwszy odwiedzinach obejrzał sumiennie cały dorobek artystyczny Maisie, na następnych, przekonawszy się, że warto rad udzielać, dawał jej wskazówki.

I powtarzało się to odtąd co niedziela, a za każdem widzeniem potęgowała się miłość młodzieńca; nieraz miał Dick na ustach wyznanie, nieraz brała go ochota, zaniechać gawęd artystycznych, przytulić dziewczynę, zasypać ją pocałunkami; lecz czuł, że Maisie była jeszcze dla niego niedostępną, że nie poddałaby się pieszczotom; że lepiej było stłumić porywy uczuć i rozmawiać spokojnie o tajnikach sztuki, która w obecnej chwili była dla niej wszystkiem.

Z wielką rezygnacyą szedł więc co tydzień na dobrowolną torturę w pracowni, zbudowanej w odosobnionej willi do której nikt nigdy nie zaglądał i gdzie nigdy nic nie leżało na miejscu — szedł, siadał przy stalugach, rozprawiał o sztuce, a w przerwach pożerał oczyma Maisie, krzątającą się około herbaty.

Wprawdzie nie znosił herbaty, lecz że to przyjęcie pozwalało mu bawić dłużej, pił ją zatem skwapliwie, choć rudowłosa dziewczyna siedziała naprzeciwko niego i oczu zeń nie spuszczała ani na chwilę.

Był przedmiotem nieustannych jej obserwacyj.

Raz tylko, raz jedyny, pozostawiła ich sam na sam.

Maisie pokazywała mu album z wycinkami z gazet prowincyonalnych, w których były pobieżne sprawozdania o jej obrazach, nadesłanych na miejscowe wystawy.

Dick nachylił się i pocałował zawalany farbą palec, którym wodziła po otwartej karcie.

— Oh! najdroższa! jedyna! — szepnął — więc tak bardzo cenisz sobie te wzmianki. Wrzuć je lepiej do kosza, wierzaj mi.

— Ani myślę, dopóki czegoś lepszego nie uzyskam — rzekła Maisie, zamykając album.

Dick przejęty głębokiem lekceważeniem publiczności i wielką chęcią dogodzenia swej ukochanej, zaproponomał wprost, że dostarczy jej większej ilości tak pożądanych wycinków, malując obraz, na którym Maisie podpis swój położy.

— Ależ to byłoby oszukaństwem! — zawołała oburzona.— Nie spodziewałam się czegoś podobnego po tobie. O! nie, to musi być moje dzieło, moje własne!

— A więc maluj dekoracyjne medaljony do salonów bogatych piwowarów. To akurat robota dla ciebie — rzekł brutalnie, bo też go wyprowadziła z cierpliwości.

Spojrzała na niego takiem spojrzeniem, jakiem zwykła była poskramiać porywy gniewu mrs. Jaunett.

Na następną niedzielę Dick złożył u stóp Maisie drobne podarki w postaci pędzli, które malowały prawie same i farb w których trwałość wierzył głęboko, i z całem przejęciem przypatrywał się pracom swej ukochanej.

Włosy stanęłyby dębem na głowie Torpenhow'a, gdyby mógł słyszeć, jak płynnie Dick wygłaszał jego własne poglądy na sztukę, przeciwko którym tak niedawno jeszcze się buntował.

Przed miesiącem Dick sam dziwiłby się sobie, ale że chodziło o dobro Maisie, więc wysilał się, aby przedstawić jej cele i zadania sztuki, a przekładał także to, z czego sam niezbyt jasno zdawał sobie sprawę, mianowicie: dlaczego należy malować tak, a nie inaczej.

Nietrudno jest robić cokolwiek, gdy się wie, jak robić należy; trudniej daleko swoją metodę wytłómaczyć.

— Potrafiłbym ci to objaśnić, gdybym miał pędzel w ręku, ale słowami to niepodobna — mówił Dick, słuchając ubolewań Maisie nad brodą, której w żaden sposób nie mogła nadać takiego pozoru, jak gdyby była „z krwi i ciała." — Posiadasz miękkość pędzla, lecz zdaje mi się, że rysować nie umiesz. Radzę ci rzucić na czas jakiś pędzle i wziąść się do ołówka;

wtedy rozmaite błędy techniki wyjdą na jaw i będę mógł je wytępić —

Maisie broniła się przeciwko takiej radzie.

Nie była zwolonniczką linij.

— Rozumiem — odparł Dick. — Masz zamiar pokryć niedokładność rysunku tej głowy jakimś wieńcem z liści, kwiatami lub czemś podobnem.

Rudowłosa dziewczyna zasmiała się złośliwie.

— Zamierzasz malować krajobrazy z bydłem, zagłębionem w trawę po golenie, aby zatuszować zły rysunek — ciągnął Dick dalej. — Jednem słowem, chcesz zrobić więcej daleko, niż potrafisz. Masz poczucie barw, lecz brak ci formy. Barwy są warunkiem koniecznym, poczucie ich — darem przyrodzonym, ale formy, zarysy można nabyć pracą wytrwałą. Otóż kilka twoich główek i studyów jest wcale niezłych, lecz barwy nie posuną cię ani o krok naprzód. Linie jedynie mogą wykazać twoje słabe strony, przez linie dojdziesz do lepszej techniki.

— Ależ inni... — przerwała Maisie.

— Co ci do innych. Ich dusze nie są twoją duszą. Pamiętaj, że powinnaś zdobywać sławę samodzielnie i że w walce tej oglądać się na kogobądź byłoby stratą czasu.

Dick umilkł, żądza tak długo tłumiona, zatliła się znowu w jego oczach.

Spojrzał na Maisie a spojrzenie jego wymowniej jeszcze od słów zapytywało: czy nie przyszła już chwila wyjścia z tego labiryntu obrazów, rad i wskazówek i wkroczenia na drogę szczęścia i miłości?

Maisie zgodziła się tak ochotnie i z takiem wdzlękiem na ów nowy program nauki, że Dick zaledwie mógł się powstrzymać od porwania jej w objęcia i zaniesienia do najbliższego urzędu stanu cywilnego.

To posłuszeństwo ślepe dla słów wypowiadanych, a bezgraniczna obojętność na niewyjawiane życzenia, wprowadzały go w najwyższą rozpacz i zdumienie.

W domu tym zażywał wielkiej władzy; władzę tę wpra-

wdzie mógł pełnić jedynie przez czwartą część jednego dnia w tygodniu, lecz w chwilach tych była nieograniczoną i niepodzielną.

Maisie przywykła zasięgać jego rady w najróżnorodniejszych kwestyach— tak dobrze co do sposobu pakowania obrazów jak i co do dymiącego komina.

Rudowłosa dziewczyna nie radziła go się nigdy o nic.

Natomiast przyzwalała w milczeniu na jego odwiedziny i nie spuszczała zeń oczu przez cały czas wizyty.

Dick stwierdził, iż posiłki w tym domu spożywane były nadzwyczaj nieregularnie i nie odznaczały się wcale obfitością i że wedle jego przypuszczeń, żywiono się tu przeważnie herbatą, sucharkami i piklami.

Maisie wydawała prawie cały swój dochód na opłatę modelów, a towarzyszka jej lubowała się w przyrządach, o tyle wytwornych, o ile jej własna robota była surową i nieudolną.

Dick, zbrojny w doświadczenie, drogo nabyte w hotelu przybrzeżnym, ostrzegał Maisie, iż nie można głodzić się bezkarnie; że to się odbija na pracy, pozbawia natchnienia, co gorszem jest niźli śmierć sama.

Maisie słuchała go i większą zaczęła zwracać uwagę na odżywianie.

W chwilach zwątpienia i rozpaczy, które napadały go zwykle o zmroku, Dick czerpał otuchę we wspomnieniu władzy, jaką wywierał i uległości, jakiej dawano mu dowody; przypominał sobie także rozmaite swoje usługi — sięgające nawet do czyszczenia kopcącego kominka — usługi, przyjmowe bardzo łaskawie i upatrywał w tem świadectwo swej wszechpotęgi.

Co niedziela wprawdzie przekonywał się o bezpodstawności podobnych złudzeń, wciąż jednak do nich powracał.

Wieleż bo to drobnych upokorzeń spotykało go podczas owych poobiednich odwiedzin!

A pastwiła się nad nim nietylko Maisie.

Pewnej niedzieli, rudowłosa dziewczyna oświadczyła, iż

zamierza użyć głowy Dicka za wzór do studyum, prosiła go zatem, aby siedział spokojnie i potrzał w jeden punkt — „choćby na Maisie.“

Usiadł, bo trudno było odmówić i przez pół godziny przypominał sobie wszystkich ludzi, którzy jemu w taki sam sposób służyli do studyów.

Najwyraźniej stawał mu przed oczyma Binat, ów Binat, co sam był niegdyś artystą i tak gorzko skarżył się na swój upadek.

Studyum pod względem technicznym pozostawiało wszystko do życzenia, lecz rudowłosa dziewczyna uchwyciła wyraz pokornego oczekiwania, z odbłyskami buntu i bólu, piętnując przytem rysy młodzieńca gorzkiem naigrawaniem.

— Kupię to — oświadczył Dick, rzuciwszy okiem na swoją podobiznę — kupię to, za jaką pani zechcesz cenę.

— Cena moja jest zbyt wysoka, lecz sądzę, że będziesz mi pan wdzięcznym, gdy....

Mokry jeszcze szkic padł na rozżarzone węgle kominka.

— Oh! co ci przyszło do głowy! Nie mogłam nawet zobaczyć! — zawołała Maisie z wyrzutem.

— Dziękuję — rzekł Dick szeptem do rudowłosej dziewczyny i w milczeniu opuścił pracownię.

— Jak ten człowiek mnie nienawidzi. A jakże on ciebie kocha, Maisie — rzekła po jego odejściu impresyonistka.

— Wiem, że Dick mnie kocha, ale on ma swoją robotę do zrobienia, a ja mam moją.

— Tak, on cię kocha. Przekonałam go jednak, że bądź co bądź z impresyonizmem liczyć się należy. Hm! mniejsza o to. Wiem tylko, że gdyby jaki mężczyzna patrzał na mnie, tak jak on patrzy na ciebie, to nie wiem, cobym dla niego zrobiła. Ale on mnie nienawidzi. Oh! jak on mnie nienawidzi!

Rudowłosa dziewczyna myliła się jednak.

Wdzięczność stłumiła na chwilę antypatyę, jaką Dick miał dla impresyonistki, potem zapomniał o niej zupełnie.

Pozostało mu tylko uczucie wstydu i upokorzenia; niósł je przez Park wśród mgły gęstej.

— Nie, nie wytrzymam — mówił do siebie — wybuchnę i to niedługo. Maisie coprawda temu nie winna, ona w swem zrozumieniu ma słuszność, ja jej potępiać nie mogę. Trzy miesiące już trwa ta nauka! Trzy miesiące! A ja dziesięć lat musiałem pracować i to pracować ciężko, aby zdobyć jakie takie pojęcie o malowaniu. Wprawdzie nikt mnie nie uczył co niedziela, jak obchodzić się z pędzlami i farbami, nikt nie wprowadzał mnie w najskrytsze tajniki kunsztu. Oh! moje kochanie jedyne! Ja muszę jednak cię pozyskać, muszę! muszę! A wtedy ja będę nad tobą przewodził.... Oj! chyba nie, zawsze ty ze mną zrobisz, co zechcesz.... Ale w dzień ślubu otruję rudą dziewczynę: jej widok mnie drażni. Tymczasem cały mój zły humor spadnie na Torpa.

Torpenhow coraz częściej ostatniemi czasy przedstawiał Dickowi smutne skutki jego „lekkomyślnej bezczynności.“

Dick słuchał i nie odpowiadał ani słowem.

W pierwszych tygodniach, w przerwie pomiędzy niedzielnemi odwiedzinami, pracował zawzięcie, pragnąc olśnić Maisie potęgą swego geniuszu.

Potem uczył ją, aby nie zwracała najmniejszej uwagi na czyjebądź obrazy i zajmowała się tylko swojemi. Była mu aż nadto posłuszna, ale i jego robotą nie interesowała się wcale.

— Twoje obrazy czuć krwią i tytoniem? — — mówiła. — Czy nie mógłbyś malować czego innego, oprócz żołnierzy?

— Mógłbym namalować twoją główkę i to tak, że samabyś się zdumiała — pomyślał Dick, lecz głośno dodał: — Żałuję bardzo, ale taki już mój rodzaj.

Tego wieczora doprowadzał do wściekłości Torpenhowa swojemi poglądami na sztukę.

Stopniowo zaczął sam obojętnieć na własną robotę, a wkrótce zarzucił pędzle zupełnie.

Ze względu na Maisie, a także dla zachowania reszty poszanowania własnej osoby, które zatracał częściowo co niedziela, nie chciał wydawać na świat roboty lichej, a skoro

Maisie nie dbała nawet o najlepszą, lepiej było nie robić nic zgoła i tylko przez cały tydzień oczekiwać niedzieli.

Torpenhow z żalem i trwogą patrzał, jak czas schodzi Dickowi w bezczynności, i wreszcie nie mogąc już dłużej milczeć, przypuścił szturm do przyjaciela.

A nieszczęśliwym trafem było to właśnie pewnej niedzieli, gdy Dick, zmęczony, zbity, trzygodzinnem tłumieniem swych uczuć, powrócił do pracowni i był w jak najgorszym humorze.

Pomiędzy przyjaciołmi doszło do słów ostrych.

Torpenhow zatrzasnąwszy drzwi pracowni, wrócił do swego pokoju dla zasięgnięcia rady Nilghai'ego, który właśnie przyszedł był na gawędę o polityce kontynentalnej.

— Rozleniwił się powiadasz? Od rana do wieczora leży zapatrzony w sufit? Nie odzywa się ani słowem!... Źle — mówił Nilghai. — Z pewnością musi w tem być kobieta.

— Tak i ja myślę.

— Poczekaj-no. Z kobietami, trzeba być przygotowanym na wszystko. Jeszcze ona tu kiedy przyjdzie i pokraje Dickowi obrazy, albo zrobi jaką awanturę na schodach. Swoją drogą, dopóki Dick nie poruszy sam tego przedmiotu, radzę ci milczeć i zostawić go w spokoju. Niełatwa z nim sprawa.

— O nie! Strasznie zacięty i skryty, a przytem takie to zadzierżyste i butne! Od nikogo uwagi nie przyjmie, nawet odemnie.

— Życie go wyleczy z tej buty, nieraz mu kark zegnie, a nie ręczę nawet, czy i ta jego bohdanka rożków mu nie przytnie.... Ale jak widzę jesteś do tego chłopca przywiązany.

— Gotówbym sam karku nastawić, byle jego od cięgów losu osłonić, ale najgorsza, że nikt nie ustrzeże od biedy tego, kto w nią lezie dobrowolnie — nikt, nawet najserdeczniejszy przyjaciel.

— Dick musi przejść frycówkę, tak jak każdy z nas ją przechodził. Na to niema rady. Ale, wracając do wojny, nie ulega już wątpliwości, iż na wiosnę gotują się zaburzenia w Bałkanach.

— Oddawna już to słyszę od ciebie.... Ciekaw też jestem, czy Dick dałby się nam pociągnąć, gdyby co istotnie wybuchło.

Wkrótce potem do pokoju wszedł Dick we własnej osobie. Zadano mu to pytanie.

— Nie głupim — odparł. — Dobrze mi tutaj i ruszać się nie myślę.

— Spodziewam się, że nie bierzesz na seryo panegiryków, wygłaszanych na twoją cześć w gazetach — wtrącił Nilghai. — Za jakie pół roku wyjdziesz z mody, publiczność oswoi się z twoim sposobem malowania, przesyci się twojemi tematami i poszuka sobie innej zabawki. A gdzie wtedy będziesz?

— W Anglii.

Tak, wówczas gdy mógłbyś dokonać niejednego porządnego dzieła na placu boju, wśród nas. Ja jadę, Keneu tam będzie i Torpenhow i Cassavetti, wszyscy się tam znajdziemy, a dla każdego znajdzie się roboty niemało. Mógłbyś napatrzeć się na takie obrazy żywe, któreby ci zapewniły sławę Wereszczagina.

Dick mruknął coś nie wyraźnie, nakładając fajkę.

— Wolisz jednak tu zostać i łudzić się, że cały świat wytrzeszcza oczy na twoje obrazy? Zastanów się tylko: wiesz przecie, do jakiego stopnia życie przeciętnego człowieka zapełnione jest osobistemi dążeniami, rozrywkami. Gdy jakie dwadzieścia tysięcy osobników w przerwach pomiędzy śniadaniem i obiadem lub w przejeździe z wizyty na wizytę, spojrzy na jakieś tam płótna, które w gruncie nic a nic ich nie obchodzą, wolno to nazwać rozgłosem, sławą, stosownie do stopnia zarozumiałości człowieka, będącego przedmiotem tych oględzin i banalnych zachwytów.

— Oceniam to również dobrze, jak i ty, lecz pozwól mi postępować, jak mi się podoba.

— Prędzej dam się powiesić, niż na to pozwolę.

— Wieszaj się; albo ja ci bronię! Zresztą i tak powieszą cię rozwścieczeni Turcy. Tymczasem dajcie mi pokój. Je-

stem znużony, znużony śmiertelnie, duch przestał się już we mnie kołatać.

Dick rzucił się na kanapę i usnął prawie natychmiast.

— To zły znak — zawyrokował Nilghai głosem przyciszonym.

Torpenhow wyjął fajkę z ust przyjaciela i położył mu pod głowę poduszkę.

— Niema rady, niema rady — powtarzał. — Mruk i uparciuch z tego chłopca, przyznaję, ale dziwnie się do niego przywiązałem. Oto szrama od szpady, którą go jakiś czarny djabeł rąbnął przez głowę.

— Nie dziw się zatem, że głowę nawpół stracił.

— Szkoda jednak.

Dick zaczął chrapać przeraźliwie.

— Oh! żadne na świecie przywiązanie nie wytrzyma takiej próby — zawołał Torpenhow. — No, Dick, obudź-że się idź sobie spać gdzie indziej, jeśli to ma być połączone z takim hałasem.

Dick zerwał się, przetarł oczy, ziewnął i poszedł do swego pokoju.

Wśród bezsenności, trapiącej go tej nocy, błysła mu nagle myśl, tak prosta, lecz zarazem tak genialna, iż dziwił się, że przyszła mu teraz dopiero.

Myśl ta nosiła w sobie zarodki przyszłego a niezawodnego szczęścia.

Postanowił odwiedzić Maisie w dzień powszedni i zaproponować jej wycieczkę do Fort-Keeling, gdzie przed laty dziesięciu było im tak dobrze razem.

— Wedle reguły ogólnej — przekładał konterfektowi swemu w źwierciedle rano podczas golenia — wedle reguły ogólnej, niebezpiecznie jest powracać na znane ścieżki, ale wypadek to wyjątkowy. Biegnę do Maisie natychmiast.

Szczęściem, rudowłosej dziewczyny w pracowni nie było, wyszła po sprawunki.

Dick zastał Maisie przy stalugach.

Nierada była jego odwiedzinom: wizyty w dnie powszednie odrywały ją od roboty.

Musiał przyzwać na pomoc całą odwagę, aby cel swych odwiedzin wyjaśnić.

— Wiem, żeś ostatniemi czasy pracowała zanadto — rzekł tonem stanowczym. — Jak to tak dalej potrwa, zużyjesz się i zmarnujesz. Trzeba ci koniecznie odpoczynku, wytchnienia. Radziłbym zatem wycieczkę.

— Dokąd? — spytała Maisie niecierpliwie.

Po kilkogodzinnem staniu przy stalugach czuła się znużoną śmiertelnie.

— Gdzie chcesz — odparł skwapliwie. — Jutro rano wyruszymy pierwszym odchodzącym pociągiem i wysiądziemy gdzie się zatrzyma. Wieczorem odwiozę cię do domu.

— Jeśli jutro pogoda będzie jasna, stracę dobry dzień do roboty.

Maisie z pewnem wahaniem obracała w ręku ciężką orzechową paletę.

Dick powstrzymał cisnące mu się do ust przekleństwo.

Nie nabrał jeszcze dostatecznej cierpliwości z tą dziewczyną, dla której malowanie było wszystkiem na świecie.

— Stracisz daleko więcej, najdrosza, jeśli zechcesz każdy dzień pogodny spędzać przy stalugach. Przepracowanie się jest zgubniejszem jeszcze od lenistwa. Bądź-że rozsądną. Wstąpię po ciebie jutro rano, zaraz po pierwszem śniadaniu

— Ależ zaprosisz chyba...

— Ani myślę. Chcę być z tobą i z nikim innym. Zresztą ona mnie nienawidzi tak jak ja ją. Nie przyjęłaby zaproszenia. A zatem, do jutra. Byle tylko pogoda dopisała!

Dick odszedł uszczęśliwiony i naturalnie nie pracował już wcale dnia tego.

Brała go szalona ochota zamówić pociąg specyalny, poprzestał jednak na kupieniu wspaniałego płaszcza damskiego, obramowanego gronostajami, poczem wrócił do domu i przez resztę dnia i pół nocy marzył o dniu następnym.

— Wyruszam jutro na wycieczkę z Dickiem — oświadczyła Maisie rudowłosej dziewczynie, gdy wróciła z miasta.

— Słusznie mu się to należy — zadecydowała impresyonistka. — Skorzystam z twojej nieobecności i każę wymyć podłogę w pracowni. Strasznieśmy ją zawalały.

Maisie, która już od kilku miesięcy nie miała żadnej rozrywki, myślała o tej wycieczce z pewnem zadowolnieniem, lecz nie bez obawy.

— Bardzo lubię Dicka, jak tylko chce być rozsądnym — mówiła sobie — ale przeczuwam już, że mnie będzie nudził sentymentami i wywlekał stare historye. A ja mu przecież powiedzieć nie mogę tego, coby chciał usłyszeć. Gdyby był zawsze rozsądnym, lubiłabym go daleko więcej.

Oczy Dicka promieniały radością, gdy nazujutrz przybył po Maisie.

Czekała już na niego w sieni, ubrana, jak zwykle w szarą sukienkę, szary płaszczyk i aksamitny czarny toczek

Pałace z marmuru, a nie stare drewniane wille były niewątpliwie odpowiedniem przybytkiem dla takiego bóstwa.

Rudowłosa dziewczyna wciągmęła Maisie do pracowni i ucałowała ją pospiesznie.

Brwi Maisie podniosły się do połowy czoła ze zdziwienia. Nie przyzwyczajona była do takich czułości.

Zbiegła szybko po schodach. Dick czekał już na nią przy dorożce.

— Czy ci dość ciepło? — pytał troskliwie. — Możebyś chciała zjeść co więcej na śniadanie? Okryj kolana tym płaszczem.

— Dobrze mi zupełnie, dziękuję. Dick, gdzie my jedziemy? Oh! przestań-że śpiewać. Ludzie gotowi nas wziąść za waryatów.

— To mi zupełnie obojętne. Nikt nas tu nie zna i my nie znamy nikogo. Maisie, prześlicznie dziś wyglądasz

Maisie patrzała prosto przed siebie w milczeniu.

Ostry wiatr zimowy zabarwiał karminem jej policzki.

Żółte mgły przerzedzały się coraz bardziej, odsłaniając błękit nieba, wróble ćwierkały wesoło.

— Na wsi pogoda musi być śliczna — odezwał się Dick.

— Ale gdzież my jedziemy?

— Poczekaj, a zobaczysz.

Wysiedli na dworcu Victoria, Dick poszedł kupić bilety. Maisie pozostała w ciepłej, wygodnej poczekalni.

Przez chwilkę, króciutką bardzo, rozważała, że lepiej jednak módz posłać do kasy mężczyznę, niżli przeciskać się do niej samej wśród tłumów.

Dick wprowadził Maisie do wagonu salonowego systemu Pullmana, dlatego tylko, jak powiadał, że cieplejszy niż inne; ona była zgorszona takiemi zbytkami.

— Chciałabym też wiedzieć, gdzie jedziemy — powtórzyła po raz dwudziesty.

Po pewnym czasie, o uszy jej obiło się nazwisko dobrze znanej stacyi.

Zrozumiała wreszcie.

— Oh! Dick, nieznośny chłopcze!

— Myślałem, że miło ci będzie zobaczyć stare kąty. Wszak nie byłaś tu od wyjazdu?

— Nie, nie chodziło mi bynajmniej o zobaczenie mrs. Jannett, a nic mnie tu nie ciągnęło!

— Oh! mnie ciągnie tu wiele rzeczy. Spojrzyj. Oto młyn na kartoflisku. Tu jeszcze nie zdążyli zbudować letnich mieszkań. Czy pamiętasz, jak cię zamknąłem w tym młynie.

— Pamiętam. Dostało ci się za to od mrs. Jannett! Ale ja jej nie powiedziałam kto to zrobił.

— Domyśliła się sama. Podparłem drzwi kołkiem i mówiłem ci, że żywcem zakopię Amomę w kartoflach. Uwierzyłaś. W owych czasach bywałaś ufniejszą, niż dzisiaj.

Wychylił głowę przez okno wagonu i przypatrywali się dawnym miejscom, snując wspólnie wątek wspomnień.

Gdy pociąg się zatrzymał, wysiedli i poszli oglądać stare miasto nowemi zupełnie oczyma.

Najprzód, lecz z pewnej odległości, rzucili okiem na domek mrs. Jannett.

— A gdyby tak wyszła, cobyś też zrobiła? — pytał Dick z udanym strachem.

— Pokazałabym jej język.

— No, to pokaż.

Maisie wyciągnęła język, zwracając twarzyczkę w stronę małej willi, Dick głośno się roześmiał.

— „To istna zgroza — mówiła piskliwie Maisie, przedrzeźniając ton mrs. Jannett. — Maisie, powracaj mi natychmiast do domu. Nauczysz się trzech psalmów na następną niedzielę.... Dick, zawsze musisz ją namówić do złego! Jeżeli już nie jesteś *gentlemanem*, mógłbyś przynajmniej....“

Urwała nagle. Przypomniała sobie, kiedy słowa te zostały wymówione po raz ostatni.

— „To mógłbyś przynajmniej zachować się jak *gentleman*“ — skończył za nią Dick. — Doskonale ją naśladujesz. No, zjedzmy teraz śniadanie, potem pójdziemy do Fort-Keeling, a może wolisz pojechać?

— Nie, pójdziemy pieszo, przez poszanowanie dla miejsca.

Szli w stronę morza przez stare, nic nie zmienione ulice. Przechodzili obok sklepu kolonialnego, przejmującego ich zachwytem w czasach gdy połączone ich fundusze wynosiły najwyżej szylinga.

— Dick, czy masz parę pensów? — rzekła Maisie, nawpół do siebie.

— Mam tylko trzy, i jeżeli sobie wyobrażasz, że dostaniesz z nich dwa na pierniki, to się grubo mylisz. Zresztą *ona* powiada, że pierniki to wcale nie dla dziewczynek.

Znowu roześmieli się do dawnych wspomnień, rumieńce wystąpiły na policzki Maisie, krew wartką falą napłynęła do serca Dicka.

Po obfitem śniadaniu poszli nad wybrzeże i do Fort-Keeling.

Wiatr dął od morza i smagał ich po twarzy i uszach.

— Maisie — zawołał Dick — koniec nosa ci posiniał. Musisz się rozgrzać. Pogońmy się trochę.

Obejrzała się naokoło i popędziła szybko naprzód, o ile na szybkość pozwalał długi płaszcz, plątający się między nogami.

Biegła dopóki jej tchu starczyło.

— Dawniej mogliśmy się gonić przez mil parę — ubolewała. — Szkoda, że dziś biegać już nie umiemy.

— Starość, nie radość — drażnił się Dick — to są skutki zbytniego roztycia się i zgnuśnienia w miejskich rozkoszach. Pamiętasz, dawniej, jak chciałem cię złapać za warkocz, to gotowa byłaś uciekać przez trzy mile. A wrzeszczałaś w niebogłosy. Wiem nawet dlaczego. Te wrzaski miały sprowadzić ci na pomoc mrs. Jannett z kijem i....

— Dick, wierzaj mi, nigdy nie sprowadzałam na ciebie kary umyślnie.

— Przecież żartuję.... Ale patrz... oto i morze!

— Oh! takie same zupełnie jak dawniej — zawołała Maisie.

*
* *

Torpenhow dowiedział się od Beetona, iż Dick ubrany i ogolony nadzwyczaj starannie, wyruszył z domu o wpół do ósmej zrana z torbą podróżną w ręku.

W południe wtoczył się Nilghai na szachy i pogawędkę o polityce w Bałkanach.

— Gorzej jest niż sądziłem.

Temi słowy powitał go Torpenhow.

— Oh! Dick musiał już zrobić co nowego — zawołał Nilghai. — Że też ty się rozpadasz nad tym chłopcem, jak kura nad kurczęciem. Pozwól mu nabić sobie guza, jeśli mu to sprawia przyjemność.

— Przekonywam się, że tu chodzi nie o kobiety, ale o jedną kobietę i to panienkę.

— Jakie masz na to dowody?

— Obudził się skoro świt, wstał i wyszedł z domu o ósmej, wstał z łóżka przed wschodem słońca i to dobrowolnie. Nie zdarzało mu się to nigdy, od czasu jak powrócił z obozu. A i tam, pamiętasz, trzeba go było wyciągać gwałtem z prześcieradła, nawet przed bitwą pod El-Maghrib. Powiadam ci, to zatrważające.

— Hm! istotnie, lecz kto wie, może zdecydował się wreszcie kupić sobie konia.

— Nie. Gdyby chodziło o konia, byłby nam powiedział. W tem jest jakaś młoda dziewczyna.

— Zkąd ta pewność! A może mężatka?

— Któż u licha wstaje skoro świt, aby iść z wizytą do cudzej żony! Nie, powiadam ci, że to dziewczyna.

— Niech będzie dziewczyna, jeśli tak chcesz koniecznie. Tem lepiej, może go nauczy kochać nie tylko siebie samego.

— Nie, ona odciągnie go od roboty, czas mu zmarnuje, a potem wyjdzie za niego i zagrodzi mu raz na zawsze drogę do sławy. Zanim zdołamy go powstrzymać, zostanie parządnym filistrem i żonkosiem. Straciliśmy go już na zawsze.

— Wszystko to możliwe, ale choćby nawet przyszło do tego, to jeszcze dziury w niebie nie będzie.... Ha! ha! ha! chciałbym też widzieć Dicka w roli kawalera, starającego się o pannę. Nie martw się stary. Będzie tak jak Allach postanowił przed wiekami. Czekajmy zatem cierpliwie. A tymczasem możebyśmy w szachy zagrali.

*

* *

Rudowłosa impresyonistka leżała w swoim pokoju, zapatrzona w sufit.

Odgłosy ludzkich kroków, dolatując z ulicy, zlewały się w jeden szmer, podobny do składanego po tysiąc kroć pocałunku, co był jakby jednym pocałunkiem przeciągłym, nieskończonym.

Dziewczyna od czasu do czasu zaciskała pięście, to znowu je otwierała ruchem konwulsyjnym, nerwowym.

— Przepraszam panienkę — rzekła, wsuwając się do pokoju kobieta myjąca podłogę w pracowni — są trzy rodzaje mydła do podłogi: szare, żółte i desynfekcyjne. Zagotowałam właśnie wodę, kiedy przyszło mi na myśl, że lepiej może zapytać panienki, które mam kupić.... Bo to żółte....

W słowach tych nie było nic oburzającego, a jednak sprowadziły wybuch szalonego gniewu.

Rudowłosa dziewczyna zerwała się z łóżka, wyskoczyła na sam środek pokoju, wołając głosem przeraźliwym.

— Cóż *mnie* to może obchodzić. Myj sobie farbą, atramentem, czem ci się podoba, a mnie w spokoju pozostaw.

Kobieta zemknęła, a rudowłosa dziewczyna przez długi czas patrzała na swoją twarz w zwierciadle, nagle ruchem gwałtownym zasłoniła ją rękami.

Miała takie uczucie, jak gdyby głośno wypowiedziała jaką hańbiącą tajemnicę.

ROZDZIAŁ VII.

Istotnie, morze się nie zmieniło.

Po dawnemu muskało pianą wybrzeże, na piasku leżały muszelki, te same jakby, któremi bawili się przed laty dziesięciu.

Zbiegli po stoku fortecznym i usiedli w kąciku, zasłonionym od wiatru lawetą czterdziesto-pudowego działa.

— Braknie tu tylko Amomy — szepnęła Maisie.

Przez długi czas oboje milczeli. Wreszcie Dick wziął za rękę Maisie i nazwał ją po imieniu.

Ona wstrząsnęła główką i zapatrzyła się na morze.

— Maisie, najdroższa — mówił błagalnie — czy nic się dla mnie nie zmieniłaś?

— Nie — odparła przez zaciśnięte zęby. — Gdyby — gdyby tak było, powiedziałabym ci to sama, ale nie, niema zmiany żadnej. Oh! Dick, bądźże rozsądny.

— Czy myślisz, że to się kiedy zmieni?

— Nie, pewna jestem, że nie.

— Dlaczego?

Maisie oparła brodę na ręku i zapatrzona wciąż w morze, mówiła szybko:

— Rozumiem doskonale o co ci chodzi, lecz nie mogę ci nic obiecać. Dick, doprawdy jam temu nie winna. Gdybym czuła, że mogę cię zczasem pokochać, że mogę pokochać kogokolwiek wogóle.... Ale pewna jestem, że to nie nastąpi nigdy. Nie mogę sobie nawet wyobrazić takiego uczucia.

— Czyż doprawdy?

— Byłeś bardzo dla mnie dobry, Dickie, oceniam to i mogę ci się wywdzięczyć jedynie, mówiąc prawdę szczerą. Nie byłabym zdolna kłamać wobec ciebie. I tak jestem sobie wstrętną.

— I dlaczegóż to, jedyna?

— Bo... bo przyjmuję wszystko od ciebie a sama nic ci w zamian nie daję. To bardzo samolubnie, bardzo brzydko z mojej strony. Ile razy o tem pomyślę, to mi wstyd i żal.

— Zapamiętaj to sobie raz na zawsze: sam odpowiadam za moje czyny i jeśli postępuję tak, a nie inaczej, ty nic a nic temu winną nie jesteś. Ja nie chcę, abyś czyniła sobie wyrzuty, kochanie ty moje jedyne.

— Oh! gorzkie sobie czynię, a każda rozmowa z tobą zwiększa je jeszcze.

— Więc nie mów o tem.

— Jakżeż mam nie mówić, kiedy ty, ilekroć zostaniemy sami na parę minut, zawsze o ten przedmiot potrącić musisz. A jak nie słowami, to wyrażasz to samo spojrzeniem. Ty nie wiesz do jakiego stopnia ja czasem sobą pogardzam.

— Na miłosierdzie Boże! — zawołał Dick, zrywając się. — Mów prawdę, Maisie, powiedz mi szczerze, czy ja cię... czy to cię nudzi tak bardzo?

— Nie.

— A powiesz mi, jak cię nudzić zacznę?

— Dam ci do poznania.

— Dziękuję. Trzeba mieć wyrozumiałość dla zakochanego. Taki człowiek zawsze jest nudnym. Doświadczyłaś tego z innymi zapewne?

Maisie nie uznała za stosowne odpowiedzieć na to pytanie.

Dick musiał je powtórzyć.

— Tamci, to zupełnie co innego — tłómaczyła. — Naprzykrzali mi się i nudzili zawsze w chwili, kiedy byłam najbardziej zajęta; chcieli żebym wysłuchiwała ich andronów.

— Czy ich słuchałaś?

— Z początku, tak. Ale nie mogli zrozumieć, że są mi zupełnie obojętni. Podziwiali moje obrazy; zdawało mi się, to szczere, dumna byłam z ich pochwał, chwaliłam się niemi przed starym Kami i — nigdy tego nie zapomnę — raz Kami mnie wyśmiał.

— Nie lubisz być wystawioną na śmieszność, prawda Maisie?

— Oh! nie znoszę tego. Ja nigdy nikogo nie wyśmiewam, chyba że zobaczę bardzo złą i nieudolną robotę. Dick, proszę cię, powiedz mi, tylko szczerze i uczciwie, co też myślisz o moich obrazach?

— Powiedz mi wpierw, co mówi o nich Kami?

Maisie zawahała się.

— On mówi... mówi, że jest w nich uczucie.

— Jak śmiesz tak kłamać przedemną? Pamiętaj, że i ja byłem uczniem Kami'ego przez lat dwa. Wiem doskonale, co on powiedzieć może.

— To wcale nie kłamstwo.

— Więc gorzej, bo pół prawdy. Kami zwykł mówić, przechylając głowę na bok, ot! tak: *Il y a du sentiment mais il n'ya pas de parti pris.*

Dick wymawiał *r* gardłowo, przedrzeźniając mistrza.

— Istotnie, to są jego słowa, i zaczynam przypuszczać, że ma słuszność.

— Ma ją niezawodnie.

Według Dicka, dwie na świecie osoby mylić się w niczem nie mogły.

Jedną z nich był Kami.

— Więc potwierdzasz jego zdanie. Doprawdy, że to może zniechęcić do dalszej pracy.

— Przykro mi bardzo, ale wszak domagasz się, abym ci prawdę powiedział. Zresztą zanadto cię kocham, abym ci miał pochlebiać. Twoja robota jest porządna, wytrwała, cierpliwa; czasami są w niej nawet odbłyski siły, ale wogóle nie widzę powodu do podejmowania jej.

— Niema wogóle powodu, aby cokolwiek działo się na świecie. Ja dążę do sławy jedynie.

— Złą obrałaś do niej drogę. Czy ci tego Kami nigdy nie mówił?

— Nie przytaczaj mi wciąż Kami'ego. Chciałabym wiedzieć, co ty sam o mnie myślisz? Przedewszystkiem, że robota moja jest licha, co?

— Nie powiadam tego, ani też myślę.

— A więc, że dyletancka, amatorska?

— Bynajmniej. Jesteś kobietą pracy do szpiku kości i cenię cię za to wysoko.

— A czy mnie nie wyśmiewasz po za plecami?

— Nigdy. Wiesz przecież, żeś mi droższa nad wszystko. Otul-że się, bo się zaziębisz.

Maisie owinęła się miękkim płaszczem.

— Jakie to miłe i cieplutkie — mówiła, tuląc twarzyczkę do gronostajowego kołnierza. — Więc powiedz mi, dlaczego źle robię, ubiegając się o tę trochę sławy?

— Dlatego właśnie, że się o nią ubiegasz. Czy mnie nie pojmujesz, najdroższa? Dobra, prawdziwie artystyczna robota, nie ma, że tak powiem, nic wspólnego, z osobą, która ją wykonywa. Tkwi ona w osobie samej, przelana jest w nią z zewnątrz. W mocy naszej jest tylko uczyć się, jak pracować

należy, abyśmy byli panami naszych warunków przyrodzonych, nie zaś ich sługami i nigdy nie bali się niczego.

— Rozumiem.

— Wszystko po za tem płynie z zewnątrz. Jeśli zasiadamy do pracy i przelewamy na płótno lub papier ów dar przyrodzony, możemy dokonać czegoś porządnego lub też może się to nam nie udać. Zależy to od zapanowania nad trudnościami technicznemi. Lecz z chwilą, gdy zaczynamy myśleć o sławie i o wrażeniu, jakie robota nasza zrobi, z chwilą gdy zaczynamy pracować dla galeryi — tracimy siłę, natchnienie, delikatność i miękkość pędzla, jednem słowem wszystko. Tego przynajmniej doświadczyłem na sobie. A i ty teraz, zamiast oddawać się pracy ciałem i duszą, gonisz za tem, czego najsilniejszemi zabiegami ani o minutę przyspieszyć nie zdołasz.

— Łatwo ci tak mówić. Ludziom podoba się *twoja* robota. Czy nigdy sam nie oglądasz się na publiczność?

— Aż nadto często, lecz za każdym razem jest mi karą utrata cząstki spoczywającej we mnie siły. Takie to proste, jak Reguła Trzech. Ilekroć lekceważymy sobie sztukę, naginając ją do naszych celów, zawsze sztuka zemści się, nas sobie wzamian lekceważąc, a ponieważ w walce tej my jesteśmy słabsi, więc też cierpieć musimy.

— Ja nie traktuję lekko mojej roboty. Wiesz przecież, że jest mi ona wszystkiem.

— Wiem, lecz świadomie czy też nieświadomie, dajesz jedno pociągnięcie pędzla dla sztuki, a dwa dla siebie. To nie twoja wina, kochanie. I ja tak samo robię, i wiem, że to robię. Większość szkół francuskich, a wszystkie szkoły u nas popychają uczniów na drogę pracy—dla sławy, czynią z nich sobie reklamę. I mnie mówiono, że cały świat interesuje się moją robotą, to też pewien byłem, że pędzlami mojemi oddziałam na ludzkość, że popchnę ją na inne tory. Pewien byłem, że świat stworzony jest dla opiewania mojej sławy i że go zadziwię arcydziełami.

— Ale przecież ludziom zdarza się świat zadziwić?

— Rzadko bardzo przy zamiarze powziętym z góry, a choćby nawet się to udało, to jeszcze świat taki duży, a zaledwie milionowa jego cząstka zajmuje się dziełami sztuki.... Maisie, chodź ze mną, a pokażę ci jaki świat wielki! Znam wyspy cudne, gdzieby nam było dobrze, jak w raju. Dopływa się do nich morzem tak czarnem, jak czarny marmur, a okalają je góry niebotyczne. Co rana z po za nich słońce wschodzi, przerażone jakby tem pustkowiem. A wtedy z głębi morza i ze sklepienia niebios dochodzą głosy rozliczne i widzisz, że wyspa to nie pusta wcale i nie bezludna: żyją na niej wilgotne orchideje, na powitanie twe rozchylają usta i zda się przemówią za chwilę. A jest tam także wodospad, jak srebro roztopione, spływające z wysokości trzystu metrów, a w skałach żyje i brzęczy miliony pszczół dzikich, grube kokosowe orzechy spadają z drzewa. Biały jak kość słoniowa niewolnik rozpościera dla ciebie żółty hamak i kładziesz się w nim i przysłuchujesz brzęczeniu pszczół, szmerom fal, aż cię do snu ukołyszą.

— Czy można tam pracować?

— Naturalnie. Wszędzie coś robić trzeba. Zawiesisz obrazy na drzewach palmowych i poddasz je krytyce pawianów, a jak ci je podziurawią, ciskając w nie jabłka i orzechy, to przed sąd ich za to nie pozwiesz. Oh! jest tysiące miejsc czarownych. Jedź im się przyjrzeć wraz ze mną.

— Nie podoba mi się ten kraj. Usposabia do lenistwa. Opowiedz mi o innym.

— A więc opowiem ci o dużem, wymarłem mieście, zbudowanem z czerwonego piaskowca; zielone aloesy, wyrastają tam w szczelinach murów. Miasto leży zapomniane na żółtych piaskach, a ułożyło się w nim do snu wiecznego czterdziestu królów, a każdy spoczywa pod wspaniałym grobowcem, a jeden grobowiec piękniejszy od drugiego. Oglądasz pałace, ulice, sklepy i studnie i zda ci się, że ludzie tu żyć muszą, aż dopóki nie zobaczysz wiewiórki, czyszczącej sobie pyszczek na samym środku rynku i papugi wyskakującej przez drzwi, rzeźbione w najpyszniejszą koronkę. Małpa — malutka czarna mał-

peczka — sunie poważnie przez główną ulicę, aby się napić wody ze studni, głębokiej na stóp czterdziści. Zsuwa się po ocembrowaniu aż do poziomu wody, a przyjaciółka przez ten czas trzyma ją za ogon, aby nie spadła na dno.

— Czy to wszystko prawda?

— Byłem tam i widziałem na własne oczy.... Potem zapada zmrok, światło się zmienia, zdaje ci się, że stoisz po środku olbrzymiego opala. Na kilka chwil przed zachodem słońca, z akuratnością zegara w bramy miejskie wtacza się duży dzik z całą rodziną. Wskakujesz na odłam olbrzymiego czarnego kamienia i przyglądasz, się jak zwierz obiera sobie na noc legowisko, jak wymachuje ogonem i szczerząc kły układa się do snu we wspaniałym przedsionku świątyni lub pod kolumnadami królewskich pałaców. Podnosi się wietrzyk nocny, piaski zaczynają się ruszać i słyszysz jak pustynia, roztaczająca się po za murami miasta woła rozlicznemi swemi głosy: „Teraz ja do snu się układam.“ Zalega ciemność i cisza, aż dopóki księżyc nie wypłynie na niebieskie stropy.... Maisie, najdroższa, chodź ze mną i przyjrzyj się, jak wygląda świat szeroki. Piękny jest, a i straszny zarazem — lecz ja ci nic strasznego nie pokażę: zapomnimy o pędzlach, obrazach, o wszystkiem, co nie jest miłością wzajemną. Chodź, a pokażę ci, jak rozpinać namioty, jak hamaki zawieszać, o! i tysiące jeszcze innych rzeczy; wtedy dopiero zobaczysz na własne oczy, co to są barwy, a oboje zrozumiemy—co miłość, i to nas nauczy pracować, oh! i wtedy dopiero będziemy tworzyli arcydzieła.

— Dlaczego? — pytała Maisie.

— Jakże można malować, jeśli się nie widziało wszystkiego na świecie, to jest przynajmniej wszystkiego, co jeden człowiek zobaczyć zdoła. A przytem, najdroższa, ja cię kocham. Chodź ze mną. Nic cię tutaj nie wiąże, jesteś nawpół cyganką, widać to z twojej twarzy, a ja — jam ptak wędrowny, zapach morza upaja mnie, a każda przestrzeń otwarta, pociąga, gna naprzód z siłą nieprzepartą. Przepłyniemy morze, będziemy szczęśliwi tam daleko!

Powstał i patrzał rozognionemi oczyma na dziewczynę.

Nie spostrzegli nawet, jak krótki dzień zimowy dobiegł kresu, jak złote słońce zanurzyło się w fali, a berło jego na nieboskłonie ujął srebrzysty księżyc.

Wiatr ustał, naokoło zaległa cisza, tak że słychać było stąpanie osła, skubiącego zmarzniętą trawę.

Nagle wśród srebrzystej mgły rozległ się cichy odgłos, jak gdyby uderzanie w bęben owinięty krepą, jak podczas wojskowych pogrzebów.

— Co to takiego? — spytała Maisie. — To jak głośne bicie serca. Zkąd to dochodzi?

Dick był tak urażony obojętnością Maisie na jego prośby i widoczną chęcią odwrócenia rozmowy, że w pierwszej chwili słowa mu w ustach zamarły.

Wśród milczenia, uszu jego doleciał wyraźnie ów odgłos.

Maisie, siedząc po za osłoną lawety armatniej przypatrywała mu się nie bez pewnej obawy, a w duchu pragnęła gorąco, aby wreszcie powrócił do rozsądku, przestał ją nudzić i opowiadać o zamorskich cudach i wrażeniach, które były jej obojętne zupełnie, choć może, w gruncie była ich trochę ciekawą.

Nagle twarz Dicka przybrała wyraz ogromnego zainteresowania.

— To parowiec stanął gdzieś niedaleko. Ah! — zawołał, ujrzawszy nagle czerwone światło — stanął aby dać sygnał, przed wyruszeniem na wody kanału.

— Czy to statek tonący? — spytała Maisie, która nie znała się wcale na sygnałach.

Dick nie odrywał oczu od świateł.

— Cóż znowu! — rzekł, oburzony jej nieznajomością rzeczy. — Cóż znowu! Daje tylko znać o sobie. Czerwone światło na przodzie, zielone z boku lewego, a teraz znowu dwa czerwone z pomostu.

— Co to znaczy?

— Jest to zwykły sygnał statków, odpływających do Australii. Ciekaw też jestem, który to z okrętów?

Dick mówił jakby do siebie, głosem zmienionym.

Nie podobało się to Maisie.

Księżyc wydostał się przez mgłę i oświecił czarne cielsko olbrzymiego okrętu.

— Cztery maszty i trzy kominy. To musi być „Barralong“ albo „Bhutia.” Nie, to „Barralong;” wyrusza do Australii. Za tydzień przepłynie pod Krzyżem południowym! Oh! szczęśliwa bestyo!

Przypatrywał się z wytężoną uwagą, zbiegł nawet ze stoku fortecznego, aby lepiej módz widzieć, lecz mgła zgęstniała znowu i odgłos wypuszczonej pary dochodził mniej wyraźnie.

Maisie przywołała Dicka z pewnem zniecierpliwieniem; powrócił, ale oczu od morza nie odrywał.

— Czy ci kiedy przyświecał nad głową Krzyż południowy — zapytał. — Ach to wspaniałe!

— Nie — odparła — i wcale nie pragnę go widzieć. Jeśli znajdujesz, że to takie piękne, to czemuż nie jedziesz lubować się tym widokiem?

Podniosła twarzyczkę, oczy jej świeciły jak brylanty.

Gronostaje okryte szronem, lśniły barwą srebrzystą.

— Maisie — zawołał Dick — wyglądasz, jak bóstwo pogan północych, opatulone w futra.

W oczach jej wyczytał, że nie rada z takiego porównania.

— Krzyż południowy nie wart jest widzenia, gdy go się ogląda samemu — rzekł w odpowiedzi na jej słowa. — Parowiec zresztą już odpłynął.

— Dick — mówiła chłodno. — Przypuść, że zgodzę się z tobą w świat wyruszyć — oh! spokojnie! słuchaj-że dalej — otóż przypuść, że jadę z tobą w świat, tak jak stoję, i z takiem dla ciebie uczuciem, jakie mam obecnie...

— Nie siostrzanem, przecież. Mówiłaś mi w Parku, że mnie nie kochasz, jak brata.

— Nie miałam nigdy brata. Otóż wyobraź sobie, że ci

powiadam: „Bierz mnie ze sobą i wieź do tych krajów, a z czasem może cię pokocham“ — cobyś zrobił w takim razie?

— Odesłałbym cię na dworzec dorożką. Albo nie, dałbym ci odejść pieszo. Ale tybyś tak nie powiedziała, a ja nie zgodziłbym się na taką próbę. Warta jesteś, abym na ciebie poczekał aż będziesz mogła wyruszyć ze mną bez żadnych zastrzeżeń.

— Czy szczerze tak sądzisz?

— Najszczerzej. Wszak i ty zapatrujesz się na to w ten sam sposób?

— Tak. I dlatego czuję się taką niedobrą.

— Gorszą niż zwykle?

— Ty nie wiesz, co ja myślę. To takie okropne, że nie mogłabym nawet ci powiedzieć.

— Mów, obiecałaś mówić mi zawsze prawdę.

— To bardzo niewdzięcznie z mojej strony, niegodziwie nawet, ale... choć wiem, że mnie kochasz i choć mi przyjemnie być z tobą — poświęciłabym... poświęciłabym ciebie, i to bez skrupułu, gdybym za tę cenę otrzymała to, czego pragnę.

— Moje biedne kochanie. Rozumiem.... Znam dobrze ten stan duszy. Nie prowadzi on do doskonałości w robocie.

— Czy się na mnie gniewasz? Pamiętaj, że ja sama sobą pogardzam.

— Nie jest mi to zapewne przyjemnem, lecz się nie gniewam. Żal mi ciebie i dałbym dziesięć lat życia, aby ci dostarczyć tego, co tak gorąco pragniesz. Ale to nie w mojej mocy.

Maisie westchnęła, on ciągnął dalej:

— Z tego, coś powiedziała przed chwilą, widzę, że jesteś na złej drodze do sławy. Nie dochodzi się do niej przez poświęcanie innych, trzeba poświęcić się samej, zupełnie o sobie zapomnieć, czerpać rozkosz w pomysłach jedynie—nigdy w ich wykonaniu.

— Czy wierzysz sam w to, co głosisz?

— Nie chodzi o wiarę lub niewiarę; to są prawidła, którym posłusznym być trzeba. Ja staram się do nich nagiąć —

niezawsze mi się to udaje. Zapamiętaj to sobie dobrze: w najlepszych nawet warunkach, przy największym talencie, cztery piąte naszej roboty musi być marne, ale jeśli jedna piąta dobra, to już pracować warto.

— Wszak przyjemnie jest być chwalonym, nawet za złą robotę.

— Oh! bardzo przyjemnie. Ale... Chcę ci coś opowiedzieć? Nie jest to historya dla kobiet, ale ty masz w sobie tyle męskości, że rozmawiając z tobą, zapominam, że jesteś kobietą.

— I owszem, opowiedz.

— Otóż gdym był w Sudanie, poszedłem raz na plac boju, gdzie walczyliśmy przez dni trzy. Zaścielało go tysiąc dwieście trupów, a nie było czasu ich pogrzebać.

— Jakież to okropne!

— Widok tego placu nauczył mnie bardzo dużo. Wyglądał on jak pole usiane różnokolorowemi muchomorami. Po raz pierwszy widziałem taką masę trupów i wtedym dopiero zrozumiał, że mężczyźni i kobiety, to tylko materyał do pracy, temat do obrazów, a wszystko to co mówią i co robią, do czego dążą nie ma najmniejszego znaczenia i nie powinno być brane w rachubę.

— Dick, ależ to wstrętne!

— Poczekaj chwilkę. Na nieszczęście jednak, każdy z nas mężczyzną lub kobietą być musi.

— Dobrze, że choć to przyznajesz.

— Nie przyznaję tego odnośnie do ciebie. Ty kobietą nie jesteś. Ale zwykli ludzie muszą się zachowywać i pracować, jako tacy. I to mnie właśnie do wściekłości doprowadza. Wiem, że nie warto dbać o ludzkie sądy, wiem, że gdy się na nie oglądam, robota moja cierpi na tem, a jednak, niech ich piorun trzaśnie — zaciśniętą pięść podniósł w stronę morza — jednak, gdy mnie pismak jaki zerżnie, to połamałbym mu żebra. A nieraz, gdy jaki głupiec zachwyca się mojemi obrazami, to choć widzę z jego oczu, że kłamie, jednak to kłamstwo sprawia mi przyjemność.

— A jeśli się nie zachwyca?

— Oh! wtedy mam ochotę kijem nakazać mu zachwyt dla mojej roboty. Jakie to jednak upokarzające! Jak mi ciebie żal, że i ty dbasz tak bardzo o ludzkie sądy! Słuchaj, kochanie, we dwoje łatwiej nam będzie stawić czoło tym przykrościom. Jedno będzie dodawało otuchy drugiemu. Nieraz potkniemy się na drodze do sławy, lecz raźniej upadać razem, niźli każdemu zosobna.

— Wątpię, czybyśmy zgodzili się ze sobą. Istniałoby zawsze między nami współzawodnictwo zawodowe. Nie byłabym ci wcale żoną, zanadto absorbuje mnie moja robota. Przez cztery dni w tygodniu, od rana do wieczora stoję przy stalugach i nic mnie na świecie nie obchodzi.

— Tak mówisz, jak gdyby nikt oprócz ciebie nie trzymał w ręku palety. Czyż przypuszczasz, że i ja nie przejmuję się robotą, że nie zapominam dla niej o całym świecie. A zdarza mi się to częściej, niż cztery razy na tydzień. Więc nie potrzebowałabyś zmieniać trybu życia, rozumiałbym twoje usposobienie i potrafił je uszanować. Inny mężczyzna nie byłby tak pobłaźliwym. Gotówby się śmiać z ciebie. Lecz niema o czem mówić. Skoro tak się na to zapatrujesz, widocznie nie kochasz mnie — jeszcze.

— Wiem, żeś lepszy daleko odemnie.

— To niema nic do rzeczy, lecz wytłómacz, dlaczego tak sądzisz?

— Z tego, coś mówił o sztuce i o wszystkiem, a przytem jesteś taki cierpliwy. O! tak, dalekoś lepszy odemnie!

Dick zastanowił się nad nieprawością żywota przeciętnego mężczyzny, a przegląd ten nie natchnął go poczuciem wyższości.

Schylił się i ucałował kraj płaszcza, otulającego Maisie.

— Dlaczego — mówiła, nie zwracając na to uwagi — dlaczego ty widzisz to, czego ja dojrzeć nie mogę? Czemu nie wierzę w to, co ty wierzysz?

— Nie sądź najdroższa, aby moje czyny odpowiadały sło-

wom; abym zawsze w dążeniach moich i ideałach był tak wzniosłym; abym zawsze stawiał sztukę na piedestale. Tyś na chwilę podniosła mego ducha. I czemuż nie chcesz prowadzić mnie na tej drodze, pomagać mi do otrząśnięcia się z brudów tego świata?... Dwoje nas jest tylko na świecie a... przecież chcesz mieć mnie przy sobie.

— Naturalnie. Ty nie możesz sobie nawet wyobrazić jak bardzo jestem samotną.

— Wyobrażam to sobie doskonale, najdroższa.

— Przed dwoma laty, gdym osiadła w tym małym domku, chodziłam nieraz godzinami po ogrodzie, próbując płakać. Ja płakać nie umiem wcale. Czy ty potrafisz?

— Dawno już nie płakałem, a zdarzało mi się to tylko ze złości lub ze zbytniego znużenia.

— Ja nie mogę. Nieraz wyobrażałam sobie, że jestem niedołężną, pozbawioną wszelkich środków do życia, że umieram z głodu w Londynie. Myślałam o tem całemi dniami i myśl ta przerażała mnie niewymownie, a jednak nie płakałam.

— Znam tę obawę. Jest ona najstraszniejszą ze wszystkich. Nieraz budzi mnie wśród nocy. Lecz ty nie powinnabyś jej odczuwać, nie znasz zapewne nędzy.

— A *ty* ją znasz?

— Mniejsza o to. Czy twój kapitał jest zabezpieczony?

— Mam go w papierach państwowych.

To dobrze. Gdyby kto kiedy proponował ci wyższy procent, gdybym ja nawet chciał cię namówić do ulokowania kapitału korzystniej, nie podejmuj go ani na chwilę i nie pożyczaj nigdy ani jednego pensa, nawet rudowłosej dziewczynie.

— Nie potrzebujesz prawić mi morałów. Mam sama dość rozsądku i zastanowienia pod tym względem.

— Bo to widzisz, świat pełen jest ludzi, którzyby zaprzedali duszę za trzysta franków rocznego dochodu, a niejedna zapewne kobieta wśród pogawędki poprosi cię o pożyczenie kilku funtów. Pamiętaj, że kobiety nie oddają nigdy długów. Trzymaj pieniądze, Maisie, bo nic straszniejszego, jak

nędza w Londynie. Zakosztowałem jej. Na samą myśl o tem dreszcze mnie przechodzą.

Każdemu człowiekowi przeznaczone jest lękać się czegoś i walczyć z tą obawą.

Nilghai drżał mimowoli na widok zielonych wód jeziora lub na odgłos warczącego koła młyńskiego.

Torpenhow'a przejmowała nieopisanym lękiem myśl o małżeństwie.

Dla Dicka postrachem była nędza, której zaznał przez własną fantazyę, na próbę.

Maisie przyglądała się wyrazowi jego twarzy, oświetlonej blademi promieniami księżyca.

— Masz teraz dosyć pieniędzy — rzekła na pocieszenie.

— Nie będę ich miał nigdy dosyć — odparł gorzko — będzie mi zawsze brakło trzech pensów.

— Dlaczegóż trzech pensów?

— Kiedyś odnosiłem kuferek pewnemu gentlemanowi ze stacyi przy Liverpool Street do mostu Blackfriars. Miałem za to dostać sześć pensów — nie śmiej się — potrzebowałem okrutnie pieniędzy. Otóż ów gentleman zapłacił mi tylko trzy pensy i to nie srebrem nawet. Choćbym nie wiem ile zarobił pieniędzy, straty owych trzech pensów nikt mi nie zwróci.

Słowa takie nie licowały z tem, co mówił o pracy, podejmowanej w imię czystej i bezinteresownej miłości dla sztuki.

Zrobiło to niemiłe wrażenie na Maisie.

Z wielką powagą sięgnęła do swego woreczka i wyjęła zeń trzypensowy pieniążek.

— Masz — rzekła — i nie wspominaj już o tem. Czyś juz odszkodowany?

— Sowicie, to też ów rachunek zamykam — rzekł poważnie. — Przyczepię pieniążek do dewizki od zegarka. Ty Maisie jesteś aniołem prawdziwym.

— Zimno mi — rzekła, otrząsając się. — Ach! patrz, cały płaszcz szronem pokryty, twoje wąsy także. Nie myślałam, że jest tak chłodno.

Dick zapomniał także o porze roku i stanie temperatury.

Roześmieli się serdecznie. Wstali i biegli przez pola „dla rozgrzewki,“ wpół drogi odwrócili się jednak, aby raz jeszcze spojrzeć na morze, co w promieniach księżyca lśniło się jak roztopione srebro.

Rozkoszną niespodzianką dla Dicka było, iż Maisie patrzała na barwy takiemi samemi, jak on oczyma, że w mlecznej mgle widziała niebieskawe odbłyski, a fiolet—w szarawych mrokach, jednem słowem, że i dla niej każda barwa miała nie jeden, lecz tysiące odcieni.

Światło księżyca, padając na duszę Maisie, rozgrzało ją, rozweseliło, tak, iż ona, zazwyczaj milcząca, zaczęła mówić dużo o sobie, o tem, co ją zajmowało najbardziej, o najrozumniejszym z mistrzów, niezrównanym Kami i o koleżankach, jakie poznała w jego pracowni.

A więc o Polkach, które, gdyby ich nie powstrzymać, gotoweby się na śmierć zapracować; a Francuskach, które mówią daleko więcej o pracy, niźli istotnie pracują i rokują zawsze więcej niźli w następstwie spełnią; o nieporządnych Angielkach, które nie mogą zrozumieć, że zamiłowanie nie jest jeszcze talentem; o Amerykankach, których donośne głosy i wesołość działają na najsilniejsze nerwy; o wytrwałych Niemkach, które przybywają, aby się uczyć pewnego rodzaju, a wydoskonaliwszy się w nim w miarę zdolności, wracają do ojczyzny i do końca życia kopjują obrazy.

Dick słuchał z wielkiem zajęciem, dlatego, że to mówiła Maisie.

Znał dobrze to życie.

— Jak widzę, to się tam nic nie zmieniło — rzekł. — Czy zawsze uczniowie kradną farby podczas śniadania?

— No, naturalnie. To już taki zwyczaj. Ja byłam jedną z lepszych, bo brałam tylko ultramarynę, były takie, które sięgały nawet po farby białe, mleczne.

— Sam to robiłem. Trudno się oprzeć pokusie, gdy się

widzi nałożone palety. Każda farba jest przecież wspólną własnością.

— Chciałabym też mieć niektóre z twoich farb, Dickie. Możeby mi to dało twoje powodzenie.

— Cóż znaczy powodzenie, słowa i tym podobne marności w porównaniu z.... Ale nie, nie chcę znowu do tego przedmiotu powracać.

— Żałuję bardzo, ale....

— ...Więcej dbasz o wszystkie te marności, niźli o mnie. Co?

— Nie wiem.

— Co mi dasz, jeśli ci udzielę recepty na osiągnięcie wszystkiego, czego pragniesz: powodzenia, sławy, rozgłosu i tym podobnych głupstw? Czy obiecasz, że zastosujesz się do mojego przepisu?

— Naturalnie.

— A więc najprzód: choćbyś była najbardziej zapalona do roboty, nie opuszczaj żadnego posiłku. W ubiegłym tygodniu dwa razy zapomniałaś o śniadaniu — rzekł Dick na chybił trafił, pewien, że się nie omyli.

— Nie... raz tylko jeden, doprawdy.

— Dość i jednego razu. Dalej: nie powinnaś, zamiast porządnego obiadu pijać herbaty z sucharkami, dlatego że na obiad czasu ci szkoda.

— Stroisz sobie ze mnie żarty.

— Mówię to najzupełniej poważnie. Oh! jedyna, czyż nigdy nie zrozumiesz, czem dla mnie jesteś? To jednak okropne: przewidywać wciąż, że możesz się przeziębić, że możesz być przejechaną na ulicy, że źli ludzie mogą cię oszukać, obedrzeć, a nie mieć najmniejszego prawa od tego wszystkiego cię uchronić. Ba! nie wiem nawet, czy masz dość rozsądku, aby nakładać ciepłe rzeczy, gdy jest chłodno na dworze.

— Dick, doprawdy jesteś niemożebny. Przecież dawałam sobie rady, przez lat tyle, w czasie twojej nieobecności.

— Nie było mnie wtedy tutaj i nie wiedziałem o tem. Lecz teraz, gdym powrócił, dałbym nie wiem co, aby mieć

prawo, nie pozwalać ci wychodzić z domu na deszcz i niepogodę.

— Czy oddałbyś nawet twoją sławę?

Dick miał niepohamowaną ochotę zakląć energicznie.

— Mrs. Jannett miała słuszność, gdy mówiła o tobie, że możesz najcierpliwszego człowieka wyprowadzić z cierpliwości. Zadługo przebywałaś w szkole i zdaje ci się, że wszyscy zajmują się obrazami tylko. Pamiętaj, że na całym świecie jest zaledwie z jakie tysiąc dwieście ludzi, znających się na malarstwie. Inni mają do tego pretensyę, a reszta tyle dba o obrazy i tych, co je malują, jak o śnieg zeszłoroczny. Prawie każdy dobija się o jakąś Maisie i mało kto zechciałby tak jak ja rozprawiać ze swoją Maisie o malarstwie.

— Biedna Maisie!

— Biedny Dick, chyba. Czy sądzisz, że gdy walczy o to, co mu jest najdroższem w świecie, ma ochotę patrzeć na najpiękniejsze nawet obrazy? A gdyby nawet patrzał i cały świat patrzał i setki milionów ludzi śpiewało hymny pochwalne na cześć obrazów moich, co to wszystko znaczy, wobec tego, żeś chodziła po sprawunki w dzień dżdżysty bez parasola.

— Ależ mówiłeś przecież, tam nad wybrzeżem... — wtrąciła Maisie.

Dick zaśmiał się gorzko.

— Tak, pamiętam dobrze — odparł. — Prawiłem ci, że praca jest jedynem mojem dążeniem, nadzieją, wszystkiem na świecie; tak mówiłem i czasem tak myślę, ale jam młody, a tem samem mam inne jeszcze cele, dążenia i nadzieje, choć wszystko co możesz, robisz, aby je we mnie zdeptać, zagasić. Radzę ci postępować wedle tego co mówię, a nie patrzeć na to, co robię.

Maisie, widząc jego rozdrażnienie, zaniechała wreszcie rozmów o sztuce.

Wracali w wybornych humorach wśród ożywionej gawędki.

W chwili gdy pociąg zatrzymał się na dworcu w Londynie, Dick przekładał właśnie Maisie zbawienne skutki używania ruchu i rozrywek.

Projektował sobie, że kupi jej wierzchowca, łagodnego jak dziecię, postawi go na stajni u jednego ze swych przyjaciół o kilka mil pod Londynem i że będzie z nią jeździł konno conajmniej ze trzy razy na tydzień.

— Ależ to nie wypada!— tłómaczyła mu.

— Głupstwo! Czy znajdzie się w całym Londynie ktoś, ktoby chciał lub też ośmielił zajmować się tem, co my robimy i gdzie jeździmy.

Maisie popatrzała na tłumy ludzi, z których każdy spieszył do swoich zajęć, rozrywek, potrącając łokciami resztę świata i pomyślała sobie, że Dick ma może racyę, a gdy w dodatku, spojrzała na mgłę i przypomniała sobie nagie, smutne ściany swojej pracowni, to projekt owych wycieczek wydał jej się daleko mniej niedorzecznym, niż w pierwszej chwili; jednak broniła się przeciwko niemu.

— Czasem bywasz bardzo milutki — rzekła — lecz częściej daleko nierozsądny. Daj sobie pokój z wierzchowcami, a nie rób sobie także kłopotu z odprowadzaniem mnie do domu. Powrócę sama. Przedtem jednak musisz mi obiecać, że nie będziesz już nigdy wspominał o owych trzech pensach, wszak ci je zwróciłam! Przyrzeknij mi także, że nie będziesz już pracował dla zysku; że nigdy nie sponiewierasz sztuki. To ciebie niegodne.

W odpowiedzi Dick ścisnął silnie podawaną rączkę.

— Dowidzenia — rzekła Maisie, wsiadając do dorożki — przyjdziesz w niedzielę... Miły to był dzień. Szkoda, że zawsze tak być nie może.

— Gdybyś tylko chciała... ale nie ma o czem mówić. Dobranoc ci, Maisie, a ochraniaj-że się — jeśli nie ze względu na siebie, to dla mnie.

Poszedł do domu, marząc o dniu ubiegłym.

Nie przyniósł on mu wprawdzie tego, czego się spodziewał i czego tak gorąco pragnął, lecz swoją drogą piękny to był dzień i miał być pamiętnym, bo zeszedł mu przy boku Maisie.

Dick machinalnie skręcił w stronę rzeki.

Pociągała go zawsze woda.

— I jak tu się nie ubiegać o taką! — rozmyślał. — Co to za dziewczyna! Jak ona wszystko rozumie, jak rozumie! tylko czuć nie potrafi... ale to przyjdzie z czasem. Powiada, że ja jestem lepszy od niej.... Lepszym od niej!... Mój Boże... — zaśmiał się. — Co za naiwność! Ciekaw też jestem, czy dziewczyny domyślają się czwartej części naszych nieprawości. Niepodobna, inaczej nigdyby nie zechciały za nas wychodzić.

Wyjął dar Maisie z kieszeni i przyglądał mu się, upatrując w nim zadatek przyszłego szczęścia.

Tymczasem jednak Maisie była sama w Londynie, nikt nie mógł jej strzedz od niebezpieczeństwa, a w owej pustyni, rojącej się od ludzi, pełno było na każdym kroku niebezpieczeństw i zasadzek.

Dick złożył prawdziwie pogańską ofiarę: rzucił pieniążek do wody, aby zażegnać złe losy. Jeśli nieszczęście jakie spaść miało, to niechaj spada na niego, a nie na Maisie.

Taką była jego prośba do Pana Przeznaczeń, a wzamian dawał, co miał najdroższego na świecie.

Był to wprawdzie pieniążek drobniuchny, lecz ofiarowała go Maisie, a on rzucił na pastwę Tamizie.

Los został przekupiony i odtąd powinien być przychylnym.

Dick, pełen otuchy, z lekkiem sercem, wracał do domu.

Po dniu spędzonym w towarzystwie kobiety, ciągnęło go do gawędki koleżeńskiej i papierosa, a silniejsze jeszcze pragnienie zrodziło się w jego sercu, gdy nagle mignęło mu przed oczyma widmo „Barralong'a,“ mknącego w stronę Krzyża Południowego.

ROZDZIAŁ VIII.

Torpenhow numerował ostatnie kartki jakiegoś artykułu; Nilghai, który przybył na szachy, a pozostał dla rozprawiania

o taktyce wojennej, odczytywał początek rękopisu, wtrącając złośliwe uwagi.

— Artykuł bardzo obrazowy i stylistyczny — mówił · ale jako przegląd polityki wschodniej, niema najmniejszej wartości.

— Jakie jest, to jest, dość że się już zbyłem roboty.... Trzydziesta siódma, trzydziesta ósma, trzydziesta dziewiąta.... Ho! ho! aż tyle. Trzydzieści dziewięć kartek, to nie żarty. Będzie jakie dwa tysiące wierszy—najgorszych informacyj i najniedorzeczniejszych poglądów na sprawy wschodnie.

W chwili tej do pokoju wszedł Dick, trochę nieśmiało, ale w najlepszym w świecie humorze.

— Jesteś nareszcie! — zawołał na powitanie Torpenhow.

— Cóżeście tu robili?

— Pracowaliśmy, naturalnie. Dickie, tak sobie poczynasz, jak gdyby własnością twoją był Bank angielski. Przeszła niedziela, przeszedł poniedziałek i wtorek, a tyś nie dotknął nawet pędzli. To poprostu obrzydliwe!

— Kwestya zapatrywania — odparł oskarżony, nakładając tytoń w fajeczkę. — Zresztą natchnienie ma swoje kaprysy i fantazye. Nawet Apelles nie siadywał codzień przy stalugach.

— Do tego, coś malował ostatniemi czasy, nie trzeba natchnienia, ani nawet farb, dość szuwaksu i smarowidła do wozów — wtrącił zjadliwie Nilgai.

— Gdybyś nie był taki duży i tłusty... — mówił Dick, oglądając się za jakim orężem do walki.

— Dajcie pokój — protestował Torpenhow. — Przeszłym razem połamaliście mi wszystkie stołki, a po pierzu z poduszek można było jeździć sankami. Mógłbyś też, wchodząc, przywitać się, choć z psem. Spojrzyj-no jak się łasi.

Binkie zeskoczył z kanapy, wspinając się na przednich łapach, do Dicka.

— Poczciwa psina — zawołał tenże, podnosząc go i całując w czarną łatkę nad prawem okiem. — Szkaradny Nilghai spędził cię z kanapy? Pożrej go, Binkie, dalej! — Rzucił w tłu-

ściocha charcikiem, który szczerzył zęby i, dobrze wyćwiczony w tej sztuce, udawał, że go zjada po kawałku.

Figle te źle się skończyły, poduszka z otomany przytłoczyła pieska swym ciężarem; zziajany wysunął z po za niej łebek i zemścił się, wywieszając język do towarzystwa.

— Binkie chodził dziś rano na spacer, zanim wstałeś, Torp. Widziałem go, jak się umizgał do rzeźnika z przeciwka, jak gdyby cierpiał głód w domu — oskarżał Dick.

— Binkie, czy to prawda? — rzekł Torpenhow srogo.

Piesek schował się znowu za poduszkę.

— Widzę z tego, że kto inny jeszcze wychodził na spacer — rzekł Nilghai. — Cóż cię wyciągnęło z łóżka tak wcześnie? Torp powiada, że kupowałeś konia.

— Torp wie dobrze, że gdyby sprzedać nas wszystkich trzech razem, to jeszcze nie byłoby za co kupić konia. Nie, smutno mi było i głupio, więc pojechałem nad morze. Do Progly, czy Snigly, nie pamiętam już jak się nazywa ta miejscowość kąpielowa... dwie godziny jazdy koleją z Londynu. Przepływały okręty.

— Czy widziałeś jaki znajomy?

— Tylko „Barralong,“ wyruszający do Australii i statek zbożowy z Odessy. Dzień był mglisty, ale morze—co za zapach! co za zapach!

— I dla zobaczenia „Barralong'a“ włożyłeś najlepsze spodnie — rzekł Torpenhow podstępnie.

— Włożyłem, bo nie mam innych tylko te i drugie, zawalane farbami, a przytem chciałem uczcić morze.

— Czy cię pozbawiło spokoju?— zapytał Nilghai z ukrytą myślą.

— Tak, rozstroiło mi nerwy. Nie mówmy o tem lepiej. Żałuję, żem jeździł.

Torpenhow i Nilghai zamienili spojrzenie. Dick podszedł do nocnego stolika i przerzucał w nim rozmaite obuwie.

— Te będą w sam raz — rzekł wreszcie, wyjmując skó-

rzane pantofle z wyszyciem — nie powiem, żeby były zbyt gustowne, ale mniejsza oto.

Zdjął buty i wsunąwszy nogi w pantofle, wyciągnął się na szezlongu, jak długi.

— To moja ulubiona para — protestował Torpenhow — chciałem właśnie je nałożyć.

— Och! niepoprawny samolubie. Korci cię, że mi jest wygodnie i chciałbyś zaraz wyprowadzić mnie z tego błogostanu. Poszukaj sobie inną parę.

— To szczęście, Torp, że Dick twojego ubrania nosić nie może, bo jak widzę, żyjecie według zasad komunistycznych — rzekł Nilghai.

— Dick niema nigdy nic takiego, cobym mógł włożyć na siebie. Można go tylko podskubywać.

— A niechże cię! widzę, żeś już zaglądał do mojej szuflady — zawołał Dick. — Jakże chcesz, abym prowadził porządnie rachunki...

Nilghai przerwał mu głośnym wybuchem śmiechu. Zowtórował mu Torpenhow.

— Pożyczyłeś mi suwerena przed miesiącem, pamiętasz? — rzekł Torpenhow.

— No, naturalnie.

— Czy pamiętasz, że ci te pieniądze oddałem w dziesięć dni potem i żeś włożył je na dno pudełka z tytoniem.

— Czyż doprawdy? Zdawało mu się, żem je włożył do pudełka z farbami.

— Zdawało ci się! To dobrze. Tydzień temu poszedłem do twojej pracowni po tytoń i znalazłem pieniądze na dnie pudełka.

— Cóżeś z niemi zrobił?

— Wziąłem Nilghai'ego do teatru i nakarmiłem go.

— Nie mógłbyś nakarmić Nilghai'ego, choćbyś wziął dwa razy więcej; nie nakarmiłbyś go nawet, gdybyś mu dał wołu tłustego.... No, przecieżbym wcześniej czy później zmiarkował, że mi brak pieniędzy. I z czegoż się śmiejecie, u licha?

— Jesteś najpocieszniejszy gamoń pod słońcem — zawołał Nilghai, ubawiony wspomnieniem obiadu. — Słusznie nam się to zresztą należało. Obaj pracujemy ciężko, a tobie pieczone gołąbki spadają do gąbki. Jesteś poprostu próżniak i hultaj.

— I tak się o mnie wyraża człowiek, który się objadł za moje pieniądze! To mi się podoba. Musicie mi się wywdzięczyć za ten obiad. A możebyśmy też dziś poszli do teatru.

— No, to włóż buty, ubierz się, a przedewszystkiem się umyj — komenderował Nilghai.

— Odrzucam ostatni wniosek.

— A więc możebyśmy, dla odmiany, wzięli węgiel i płótno i zabrali się do roboty. Zwracam twoją uwagę, że mówię w liczbie mnogiej.

Torpenhow miał nadzieję, że podstępem bodaj, wyprowadzi przyjaciela z apatyi i lenistwa; lecz Dick wyciągnął się jeszcze wygodniej na sofie.

— Choćbym miał nie wiem jakie modele i pędzle, choćby mi obiecywano złote góry, nie mógłbym się wziąść dzisiaj do roboty. Nie jestem w usposobieniu.

— Binkie, patrz-no, czy widziałeś kiedy większego próżniaka? — zawołał Nilghai.

— No, zresztą gotów jestem się dla was poświęcić — rzekł Dick, podnosząc się ociężale. — Przyniosę księgę Nungapunga i dodam nowy szkic do legendy o Nilghai'm.

— Czy nie zanadto na niego zrzędzisz? — rzekł Nilghai po odejściu Dicka.

— Być może, ale nie mogę patrzeć obojętnie, aby się taki talent marnował. Wściekłość mnie porywa, gdy słyszę, jak go chwalą za to, co zrobił, wiedząc, co mógłby jeszcze stworzyć. Obaj przecież spodziewaliśmy się po nim tak wiele!

— Istotnie, zawiódł nasze oczekiwania.

— Zawiódł je haniebnie. Ale ja wiem, jaka w tym chłopcu spoczywa jeszcze siła, coby on mógł jeszcze dokonać, gdyby się zabrał porządnie do dzieła. Dla tego to właśnie na niego zrzędzę, dla tego do pracy go napędzam.

— Choćbyś nie wiem co mówił i nie wiem co dla niego robił, on swoją drogą wszystko porzuci i o wszystkiem zapomni — dla jakiejś tam dziewczyny.

— To ciekawe.... Jak ci się zdaje, gdzie on był dzisiaj?

— Nad morzem. Czyś nie widział blasku jego oczów, gdy o niem mówił? Jest niespokojny, jak jaskółka, zbierająca się do lotu na jesień.

— Tak, ale czy jeździł sam?

— Nie wiem i mało mnie to obchodzi, widzę tylko, że już go porwała gorączka podróży. Potrzebuje zmiany miejsca, ruchu.

— Zapewne. Jeśli chcesz być zbawcą, ratuj go. Co do mnie jestem przeciwnym teoryi wybijania klina klinem.

Dick powrócił z ogromną teką, którą Nilghai znał dobrze i której wcale nie lubił.

W niej to Dick w chwilach dobrego humoru uwieczniał zabawne epizody z życia własnego i swoich przyjaciół.

Osoba Nilghai'ego i jego przygody dostarczały mu najobfitszego wątku do owych szkiców.

Gdy rzeczywistość nie nastręczała tematu, uciekał się do fikcyi i przedstawiał takie zdarzenia z życia Nilghai'ego, które się nigdy nie zdarzyły, istniejąc tylko w bujnej wyobraźni rysownika i na kartkach albumu.

Były tam więc małżeństwa Nilghai'ego z rozlicznemi afrykańskiemi księżniczkami; jego niecne zdrady dla Arabek z obozu Mahdiego; utatuowanie tłuściocha przez zręcznych operatorów z Burmy; jego ścięcie na placu kaźni w Kantonie i wreszcie wędrówkę jego duszy, przechodzącej w ciało wielorybów, słoni, nosorożców i najrozmaitszych dzikich bestyj.

Torpenhow od czasu do czasu rymowanemi komentarzami uzupełniał szkice.

Na ostatnim, Nilghai w stroju niesłychanie pierwotnym, domagał się u ministeryum wojny o order egipski.

Dick zasiadł przy stole i album otworzył, przeglądając swe arcydzieła.

— Gdybym chciał, mógłbym zrobić na tobie majątek — mówił — weźmy naprzykład ten oto obrazek: „Nilghai, osaczony podczas kąpieli przez Mahdystów,“ toż to warte parę set funtów a przytem ma zaletę autentyczności, co?

— O ile pamiętam, była to ostatnia moja kąpiel. Czy i Binkie przeszedł do twojej legendy?

— Nie, Binkie oprócz łapania szczurów, nic jeszcze wiekopomnego nie dokonał. No, uwieczniwszy twoje czyny wojenne, teraz przedstawiać cię będę w życiu prywatnem. Mam już pomysł do przepysznego szkicu: Meeting wszystkich żon Nilghai'ego na Trafalgar Square. Zbiegły się ze czterech stron świata na ślub Nilghai'ego z angielską oblubienicą. Zrobię to sepią. Temat wspaniały.

— Obrzydliwe trwonienie czasu — mruknął Torpenhow.

— Nie nudź, to rękę wprawia.

Zabrał się szybko do roboty.

— Oto kolumna Nelsona. Na szczycie jej stanie Nilghai.

— Ubierz-że go choć raz przyzwoicie.

— Dam mu welon i wieniec myrtowy, jako oblubieńcowi.

— Niezły pomysł — zaśmiał się Torpenhow, zaglądając przez ramię Dicka.

— Coby to była za sensacya, gdybyśmy za każdym razem, co Nilghai „osmaruje” kogo w recenzyi, wystawiali na widok publiczny po jednym z tych niewinnych obrazków.

— Widział też kto podobną niewdzięczność! Czyż za każdym razem, co cię mam „zerżnąć“ nie powiadam ci z góry, co chcę napisać; a że wiem, iż koniec końców, dałbym się unieść pobłażliwości, więc oddaję zawsze tę robotę innemu. Młody Maclagan... naprzykład.

— Chwilkę spokoju.... Podnieś rękę do góry. Stanowczo trzeba, żeby jedna ręka była do góry podniesiona. To daleko uroczyściej... No i cóż tam Maclagan?

— Nic, dałem mu tylko wskazówki, jak poćwiertować cię na kawałki za to, że nie tworzysz nic trwałego, nic takiego, coby wytrzymało próbę czasu.

— Dlatego to ów młodzieńczy idyota, zostawszy sam na sam z kałamarzem, wylał na mnie cały potok swej nieznajomości rzeczy — mówił Dick, przymykając jedno oko i przypatrując się na odległość swemu szkicowi. — Mogłeś też był nająć do roboty człowieka dorosłego przynajmniej.... Patrz, Torp, jak ci się podoba ślubny welon?

— Djabeł nie chłopiec! Trzema brzyźnięciami pędzla i dwoma liniami potrafi oddać całą postać — zawołał Torpenhow, którego metoda Dicka wprowadzała zawsze w zachwyt i zdumienie.

— To zależy od tego, jak owe brzyźnięcia umieścisz. Gdyby Maclagan znał ten sekret, byłby swoją recenzyę umieścił... w koszu.

— Czemuż, u licha, nie brzyźniesz czegoś porządnego, coby miało wartość istotną — nalegał Nilghai, któremu po wielu trudach udało się wreszcie pozyskać pióro młodzieńczego krytyka, przejętego szczerze wysokiem zadaniem sztuki.

— Poczekaj chwilkę. Muszę ugrupować pochód małżonek. Zawierałeś ślubów do licha, nielada robota z wszystkich tych dam utworzyć orszak: Edomitki, Medejki, Partyanki, Indyanki, Murzynki wszelakich plemion i t.d. i t.d. i t.d.. Otóż wracając do twoich pretensyj i teoryj o sztuce wiecznotrwałej, mam to miłe przeświadczenie, żem dokonał prawdziwego arcydzieła i nic już lepszego nie zrobię — nie tak prędko przynajmniej, a może już nawet nigdy.

— Ciekaw też jestem co uważasz za najlepszą swoją robotę. Czy ją znam? — zawołał Torpenhow zaciekawiany.

— Czyś ją już może sprzedał? — pytał Nilghai.

— Oh nie! Nie znacie jej, ani też jej sprzedałem. Powiem wam więcej: sprzedaną być wcale nie może... nikt nie wie, gdzie się teraz znajduje... a i ja także nie mam o tem pojęcia.... Patrz, przybywa coraz więcej żon, najrozmaitszego koloru skóry. Spojrzyj na cnotliwe oburzenie lwów, strzegących kolumny.

— Nie zagaduj, proszę cię. Musisz się wytłómaczyć.

— Stara to historya. Przypominało mi ją morze — odparł Dick, podnosząc głowę z nad teki — a szkoda wielka. Wspomnienie to przytłoczyło mi serce. Od tego ciężaru mogłaby mnie jedynie uwolnić ołowiana kula.

— Nie bądź-że idyotą. Przed nami nie będziesz przecie pozował.

— W tem co powiadam, niema wcale pozy. Otóż słuchajcie. Kiedyś płynąłem z Limy do Auckland na dużym statku ładunkowym. Mogliśmy wypalać nie więcej jak piętnaście ton węgla na dzień i uważaliśmy się za szczęśliwych, gdy nam się udawało płynąć z szybkością siedmiu węzłów na godzinę.

— Czy byłeś wówczas posługaczem okrętowym?

— Nie, poprostu pasażerem, jedynym z Limy, a statek był nawpół pusty, pełen szczurów, stonóg i skorpionów.

— Lecz cóż to ma wspólnego z twojem arcydziełem!

— Chwilkę cierpliwości. Statek służył dawniej do przewozu nierogacizny z Chin, to też urządzony był z odpowiednim komfortem; światło przenikało przez malutkie okienka; w kabinach było ciemno i duszno. Sternik obawiał się wypływać na pełne morze, to też okrążaliśmy jedna po drugiej Wyspy Towarzyskie. Trawiony bezczynnością i nudą, schodziłem na pokład i zamalowywałem boki okrętu, a nie było innych farb oprócz brunatnej, zielonej i czarnej, które służyły majtkom do malowania łodzi.

— Pasażerowie brali cię zapewne za waryata.

— Oprócz mnie na statku znajdował się tylko jeden pasażer-kobieta i ona to właśnie dała mi pomysł do obrazu.

— Któż to był taki?

— Nawpół żydówka, nawpół murzynka, nawpół kubanka. Nie umiała czytać ani pisać i nie pragnęła wcale się nauczyć, lecz przychodziła patrzeć na moją robotę. A nie podobało się to kapitanowi, który płacił za jej przejazd i miał do niej pewne prawa. Były to najmilsze chwile w mojem życiu. Gdy morze się buntowało, nie wiedzieliśmy czy płyniemy naprzód, czy się cofamy; lecz za to gdy było spokojnie, to było nam jak w raju,

Towarzyszka moja mieszała mi farby i rozmawiała ze mną łamaną angielszczyzną, a kapitan schodził na pokład co chwila, pod pozorem, że boi się, abyśmy nie zapruszyli ognia. Miał racyę: płomienie wybuchały, nie takie jednak, któreby groziły całości statku, lecz spokój ducha kapitana na szwank był narażony. Nie mogliśmy nigdy wiedzieć, kiedy nas zaskoczy znienacka i to dodawało uroku naszym pogawędkom, a obcowanie z piękną kobietą dodawało mi natchnienia; nawet brak farb ostudzić go nie zdołał. Natchnienie to płynęło z morza i z pięknych oczów kobiety. Malowałem walki tytaniczne duchów, a towarzyszka moja służyła mi za model do postaci aniołów również jak i szatanów, a gdy światło było dobre, to już mi nic do szczęścia nie brakło. Obraz miał siedm stóp wysokości i czternaście szerokości i utrzymywany był naturalnie w tonie ponurym—ani jednej jasnej farby. Swoją drogą takiego już nigdy nie namaluję. Zginął bez śladu. Zdaje mi się, że okręt gdzieś się rozbił. Oh! to były czasy dopiero!

— I cóż dalej?

— Ha! skończyło się to, jak wszystko na świecie. W chwili gdym wylądowywał w Auckland, ładowano na statek wełnę, ale nawet majtkowie i tragarze okazywali wielkie poszanowanie dla mojego utworu. Zdaje mi się, że oczy demonów przejmowały ich pewną trwogą.

— A towarzyszka twoja?

— I na niej także obraz ten robił wrażenie. Zawsze się żegnała, przechodząc obok niego. Co to była za rozkosz, aż dreszcz mnie przechodzi na samo wspomnienie: trzy tylko farby i żadnej szansy dostania więcej; naokoło morze, na statku ciągłe gruchania miłosne, a każdej chwili zagłuszająca wszystko obawa śmierci... Nie, takich wrażeń nie doznam już nigdy w życiu, choćbym żył lat nie wiem ile.

Dick zapatrzył się przed siebie oczyma błędnemi.

— Czemuż teraz nie spróbujesz coś w tym rodzaju?— wtrącił Nilghai.

— Bo takie rzeczy na zawołanie nie przychodzą. Gdy-

bym znalazł znowu taki sam statek, taką samą żydówkę kubańską; gdybym odnalazł dawne życie, to może dokonałbym arcydzieła.

— Tego wszystkiego nie znajdziesz tutaj — rzekł Nilghai.

Dick zamknął tekę ruchem gwałtownym.

— W pokoju tym jest jak w napalonym piecu, otwórzcie okno, zlitujcie się! — zawołał.

Wysunął głowę i patrzał na miasto, wrzące u stóp jego.

Pokoje kawalerskie górowały nad setkami okolicznych kominów.

Na północ, światła z Piccadilly i Leicester Square rzucały blade odbłyski na czarne dachy; na południe lśniła się Tamiza.

Pociąg przelatywał po jednym z mostów kolejowych, zagłuszając dudnieniem swem hałas uliczny.

Nilghai spojrzał na zegarek.

— To kuryer paryski — rzekł — możesz się puścić choćby na Kaukaz.

Dick wysunął całą głowę i ramiona i patrzał na rzekę.

Torpenhow stanął przy nim, Nilghai podszedł do fortepianu.

Binkie, uszczęśliwiony, że mu pozostawiają całą kanapę, wskoczył na nią i starał się zająć jaknajwięcej miejsca.

— No i cóż? — mówił Nilghai, zwracając się do obu par ramion — czyście nigdy jeszcze nie widzieli Londynu?

Rozległ się świst odpływającego parowca. Dick oparł głowę na ręku i marzył.

Powietrze nocne było widocznie za ostre dla płuc Binkie, bo zaczął drżeć i szczekać.

— Zaziębimy jeszcze psinę — odezwał się cichym głosem Torpenhow — chodź, Dickie.

Zamknęli okno.

— Już ja to widzę, kości twoje spoczną na londyńskim cmentarzu... przy zwłokach żony i kilkanaściorga dzieci. Nie ruszysz się już z Londynu.

— Niechże mnie Allah strzeże od podobnego ciosu. Za rok mnie już tu nie będzie, a może nawet prędzej.

— Binkie, pozwól-że mi nogi wyprostować.

Dick wyciągnął się znowu na sofie i głaskał jedwabiste uszy pieska, ziewając przeraźliwie.

— Ten stary klawicymbał wydaje dźwięki podobne do głosu pijanej baby — mówił Torpenhow do Nilghai'ego — ty jeden na nim grywasz od czasu do czasu.

— Nilghai przychodzi zawsze wtedy, kiedy mnie nie ma w domu — mruknął Dick.

— To tylko dlatego, że ciebie nigdy w domu nie ma. No, zaśpiewaj mu co. Niech nam się przypomną dawne czasy.

Śpiew był jednym z talentów towarzyskich Nilghai'ego, produkowanych już pod rozmaitemi stopniami szerokości geograficznej.

— Czego sobie życzycie?

— Śpiewaj jaką pieśń marynarską: „Od Ushantu do Sycylii“ naprzykład.

Nilghai grubym basem sławił rozkosze życia koczowniczego.

Głowa Dicka zwisła niżej na piersi, w uszach jego coraz głośniej rozlegał się świst pary, wyruszającego do Australii „Barralong'a.“

Każdą zwrotkę śpiewano chórem.

— Pamiętam, jakeśmy tak samo zawodzili w przeddzień bitwy pod El-Maghrib — rzekł Dick. — Ciekaw też jestem, wielu jeszcze żyje z naszego chóru?

Torpenhow zadumał się.

— Zdaje mi się, że tylko wy dwaj i ja — rzekł po chwili. — Raynor, Vickery, Deenes zginęli w rozmaitych stronach świata, Vincent dostał czarnej ospy w Kairze, tak... tylko ty, ja i Nilghai. Z tamtych nie pozostało już ani śladu.

— A jednak ludzie, pracujący tutaj w ogrzanej kaloryferami pracowni, pod opieką policyantów, śmią twierdzić, że

obrazy moje są zanadto ponure, że za wiele w nich jest krwi i trupów.

— Wszak kupują twoje obrazy, a nie twoje polisy ubezpieczeniowe, drogie dziecię — zauważył Nilghai.

— Mniejsza o życie. Czy to co warte? Śpiewaj „Sternika.“

Wszyscy trzej zaczęli chórem pieśń o przygodach okrętu wojennego.

Śpiewali z zapałem szalonym.

— To dziwna, jak takie wycie rozstraja człowiekowi nerwy — mówił Dick, targając psa za uszy.

— To zależy od człowieka — odrzekł Torpenhow.

— Od człowieka, który jeździł popatrzeć na morze — wtrącił Nilghai.

— Nie przypuszczałem, aby mnie tak rozmarzyło.

— To zwykłe skutki pożegnania z kobietą. Lecz łatwiej jest pozbyć się trzech kobiet, niżli otrząsnąć się z cząstki własnego życia i otoczenia.

— Wszak kobieta może być... — zaczął Dick nieostrożnie.

— Tak, wiem, chcesz powiedzieć, że może być cząstką życia — dokończył Torpenhow.

Twarz jego sposępniała.

— O nie! — zawołał. — Kobieta może być tylko kulą u nogi. Z początku prawić ci będzie o duchowych dźwigniach, o pracy, o umiłowaniu sztuki, o dążeniu do ideału, jednem słowem o tem wszystkiem, co mężczyzna powinien dokonać sam, bez niczyjej pomocy; a potem po pięć razy na dzień zarzucać cię będzie bilecikami pełnemi wymówek, że nie tracisz czasu w jej towarzystwie.

— Zanim dojdzie do bilecików, trzeba przed babą zmykać — zadecydował Nilghai. — Szkoda wielka, mój synu, żeś się wpakował w ten klajster.

— Szkoda wielka, żem jeździł nad morze — rzekł Dick, pragnąc rozmowę odwrócić — a szkoda także, żeś nam śpiewał.

— Morze nie będzie ci przysyłało po pięć bilecików na dzień — rzekł Nilghai.

— Nie, ale mnie rozstroiło gorzej jeszcze, niż twoja muzyka—klawicymbał Torpenhowa. Nie trzeba było przyglądać się temu potworowi; żałuję w ogóle, żem go poznał, żałuję, żem się nie urodził gdzieś daleko, w głębi lądów, o sto tysięcy mil od morza.

— Słyszane to rzeczy tak bluźnić pierwszej miłości! Więc czemuż, u stu piorunów, wsłuchujesz się w głosy tego potwora! — zawołał Torpenhow.

Zanim Dick zdążył odpowiedzieć, Nilghai zagrzmiał głosem olbrzymim, aż zabrzęczały szyby i szklanki. Śpiewał „Dzieci morza.“

Każda zwrotka tej pieśni zaczyna się od słów: „Morze, to stara wiedźma,“ a kończy słowami: „A jednak to kochanka nasza najsłodsza.“

Nilghai śpiewał z zapałem szalonym, chcąc poruszyć Dicka, rozniecić w nim dawną miłość.

Słowa pieśni uderzały o uszy młodego malarza, jak plusk fali, co muskała boki okrętu, płynącego z Limy.

Jak żywe, stawały przed oczami Dicka szczęśliwe chwile, gdy malował trzema farbami, od rana do nocy gruchał z piękną Kubanką, spodziewając się lada chwila uczuć nóż kapitana pomiędzy żebrami.

Owładnęła go znowu gorączka podróży, istotniejsza, groźniejsza od wielu dolegliwości, na które w aptekach znaleść można lekarstwo i oto on, który kochał Maisie nadewszystko, wyrywał się od niej w świat szeroki, tęsknił do szerszych widnokręgów, do życia hulaszczego, do bijatyk, kart, łatwych miłostek, do zapachu morza, do niebezpieczeństw; tęsknił do żółtych piasków Port Said, do rozmowy z Binat'em, do chrzęstu broni, do dymu z karabinów, do huku armat i krwi rozlewu, do owego piekła, gdzie nikt nie był pewny swej głowy, lecz do piekła pełnego wrażeń, kipiącego życiem.

— Oh! to już przeszło i wrócić nie może! — zawołał, gdy umilkły słowa pieśni.

— Czemu? Co ci stoi na przeszkodzie do wskrzeszenia dawnego życia?

— Wszak sam niedawno jeszcze mówiłeś, że nie wyruszysz już w świat szeroki.

— Ech! To było dawno... parę miesięcy temu, zresztą opierałem się tylko twoim projektom podróży, za pieniądze osiągnięte z zaprzedania własnej duszy. Teraz sam ci powiem: jedź w świat, pracuj po dawnemu, zdobywaj nowe wrażenia, temata do nowych obrazów.

— Pozbądź się choć paru funtów sadła, które na tobie porosło — mówił Nilghai, chwytając Dicka za kark — robisz na mnie wrażenie karmnika. Trzeba się trenować, mój panie.

— Komu to wymyślać od karmników! Oczy już ci zatyły, w drzwi się nie mieścisz, niedługo na taczkach wozić cię będą.

— Mniejsza o mnie. Słuchaj, kiedy ci powiadamy. Siadaj na pierwszy lepszy okręt i dalej-że w świat. Jedź znowu do Limy, do Brazylii. Na południu Ameryki znajdziesz zawsze jakieś zaburzenia i awantury.

— Czy sądzisz, że potrzebuję, aby mi podawano marszrutę. Wiedziałbym, do licha, gdzie jechać; w tem sęk tylko, gdzie się zatrzymać. Swoją drogą pozostanę tutaj, jak to już miałem zaszczyt wam oświadczyć.

— Widzę, że chcesz koniecznie być pogrzebanym w Kensal-Green i nawet po śmierci lubować się powietrzem Londynu — mówił Torpenhow. — Ha! są rozmaite gusta i guściska. Ja na twojem miejscu nie namyślałbym się chwili. Masz przecie pieniądze, możesz podróżować, jak król.

— Dziwne, zaiste, pojęcie o rozkoszach podróży! Widzę się już w kabinie pierwszej klasy, w przenośnym hotelu o zawartości sześciu tysięcy ton, widzę się przy zastawionym srebrami stole, pochłaniającego rozmaite smakołyki, których nie wiedziałbym nawet jak połykać. Brr! aż mnie mrowie prze-

chodzi. Nie, gdybym jeszcze kiedy puścił się na morze, o czem ani myślę, to nie jako król, ale jako prosty palacz. A chcecie koniecznie, abym się trenował, to wam zrobię ustępstwo. Na początek wyruszę na krótką wycieczkę.

— Dobre i to. Zobaczysz, jak ci dobrze zrobi takie przewietrzenie się.

Nilghai dojrzał odbłysk złośliwości w oczach Dicka, to też powstrzymał się od wszelkich uwag nad jego projektem.

— Najprzód pojadę do stajni Ratkray'a i wynajmę konia, potem wyprowadzę go, bardzo daleko, aż do Richmond Hill. A potem jazda z powrotem, truchcika, żeby zbytnio nie zmęczyć siebie i wierzchowca.... Bah! — Dick zdążył zaledwie zasłonić się obu rękami przed poduszką, którą oburzony Torpenhow chciał rzucić mu w samą głowę.

— Chce mu się ruchu i świeżego powietrza — wrzasnął Nilghai, zwalając się całym ciężarem na Dicka. — Będzie miał jedno i drugie Torp, dawaj-no miecha.

W tem miejscu konferencya została przerwana, z powodu wynikłego szamotania i wrzasku.

Dick ust otwierać nie chciał, dopiero Nilghai zmusił go do tego, złapawszy go za nos; były także pewne trudności przy pakowaniu rurki od miecha przez zaciśnięte zęby.

Dick opierał się dzielnie, nadymał policzki i wreszcie bryznął całą falą powietrza, a że przeciwnicy osłabieni byli ciągłemi wybuchami śmiechu, więc ofiara poczęła rzucać w nich poduszką atłasową z kanapy, aż się wsypka rozdarła.

Pierze wzlatywało kłębami; Binkie, który wmieszał się do walki w obronie swego pana, Torpenhowa, wpadł w otwór poduszki i z wielką trudnością zdołał się wydobyć, cały opierzony, podczas gdy jego opiekunowie przyprowadzali do porządku włosy i ubranie, śmiejąc się do rozpuku.

— To wszystko dla twojego dobra — mówił Nilghai — niema jak ruch i powietrze!

— Wszystko dla twojego dobra — powtórzył Torpenhow, nie czyniąc tem bynajmniej wzmianki do poprzednich bła-

zeństw — to cię nauczy znowu oceniać rzeczy według ich wartości istotnej i nie da ci zgnuśnieć w cieplarnianej atmosferze miasta. Doprawdy, że podróż, to najlepsze lekarstwo. Nie mówiłbym, gdybym tego nie myślał. Tylko, ty wszystko w żart obracasz.

— Bóg mi świadkiem, że tak nie jest — rzekł Dick poważnie. — Nie znasz mnie, jeśli możesz tak myśleć.

— *Ja* tego nie myślę — wtrącił Nilghai.

— Jakże ludzie tacy, jak my, znający życie na wylot a i ze śmiercią obznajmieni nie zgorzej, jakże ludzie tacy mogą obracać w żart cokolwiek? Każdy z nas dlatego tylko błaznuje, aby nie wpaść w drugą ostateczność. Czyż nie widzę i nie rozumiem, stary, jak bardzo dbasz o mnie; jak pragniesz, abym się zabrał porządnie do roboty? Czy sądzisz, że i ja sam o tem nie myślę? Ale ty mi w tem nie pomożesz. Muszę sam się podnosić, sam upadać, przebijać się sam przez życie, sam dążyć do własnej zguby.

— Słyszysz, co ten wygaduje — zawołał Nilghai.

— Jakiejże to kartki legendy o Nilghai'm, nie wypełniłem dotychczas w księdze Nungapunga? — mówił Dick do Torpenhow'a, zdziwionego takim zwrotem.

Należy tu dodać, w drodze objaśnienia, iż najwaleczniejszego czynu przyjaciela, Dick nie uwiecznił dotychczas pędzlem, kredką, ani ołówkiem.

Dawno, dawno temu, gdy Nilghai był jeszcze młodzieńcem, niepomny, iż ciało jego i kości są własnością dziennika, który go wysłał na plac boju, popędził po spalonej słońcem trawie, za brygadą Bredowa, w chwili gdy ta rzuciła się na artyleryę Canroberta, dla ocalenia 24-go pułku niemieckiej piechoty, a to w sam czas, aby zadecydować o losie bitwy pod Vionville i pokazać, iż konnica potrafi zmiażdżyć i złamać niezłomne szeregi piechoty.

Ilekroć Nilghai skłonny był do rozmyślań na temat życia, które mogło być lepszem; dochodów, które mogły być większemi i duszy, która mogła być czyściejszą daleko, zawsze zwykł

był pocieszać się tem wspomnieniem. Dodawało mu ono ochoty do pomniejszych walk życia.

— Rad byłem zawsze, żeś tę kartę opuścił — rzekł poważnie, w odpowiedzi na wzmiankę Dicka.

— Opuściłem ją, bo pozostawiając ją nietkniętą najlepiej uczczę twe bohaterstwo... ale to niema nic do rzeczy. Otóż powtarzam, zostawcie mi swobodę ruchów, myśli, swobodę dążenia bodaj do własnej zguby. Muszę sam się gubić, abym potem do nikogo nie miał pretensyi.

— Ma racyę — zawyrokował Nilghai — pozostawmy go sobie samemu. Każdy musi o własnej sile zdobywać doświadczenie i na własnych plecach nosić odpowiedzialność za swe życie.

— Jestem na złej drodze, być może — tłómaczył się Dick — lecz pozwólcie, abym sam się o tem przekonał. Nie domyślacie się nawet, jak mnie to boli, że jechać nie mogę, ale — nie mogę, i koniec. Sam sobie tylko zgotuję nieszczęście, a to mi wolno. Nie sądź, Torp, abym nie wiedział, co mnie czeka, ale mam własne zapałki i smołę i sam sobie piekło rozpalę.

Zapanowało przykre dla wszystkich trzech milczenie.

Nagle Dick złapał pieska, wpakował go do wysypanej poduszki, wołając:

— Jakie to miłe, co? Twoje psie uczucia buntują się przeciwko niewoli. Pragniesz swobody ruchów, prawda Binkie? Pamiętaj-że: *Sic volo, sic jubeo, stet pro ratione voluntas*, a nie śmiej mi się w oczy, że przemawiam łaciną. Dobranoc.

Wyszedł z pokoju.

— To było najwyraźniej mierzone w twoją stronę — rzekł do Torpenhow'a Nilghai. — Mówiłem ci, że na nic się nie zda mieszać się w jego sprawy. To mu się nie podobało

— Gdyby mu się nie podobało, byłby mi nawymyślał. Nie rozumiem doprawdy tego chłopca. Opanowała go już gorączka podróży, a pomimo to jechać nie chce. Życzę mu tylko, aby nie musiał kiedyś puszczać się w drogę, gdy nie będzie miał wcale ochoty po temu.

*

* *

W pokoju swoim, Dick rozstrzygał ważną kwestyę: czy cały świat i szalona ochota zobaczenia go znowu, warte trzypensowego pieniążka, wrzuconego przed chwilą do Tamizy?

— Nie trzeba było jeździć nad morze — zadecydował. — Bądź co bądź, w miodowym miesiącu musimy objechać świat naokoło — i to bez zastrzeżeń.... Nie myślałem jednak, aby morze miało jeszcze taką moc nademną. Nie czułem jego władzy, dopóki Maisie była przy mnie. To zapewne te przeklęte śpiewy tak mnie rozdraźniły. No, znowu wyć zaczyna!... Niechże go licho!

ROZDZIAŁ IX.

Przez resztę tygodnia nic zgoła nie robił.

Potem przyszła znowu niedziela. Oczekiwał jej zawsze z utęsknieniem wielkiem, ale nie bez pewnej obawy; od czasu jednak, gdy rudowłosa dziewczyna naszkicowała jego portret, w oczekiwaniu tem więcej było obawy niźli nadziei.

Przekonał się, że Maisie nie usłuchała jego rad i zamiast pracować nad udoskonaleniem rysunku, zabrała się znowu do farb i pędzli.

Malowała jakąś głowę fantazyjną.

Dick musiał użyć całego nad sobą panowania, aby nie wybuchnąć gniewem.

— Po co się pytać o rady? — rzekł z wymówką.

— To będzie obraz, prawdziwy obraz, zobaczysz. Pewna jestem, że Kami pozwoli mi go wystawić w Salonie. Czy masz co przeciwko temu?

— Nie, ale zdaje mi się, że nie zdążysz go wykończyć.

Maisie zawahała się chwilę. Była widocznie zmieszaną.

— Dlatego właśnie o miesięc wcześniej wyjeżdżamy do Francyi. Podmaluję go tutaj, a wykończę pod okiem mistrza.

W Dicku serce zamarło.

Bliski był znienawidzenia królowej, która błądzić nie mogła.

— Tego już za wiele — myślał — i to właśnie, kiedy zdawało mi się, że już doganiam motyla. Można się wściec z taką dziewczyną.

Wszelką perswazyę na ten temat utrudniała obecność rudowłosej dziewczyny.

— Jakiż jest twój pomysł do obrazu? — rzekł z udanym spokojem.

— Zaczerpnęłam go z książki.

— Zły bardzo początek. Książki nie są zródłem natchnień.

— Patrz pan — rzekła rudowłosa dziewczyna, podając mu wytworne dzieło. — Znasz zapewne poemat „Noc straszną.“ Czytałam go właśnie wczoraj z Maisie?

— Znam. I cóż uderzyło jej wyobraźnię?

— Opis Melancholii.

— Ależ opis ten natchnął już tak skromnego artystę jak Dürer. To tak jak gdyby kto chciał pisać nanowo Hamleta. Nic innego, jak tylko strata czasu.

— Bynajmniej — mówiła Maisie, krzątając się około herbaty, dla ukrycia swego wzburzenia. — Przekonasz się, że to będzie wyborna robota.

— Bez należytej techniki i wprawy nikt jeszcze nie dokonał wybornej roboty. Pierwszy lepszy potrafi myśl powziąść, lecz żeby ją przeprowadzić, potrzeba wprawnej ręki, gruntownej znajomości rzeczy i szczerego umiłowania przedmiotu — mruknął Dick przez zaciśnięte zęby.

— Zdaje mi się, że będę na wysokości zadania — odparła Maisie z urazą. — Pomysł ten przypada mi do serca. Ty naturalnie nie potrafiłbyś namalować czegoś w tym rodzaju. Zanadto lubujesz się w krwi i dymie.

— Jeżeli *ty* porywasz się na Melancholię, która będzie sobie zwykłą głową zasępionej kobiety, to *ja* potrafię zrobić coś lepszego, i zrobię. I cóż *ty* wiesz o Melancholii?

Dickowi zdawało się, że w chwili tej serce jego prze-

pełnione jest smutkiem, równoważącym trzem czwartym smutków świata całego.

— Nie potępiaj przedwcześnie, ani też przedwcześnie się nie chełp. Zobaczymy — odparła Maisie. — Przedstawię kobietę, która przecierpiała tyle, że ją cierpienie znieczuliło i ból zastygł w gorzkim uśmiechu. Ja ten uśmiech uchwycę i poszlę go do salonu.

Rudowłosa dziewczyna wzruszyła ramionami i opuściła pracownię.

Dick spojrzał na Maisie z beznadziejną pokorą.

— Mniejsza o obraz — rzekł — ale czy doprawdy wracasz do Kami'ego o miesiąc wcześniej, niż zamierzałaś.

— Pragnę skończyć obraz.

— I to jest twoje jedyne pragnienie?

— Naturalnie. Bądź-że rozsądny, Dickie.

— Otóż oświadczam ci, że nie masz wcale siły, tylko pomysły i chwilowe popędy. Nie rozumiem doprawdy, jak zdołałaś przez dziesięć lat wytrwać w tej niewdzięcznej pracy.... A więc doprawdy odjeżdżasz, o miesiąc wcześniej?

— Muszę prowadzić dalej moje dzieło.

— Twoje dzieło!... bah! Daruj... nie chciałem ci ubliżyć.... Naturalnie musisz dokonać, coś sobie zamierzyła. A zatem pożegnam cię. Do przyszłej niedzieli.

— Nie zostaniesz na herbacie?

— Nie, dziękuję. Czy wolno mi odejść, najdroższa? Nie jestem ci już potrzebny, jak widzę, z obrazem sama sobie poradzisz.

— Chciałabym, żebyś został. Porozmawialibyśmy o mojej Melancholii. Jak jeden obraz się podoba, to zwrócą uwagę i na inne. Wiem, że wiele moich płócien jest wcale niezłych, choć się o nich z takiem lekceważeniem wyrażasz.

— Daruj mi. Ale o Melancholii, to już pomówimy jakiej innej niedzieli. Mamy ich jeszcze cztery przed twoim odjazdem. Dowidzenia, Maisie.

Maisie stanęła przy oknie w pracowni i zamyśliła się głęboko.

Po chwili wróciła rudowłosa dziewczyna, bledsza trochę, niż zazwyczaj.

— Dick odszedł — rzekła Maisie. — A właśnie chciałam z nim pomówić o obrazie. Co to za samolub, nieprawdaż?

Impresyonistka otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, lecz się powstrzymała.

Dick poszekł do Parku i okrążał po sto razy pewne drzewo, które od kilku już niedziel obrał był za powiernika.

Klął głośno, a gdy język angielski okazał się za ubogim dla wyrażenia szarpiących sercem jego uczuć, szukał ulgi w arabskim, wymyślonym jakby ku pociesze strapionych.

Dick niezadowolniony był ze siebie, niezadowolony z nagrody, za swoje cierpliwe przywiązanie i wierne usługi, i wiele upłynęło czasu, zanim doszedł znowu do dawnego wniosku, iż królowa błądzić nie może.

— To stracona partya — mówił sobie — lecz gdyśmy przegrywali w Port Said, mieliśmy zwyczaj podwająć stawki.... I ona chce odtworzyć Melancholię!... Nie ma na to dość siły, talentu ani intuicyi — ma tylko wolę i wytrwanie. A jednak silniejszą jest odemnie. Pokaże ja jej, co to Melancholia... ha! i to nawet nie skłoni serca jej ku mnie.... Powiada, że umiem tylko malować dym i krew.... Wątpię, czy w jej żyłach krew płynie. A jednak ja ją kocham i kochać ją będę, lecz jeśli mi się uda upokorzyć, zdeptać jej próżność i pychę, to nie zawaham się ani chwili. Namaluję Melancholię w całem znaczeniu tego pojęcia, taką, że aż chwytać będzie za serce. Zabiorę się do tej roboty zaraz, natychmiast.

Nie odrazu jednak udało mu się przyprowadzić uczucia do porządku; przez całą godzinę o niczem innem nie mógł myśleć, jak tylko o rychłym odjeździe Maisie.

Następnej niedzieli, gdy mu pokazywała szkice do projektowanej Melancholii, bardzo małą zwrócił na nie uwagę.

Niedziele, niestety, następowały zbyt szybko jedna po drugiej, i wreszcie nadszedł dzień odjazdu, dzień, w którymby

wszystkie dzwony kościelne Londynu nie mogły przywołać Maisie z powrotem.

Kilkakrotnie Dick mówił Binkie'mu o „waryackich zachciankach babskich,“ lecz charcik tyle już otrzymał zwierzeń od Torpenhowa i Dicka, że nie rozchylał nawet uszek swych, w kształcie tulipanu.

Dickowi dozwolonem zostało odprowadzić panny do Duwru.

Odpływały parowcem nocnym, miały powrócić w sierpniu.

A że to był właśnie luty, więc Dick znajdował, że obchodzono się z nim okrutnie.

Maisie była tak zajęta pakowaniem swoich przyborów malarskich i płócien, że nie miała chwili czasu na rozmowę.

Dick stracił cały dzień na rozstrzyganiu pewnej możliwości: czy Maisie pozwoli mu się pocałować na pożegnanie?

Mówił sobie, że mógłby przecie objąć ją wpół silnem ramieniem, porwać i unieść daleko ze sobą, jak to czyniono z kobietami w Sudanie południowym.

Lecz Maisie nie dałaby się porwać — nigdy i nikomu.

Zwróciłaby na niego swoje duże, siwe oczy i powiedziała poprostu:

— Dick, jaki ty jesteś samolubny!

A jego wtedy opuściłaby zupełnie odwaga.

Nie, więc może lepiej było o pocałunek poprosić.

Maisie bardziej niż kiedykolwiek mogła wzbudzić chęć do pocałunku w chwili gdy wysiadała z nocnego pociągu w Duwrze, otulona szarym płaszczem w szarym kapelusiku podróżnym.

Rudowłosa dziewczyna nie była tak ponętną. Miała oczy wpadnięte, a usta blade i spieczone.

Pojechali do portu. Dick stanął obok Maisie na pomoście.

Rudowłosa dziewczyna pilnowała bagaży.

— Będziecie miały złą przeprawę — mówił — silny wiatr wieje. Woda wzburzona. Czy mogę odwiedzić cię, Maisie?

— Nie, nie przyjeżdżaj. Będę bardzo zajęta.... Zresztą, gdybym cię chciała zobaczyć, napiszę. W każdym razie pisy-

wać będę z Vitry-sur-Marne. W tylu rzeczach potrzebne mi będą twoje rady. Oh! Dick, byłeś taki dla mnie dobry! taki dobry!

— Dziękuję ci za dobre słowo, najdroższa. Lecz czyś się dla mnie zmieniła, powiedz?

— Nie umiem kłamać. Więc otwarcie przyznaję, że — nie — jeszcze nie. Nie sądź jednak, abym była niewdzięczną.

— Djabli z wdzięcznością! — mruknął Dick pod nosem.

— I po cóż się dopytujesz? Wiesz przecie, że w obecnym stanie rzeczy zmarnowałbyś tylko moje życie, a ja złamałabym twoje. Pamiętasz, coś mówił tego dnia, kiedy byłeś taki zły, w Parku..., że jedno z nas musi się ugiąć, złamać w walce z życiem. Czy nie mógłbyś poczekać aż ten dzień nastąpi?

— Nie, najdroższa. Chcę cię mieć pełną życia — taką, jaką dziś jesteś.

Maisie wstrząsnęła główką.

— Mój biedny Dicku — rzekła — i cóż ci mogę na to powiedzieć?

— Nic nie mów. Pozwól mi się pocałować... raz tylko jeden, Maisie. Przysięgam ci, że nie będę prosił o więcej. To przecie nic złego. Zresztą okażesz mi tem wdzięczność.

Maisie nastawiła policzek, Dick wziął nagrodę swą wśród otaczających młodą parę ciemności.

Nie nadużył pozwolenia. Był to istotnie jeden tylko pocałunek, lecz ponieważ czas nie został określonym, więc pocałunek ten trwał długo, bardzo długo.

Maisie oswobodziła się z jego uścisku niecierpliwie.

Dick stanął opodal przygnębiony, upokorzony i taki drżący, jak liść osiny.

— Żegnam cię, jedyna — szepnął — nie chciałem ci sprawić przykrości. Przepraszam.... A pamiętaj, szanuj zdrowie. Życzę ci serdecznie, aby ci się Melancholia udała. I ja także ją odtworzę. Przypomnij mnie pamięci Kami'ego i uważaj na siebie. Nie pij nigdy wody.... Woda w małych miasteczkach jest zawsze haniebna, a najgorsza już w Vitry-sur-Marne. Pisz,

jak będziesz czego potrzebowała. Dowidzenia. Pożegnaj odemnie tę twoją towarzyszkę... nie wiem nawet, jak się nazywa właściwie.... Czy wolno pocałować raz jeszcze? ...Nie.... Masz racyę, jak zwykle.... Dowidzenia.

Dick zeszedł z pomostu.

Za chwilę parowiec zachwiał się, wypuścił parę i ruszył od brzegu. Dick sercem śledził każde jego poruszenie.

— I pomyśleć — mówił sobie — że nic, no nic nas nie dzieli, oprócz jej uporu. Te parowce krążące po kanale są zbyt szczupłe... niewygodne. Muszę powiedzieć Torpowi, aby zwrócił na to uwagę w gazetach. Już się chwieje.... Biedna Maisie jeszcze jej się źle zrobi.

Maisie stała na miejscu, gdzie ją Dick pożegnał; nagle do uszu jej doleciał suchy kaszel.

Rudowłosa dziewczyna patrzyła na nią ostremi, jak stal oczyma.

— On ciebie pocałował — rzekła porywczo. — Jak mogłaś mu na to pozwolić, skoro niczem dla ciebie nie jest. Jak śmiałaś nastawić mu policzek.... Oh! Maisie! słabo mi, bardzo słabo. Chodźmy do kabiny dla dam.

— Zejdź, jeśli chcesz, ja jeszcze tutaj zostanę. Potrzebuję świeżego powietrza.... Biedny Dick.... Należał mu się jeden — tylko jeden.... Nie myślałam jednak, że mi to sprawi taką przykrość.

Dick powrócił nazajutrz do Londynu w sam czas na śniadanie.

Ku wielkiemu swemu niezadowolnieniu znalazł tylko puste talerze w pracowni, a niezadowolnienie to objawił tak gwałtownym wrzaskiem, że aż Torpenhow nadbiegł ze swego pokoju.

— Cicho — mówił z palcem na ustach — nie wyprawiajże takich hałasów. To ja wziąłem jedzenie. Chodź do mnie, pokażę ci dlaczego.

Dick stanął na progu oniemiały, i nie dziw — na sofie Torpenhowa leżała dziewczyna uśpiona.

O nędzy jej świadczyła stosowniejsza na lipiec niźli na luty sukienczyna niebieska w białe paski, wypełzła, zabłocona na dole; żakiecik spłowiały, wytarty na szwach, parasolka dziurawa, kupiona bardzo dawno za jakiego szylinga, a nadewszystko rozpaczliwy stan obuwia, były jakby żywą kroniką niedoli, chłodu i głodu.

— Ależ to okropne! — szepnął Dick. — Po co sprowadzasz tutaj nędzarzy! Zobaczysz, że nas jeszcze okradnie.

— Być może; spotkałem ją na schodach, a była taka blada, słaniająca się, że w pierwszej chwili sądziłem, że jest pijana; przekonałem się, że to poprostu z głodu. Jakże ją było tak zostawić, to też przyniosłem ją tutaj i pożywiłem twojem śniadaniem. Trzeba było widzieć, jak się rzuciła na befsztyk; zjadłszy go, co do kawałka, usnęła.

— Znam to. Musiała zapewne żywić się kiełbaskami, a może i na to nie miała. Torp, powinieneś ją był wyrzucić z naszego domu, albo przywołać policyanta.... Biedaczka! Spojrzyj na jej twarz... typowa prawdziwie... widzisz jak kości przeświecają przez skórę na skroniach i policzkach.

— Obrzydliwy barbarzyńca!... Jak myślisz, czy nie moglibyśmy jej dopomódz? Powiadam ci, umierała z głodu; gdym jej podał jedzenie, rzuciła się nań, jak dzikie zwierzę. To okropne!

— Mogę jej dać pieniędzy, które prawdopodobnie przepije.

Dziewczyna otworzyła oczy i spojrzała z przerażeniem na pochylonych nad sobą mężczyzn.

— Jakże się czujemy, lepiej? — zapytał Torpenhow.

— O tak, znacznie mi lepiej, dziękuję. Niewielu jest na świecie takich poczciwych gentlemenów, jak pan.

— Kiedy opuściłaś służbę? — pytał Dick, przyjrzawszy się zukradka jej pokłutym i poparzonym palcom.

— Zkądże pan wiesz, że byłam w służbie? Istotnie. Służyłam za pokojówkę, ale mi się to wcale nie podobało.

— A jakże ci się podoba żyć na wolnej stopie—spytał Dick.

— Czy wyglądam, jakby mi z tem było dobrze?

— Zdaje mi się, że nie. Przepraszam, chwilkę jeszcze. Zechciej odwrócić się twarzą do okna.

Dziewczyna zastosowała się do tego życzenia, Dick przyglądał się twarzy jej uważnie, tak uważnie, że aż ją ukryła za szerokiemi plecami Torpenhowa.

— Wspaniałe oczy do mojego obrazu — wołał malarz, chodząc gorączkowym krokiem po pokoju. — A bądź co bądź, oczy to najważniejsza. Dziewczyna spada mi prawdziwie, jak z nieba za to... co mi zostało odebranem. Teraz, gdy oswobodzono mnie od niedzielnej pańszczyzny, mogę się zabrać poważnie do roboty. Najwyraźniej nieba mi ją zsyłają. Tak... Podnieś trochę brodę... Ot tak.... Dziękuję.

— Powoli, stary, ostrożnie — mówił Torpenhow, dostrzegając pomieszanie dziewczyny — ostrożnie, nie godzi się tak płoszyć kobiety.

— Oh! nie pozwól mu pan zrobić mi krzywdy. Zabroń mu patrzeć na mnie w ten sposób. Mnie strach zdejmuje. Już mnie dziś policyant chciał złapać za to, że wyciągnęłam rękę do przechodnia.

Naprężone nerwy wypowiedziały posłuszeństwo. Dziewczyna rozpłakała się na dobre.

— Nikt nie chce ci krzywdy wyrządzać — uspakajał ją Dick. — Ani myślimy przywoływać policyi. Jesteś tu najzupełniej bezpieczna. Włos nie spadnie ci z głowy.

Dziewczyna szlochała jeszcze przez chwilę, potem uspokoiła się, a nawet uśmiechnęła przez łzy.

— Otóż powiadam ci raz jeszcze: nie bój się; nic ci się złego nie stanie. A teraz posłuchaj mnie chwilkę cierpliwie. Jestem artystą. Czy wiesz, co robią artyści?

— Rysują czerwonym i czarnym atramentem rozmaite obrazki, które wiszą w oknach księgarzy.

— Coś w tym rodzaju. Tymczasem, zamiast czarnych lub czerwonych obrazków, chcę namalować twoją głowę.

— Po co?

— Bo jest ładna. To też będziesz przychodziła do pracowni, ot tam, naprzeciwko, trzy razy na tydzień o jedenastej zrana. Dam ci trzy suweryny tygodniowo za to tylko, żebyś siedziała cichutko i spokojnie. Masz suwerena na zadatek.

— Tak, darmo. Oh! mój Boże!

Dziewczyna obracała w palcach monetę, nie mogąc szczęściu swemu uwierzyć.

— A żaden z panów nie boi się, żebym was okradła?

— Wcale nie, tylko złe dziewczyny kradną. Staraj się zapamiętać ulicę i numer domu.... Ale prawda, jakże ci na imię?

— Bessie — Bessie.... Mniejsza zapewne o nazwisko.... Bessie Broke. A panowie jak się nazywają?

Dick spojrzał pytająco na Torpenhowa.

— Ja nazywam się Heldar, a przyjaciel mój, Torpenhow — rzekł, wyczytawszy w oczach jego, zezwolenie. — Przyjdź-że koniecznie. A gdzie mieszkasz?

— Po tamtej stronie rzeki, mam jeden pokój, za sześć pensów na tydzień. Czy pan tylko ze mnie nie żartuje co do tych trzech suwerenów?

— Przekonasz się. A pamiętaj, Bessie, na przyszły raz jak przyjdziesz, żebyś nie miała na sobie tego perkaliku.

Bessie odeszła.

— Jak myślisz, czy powróci? — rzekł do Dicka Torpenhow.

— Powróci niewątpliwie, dlatego bodaj, że jest tu ciepło i że się można pożywić. Pamiętaj tylko, stary, że to nie kobieta, ale modelka.

— Także! Możesz być najzupełniej spokojny. Zobaczysz, jaka to będzie ładna dziewczyna, gdy się trochę odpasie. Za tydzień, najwyżej za dwa, ani jej poznasz. Obawiam się nawet, aby nie wyglądała zbyt wesoło.

— Domyślam się, że bierzesz ją z litości, żeby mnie zrobić przyjemność.

— Nie mam zwyczaju igrać z ogniem dla przyjemności niczyjej. Zesłały mi ją nieba, po to tylko, aby mi służyła za wzór do Melancholii.

— Po raz pierwszy słyszę o tej damie.

— Cóż mi po przyjacielu, któremu potrzebuję mówić o moich zamiarach. Powinieneś sam zgadywać, co myślę. Czy nie słyszałeś, że ostatniemi czasy chrząkałem?

— I owszem, ale u ciebie chrząkanie może również dobrze oznaczać wściekłość na nabywców, jak i zadowolnienie ze siebie. A w ostatnich kilku miesiącach tak mało wtajemniczałeś mnie wogóle w twoje sprawy.

— Chrząkanie to było brzmienne natchnieniem. Powinieneś się był domyśleś, co oznacza.

Dick chodził szybkim krokiem po pokoju, nagle zatrzymał się i uderzył przyjaciela pomiędzy łopatki.

— No, nie rozumiesz jeszcze o co mi chodzi? W oczach Bessie jest trwoga, beznadziejna rozpacz a że i moje życie ostatniemi czasy nie było zbyt wesołe, więc obraz już mi się w umyśle ukształtował... ale nie potrafię rozprawiać o pustym żołądku.

— Lepiej byś się trzymał twoich żołnierzy, zamiast smarować jakieś tam głowy i oczy pełne trwogi.

— Tak myślisz? — zawołał Dick, i w szalonych podskokach wpadł do pracowni.

Tu jednak spoważniał nagle.

Zasiadł przy biurku i wylał uczucia swe na czterech stronnicach listu do Maisie.

Dawał jej rady, napomnienia, a donosił przytem, że i on także zabiera się do roboty.

Bessie dotrzymała słowa.

Zjawiła się w oznaczonym dniu i godzinie, ubrana w inną, nie tak wyszarzaną, sukienkę.

Gdy przekonała się, że istotnie niczego od niej nie żądają, jak tylko, aby siedziała spokojnie, nabrała odwagi i otuchy i czyniła nawet dość trafne i dowcipne spostrzeżenia o otaczających ją przedmiotach.

Rozkoszowała się ciepłem, wygodnem siedzeniem i poczuciem minionej niedoli.

Dick zrobił trzy szkice z jej głowy, lecz żaden nie zadowolnił jego pojęcia o Melancholii.

— Jakiż tutaj nieporządek i nieład u panów — mówiła Bessie w kilka dni potem, oswoiwszy się już zupełnie z przyjaciółmi i czując się u nich, jak w domu. — Ręczę, że i ubrania panów są w najgorszym stanie. Mężczyźni nie umieją sobie nawet przyszyć guzika.

— Noszę ubranie, aż dopóki nie zedrze się na strzępki — rzekł Dick — nie wiem jaka jest w tym względzie zasada Torpenhowa.

Bessie zrobiła sumienny przegląd garderoby tego ostatniego i wydobyła z po za kufra cały stos dziurawych skarpetek.

— Część zaceruję tutaj — oświadczyła — resztę wezmę do domu. Całemi dniami siedzę teraz z rękoma założonemi, jak jaka wielka dama. Nie zadaję się wcale z innemi dziewczętami z mego domu. Zamykam drzwi na klucz; mogą na mnie wygadywać co im się żywnie podoba przez dziurkę od klucza. Ja nawet nie zwracam na to uwagi, tylko od czasu do czasu tak im się odetnę, że aż im w pięty pójdzie. Och! rozkoszne życie!... P. Torpenhow strasznie zdziera skarpetki i to z obu końców, trzeba będzie nadrobić pięty i palce.

— Ja jej daję trzy suwereny tygodniowo i moje miłe towarzystwo w dodatku, a jak nosiłem dziurawe skarpetki, tak noszę. Torp od czasu do czasu kiwnie jej tylko głową na schodach, a wszystkie skarpetki ma pocerowane, że aż miło... Bessie jest prawdziwą kobietą — pomyślał Dick i spojrzał na nią badawczo.

Jak to słusznie przewidywał, spokój i porządne odżywianie zmieniło nie do poznania dziewczynę.

— Czego się pan tak na mnie patrzysz? — spytała zaniepokojona. — Ja się pana boję. Pan mnie nie lubi, prawda?

— To zależy od tego, czy siedzisz spokojnie, czy się kręcisz.

Bessie tego dnia siedziała cichutko.

Najtrudniej było zawsze skłonić ją do wyjścia na chłodną

i dżdżystą ulicę. Wolała daleko siedzieć w pracowni na dużem krześle przy kominku; jako pretekst do pozostania dłużej służyły jej zawsze jakieś łaty i cery.

Za każdym razem, co do pracowni wszedł Torpenhow, Bessie ożywiała się, opowiadała niesłychane historye o swojej przeszłej nędzy i cuda o obecnym dobrobycie.

Potem robiła im herbatę, jak gdyby to wchodziło w zakres jej praw lub obowiązków.

Dick widział nieraz oczy Torpenhowa biegnące za tą zwinną postacią kobiecą, a że widok krzątającej się dziewczyny przypominał mu Maisie i zwiększał jeszcze jego tęsknotę, więc tem snadniej odczuwał myśli przyjaciela.

Bessie mówiła z Torpenhow'em bardzo mało, za to dbała ogromnie o jego bieliznę i wygody.

Czasami Dick słyszał ich szepty na korytarzu.

— Zrobiłem szalone głupstwo — mówił sobie — po co było wprowadzać dziewczynę do naszego codziennego życia! Jest ono bezbarwne, samolubne i samotne. Ciekaw też jestem, czy i Maisie czuję się chwilami samotną.... Swoją drogą zrobiłem głupstwo, bo niebezpiecznie jest igrać z ogniem. Ale jakże tu teraz wyrzucić Bessie za drzwi! Najgorsza, że człowiek, zaczynając cokolwiekbądź, nie może nigdy wiedzieć, na czem się to skończy.

Pewnego wieczora, po seansie, który się przeciągnął do zmroku, Dick zdrzemnął się chwilkę.

Obudziły go stłumione głosy w pokoju Torpenhowa.

— Co tu teraz robić? — pomyślał, zrywając się na równe nogi. — Nie mogę przecie wejść. Że też te baby muszą zawsze kaszy nawarzyć!... Och! poczciwy Binkie!

Charcik otworzył sobie pyszczkiem drzwi Torpenhowa i wbiegł do pracowni.

Przez uchylone drzwi Dick widział Bessie, klęczącą przed Torpenhow'em i słyszał jej namiętną prośbę.

— Wiem... wiem — mówiła, obejmując mu kolana — nie jestem warta takiego losu... ale pan byłeś dla mnie taki dobry....

I nikt panu lepiej nie usłuży... nikt o pana więcej dbać nie będzie.... Czy pan teraz znajdzie chociaż jedną dziurkę niezacerowaną, choć jeden guzik nie przyszyty.... I tak będzie zawsze. A przytem umiem doskonale gotować. Zobaczy pan, jak ja panu dogodzę. A przecież i brzydką nie jestem.... Co tam, że mnie nie edukowano, ale czytać i pisać umiem i lepszej żony pan nie znajdzie.

Dick zaledwie mógł poznać głos Torpenhowa, gdy ten odezwał się po chwili.

— Ale zastanów się — mówił — ja jestem dziś tu, jutro tam. Lada dzień mogą mnie wezwać. Pojadę na koniec świata. A ty?

— Ja będę tutaj czekać i myśleć o panu. Oh! pan jeszcze nie zna Bessie?

Otoczyła mu szyję ramieniem i tuliła się do niego namiętnie.

— Torp! — zawołał nagle Dick po przez korytarz, głosem nieswoim, bo w nim wszystko wrzało. — Chodź tutaj na chwilkę, stary. Zdarzyło mi się nieszczęście. Chodź na pomoc. „Daj Boże, żeby mnie usłuchał" — szepnął do siebie.

Z piersi dziewczyny wydobyło się coś w rodzaju przekleństwa, lecz, że się zawsze bała Dicka, więc wypadła z pokoju, jak strzała i zbiegła co tchu ze schodów.

Nie zaraz jednak Torpenhow stawił się na wezwanie przyjaciela.

Dickowi zdawało się, że czeka wieki.

Wszedł wreszcie do pracowni i oparłszy głowę o kominek, zgrzytał zębami i jęczał jak ranione zwierzę.

— Jakiem prawem, u licha, śmiesz się do mnie wtrącać — rzekł wreszcie.

— I któryż to z nas częściej się wtrąca w nie swoje sprawy? Niechże i mnie będzie wolno powstrzymać człowieka, lecącego w przepaść.

— Nie trzeba ją było tutaj sprowadzać. Nie trzeba było pozwalać, aby się krzątała po tych pokojach, jak gdyby już

była tutaj panią. Człowiek samotny nie może wytrzymać takiej próby — mówił Torpenhow.

— Masz racyę. Dlatego pojedziesz do Brighton, Scarborough, do Prawle Point, pozostawiam ci wybór miejsca. Pojedziesz, aby się przyjrzeć odpływającym okrętom i morzu. Nie dość na tem: pojedziesz natychmiast. Bądź spokojny o Binkie'go. Nie będzie miał krzywdy... Nigdy nie trzeba zaglądać djabłu w oczy. Lepiej przed nim uciekać. No, pakuj rzeczy i jazda.

— Zdaje mi się, że masz racyę. Gdzieby to pojechać!

— I ty się mienisz korespondentem publicystycznym! Najprzód się zapakuj, potem będziesz o to pytał.

W godzinę po owej rozmowie Torpenhow siedział już w dorożce z Dickiem.

— Po drodze obmyślisz, gdzie masz jechać — mówił tenże — możesz się zatrzymać w Euston. Przedewszystkiem radzę ci się dziś upić.

Powrócił do pracowni, zapalił wszystkie lampy i świece, bo dziwnie mu się ciemną wydała.

— Będziesz ty mnie jutro przeklinać, niecna Jezabel!... Binkie, chodźno tutaj.

Binkie wyciągnął się przed kominkiem.

— Nie poznałem się na tej dziewczynie — myślał Dick — wydawała mi się dobrą i porządną. A to stworzenie przewrotne! Mówiła, że umie gotować... To już szczyt chytrości. W najsłabszą stronę uderza. Binkie, pamiętaj, gdybyś był kiedy mężczyzną, jak ci kobieta powie, że umie gotować, zmykaj. To najniebezpieczniejszy zamach na twoją osobę.

ROZDZIAŁ X.

— Miłe życie, niema co! — mówił Dick w kilka dni potem. — Torp wyjechał. Bessie mnie nienawidzi, nie mogę wpaść

na właściwy ton Melancholii, listy Maisie są coraz rzadsze, a w dodatku zdaje mi się, że mam niestrawność. Coraz częściej miewam ból głowy, płatki latają mi przed oczyma. Możeby wziąść pigułki na przeczyszczenie. Jak myślisz, Binkie?

Dick był po gwałtownej scenie z Bessie.

Wypominała mu, po raz już dwudziesty chyba, że wyprawił Torpenhowa; przelewała na niego całą swą urazę i nienawiść i objaśniała go, że pozuje dla pieniędzy, a „nie przez żadną życzliwość.“

— P. Torpenhow jest sto razy lepszy od pana — zakonkludowała.

— Istotnie, lepszy jest odemnie. Dlatego też pojechał. *Ja* byłbym został i robił do ciebie czułe oczy.

Dziewczyna podparła brodę na łokciu i patrzała na niego dzikim wzrokiem.

— Zapytaj pan wpierw, czy jabym się na to zgodziła. Och! gdybym się nie bała, że mnie powieszą, zadusiłabym pana, zadrapała na śmierć, wydłubałabym panu oczy.

Dick uśmiechnął się pogardliwie.

Niezbyt jest miło przebywać z myślą, której nie można przelać na płótno, w towarzystwie charcika, który mówić nie umie i kobiety, która mówi za wiele.

Byłby jej odpowiedział, lecz w chwili tej wzrok przyćmiła mu lekka gaza; przetarł oczy, lecz gaza nie ustępowała.

— To musi być niestrawność okropna — zadecydował. — Binkie, pójdziemy do doktora. Nie możemy stracić wzroku, bo z głodu byśmy pomarli.

Najbliższy doktór był jakimś poczciwym staruszkiem.

Wysłuchał uważnie o płatkach przed oczyma i o gazie, przysłaniającej wzrok chwilami.

— Każdy z nas od czasu do czasu potrzebuje reparacyi, tak jak okręt, mój drogi panie, zupełnie tak jak okręt — mówił. — Czasami jest w nieporządku łupina, i wtedy idziemy do chirurga; czasami liny, a wtedy ja udzielam porady; czasami lokomotywa, i udajemy się do specyalisty od mózgu; to znowu

otwory w kabinach, a wówczas zabiera głos okulista. Radziłbym panu udać się do okulisty. Trzeba nam reparacyi. Może pana zreparować tylko okulista.

Dick udał się zatem do pierwszorzędnego w Londynie okulisty.

Pewien był, że stary doktór nie zna się wcale na rzeczy, a pewniejszy jeszcze, że Maisie wyśmiałaby go, gdyby włożył okulary.

— Za długo lekceważyłem sobie napomnienia władcy mojego, żołądka. Ztąd owe płatki przed oczyma, nieprawdaż Binkie? Widzę przecież nie gorzej, jak dawniej.

W przedpokoju okulisty jakiś człowiek, wypadając z gabinetu z szalonym impetem, potrącił go i wybiegł na ulicę.

Dick zdążył jednak przypatrzeć się jego twarzy.

— To typ publicysty — zadecydował — ten sam rysunek czoła, co u Torpa. Wygląda na bardzo przygnębionego. Zapewne musiał usłyszeć, coś, co mu się nie podobało.

Nagle ogarnęła Dicka wielka trwoga.

Serce biło mu gwałtownie, gdy wchodził do poczekalni okulisty, obitej ciemnozielonemi tapetami.

Wśród obrazów, wiszących na ścianach, poznał reprodukcyę jednego ze swoich płócien.

Wielu ludzi czekało już tu aż kolej ich nadejdzie.

Na stole leżała duża księga z ilustrowanemi psalmami.

— Co to za szkaradne bohomazy — myślał Dick, przeglądając rysunki. — Po anatomii aniołów poznaję, że dzieło zostało ilustrowane w Niemczech.

Otworzył księgę na chybił trafił, oczy jego padły na wiersze, wybite czerwonym drukiem, a sławiące radość ślepego od urodzenia, gdy mu wzrok Chrystus przywrócił.

Dick czytał i odczytywał ów wiersz, aż dopóki kolej jego nie nadeszła.

Doktór kazał mu usiąść na fotelu i przyłożył do oczu mikroskop gazem oświetlony; ostukując czaszkę, natrafił na bliznę od cięcia lancą.

Dick objaśnił mu w krótkich słowach, jakim sposobem otrzymał ranę.

Gdy lekarz odjął światło, pacyent spojrzał na jego twarz i zdjęła go znowu trwoga szalona.

Doktór zalał go słów potokiem, wśród których biedny malarz rozumiał tylko słowa: „blizna,“ „kość czołowa,“ „nerw optyczny,“ „nadzwyczajna baczność“ i „unikanie wszelkich moralnych utrapień.“

— Krótko mówiąc, jakie jest pańskie zdanie? — zapytał nawpół przytomnie. — Z zawodu jestem malarzem. Nie mam czasu do stracenia. Co pan o mnie myślisz?

Znowu na biedną głowę chłopca spadła słów lawina, tym razem jednak dorozumiał się strasznego ich znaczenia.

— Czy możesz mi pan dać jakiego napoju?

Niejeden wyrok zapadł już w tym gabinecie, pacyenci nieraz potrzebowali kordyału.

Dick znalazł pod ręką butelkę z mocną wódką.

— O ile mogę zrozumieć — rzekł, głosem zmienionym — nazywasz to pan zanikiem nerwu optycznego lub czemś w tym rodzaju. A zatem niema żadnego ratunku, ani nadziei. Jaki naznaczasz pan termin ostateczny, przypuściwszy, że unikać będę zmęczenia i wzruszeń?

— Niedłużej jak rok jeden.

— Wielki Boże. A jeśli nie będę się szanował?

— W takim razie niepodobna mi czasu określić. Trudno mi zbadać, jak dalece nerw został uszkodzony. Blizna już dawna, powiadasz pan? i narażałeś się na silną operacyę słoneczną na pustyni? a przytem wysilałeś oczy przy stalugach? Doprawdy, nie mógłbym ściśle określić.

— Przepraszam pana, ale to spadło na mnie tak niespodzianie. Jeżeli pan pozwoli, zatrzymam się tu chwilkę, aż ochłonę z pierwszego wrażenia. Wdzięczny panu jestem, żeś mi prawdę powiedział. Mój Boże, tak nagle! tak niespodzianie!

Dick wyszedł na ulicę, gdzie Binkie przywitał go z wielkiemi objawami radości.

— Bardzo źle z nami, bardzo źle, biedna psino. Pójdziemy do Parku, żeby się nad tem zastanowić.

Podążali do drzewa, któremu Dick powierzał zawsze swe troski.

Usiedli pod niem, gdyż nogi malarza odmawiały mu posłuszeństwa, a chłodny strach dusił go za gardło.

— Jakże to mogło przyjść tak nagle, tak niespodziewanie — powtarzał sobie Dick. — Czeka nas śmierć za życia, Binkie. W najlepszym razie, przy największej ostrożności, za rok zostaniemy pogrzebani w ciemnicy, zbraknie nam wszystkiego, co nam do szczęścia potrzebne; choćbyśmy stu lat dożyli, to już nie doznamy ani jednej chwili radości.

Binkie wymachiwał wesoło ogonkiem.

— Trzeba się przygotować. Zobaczmy, Binkie, jak to jest być ślepym.

Dick zamknął oczy; po za powiekami migały mu ogniste przecinki.

Gdy znowu oczy otworzył i spojrzał na Park, widział wszystko doskonale aż dopóki znowu przed źrenicami nie zaczęły mu latać iskry.

— Słuchaj Binkie, źle z nami, bardzo źle. Wracajmy do domu. Gdybyż Torp prędzej wrócił!

Ale Torpenhow bawił na południu Anglii, zwiedzając warsztaty okrętowe w towarzystwie Nilghai'ego.

Listy jego były rzadkie i tajemnicze.

Dick w troskach swych nie żądał nigdy niczyjej pomocy, ani też potrzebował dzielić się radościami.

Tłómaczył też sobie, wśród ciszy pracowni, która odtąd coraz częściej miała się przysłaniać szarą gazą, że jeśli przeznaczeniem jego była utrata wzroku, to wszyscy Torpenhow'owie świata całego nie mogli go od losu tego uchronić.

— Nie będę przecież wzywał go z powrotem, aby tu ubolewał nademną. Sam muszę cierpieć, nikt mi nie pomoże.

Leżał na sofie, gryząc wąsa i wystawiając sobie uczucia człowieka, którego ogarniają wiekuiste ciemności.

Przypomniało mu się, pewne zajście w Sudanie.

Żołnierz jakiś został nawpół rozpłatany szeroką lancą Araba.

W pierwszej chwili nie uczuł wcale bólu.

Schyliwszy głowę, zobaczył, że krew wylewa się z niego strumieniami.

Ogłupiałe zdumienie na jego twarzy było tak komicznem, że Dick i Torpenhow, obaj niedotknięci jeszcze do owego czasu ostrzem ani też kulą, poprostu brali się za boki od śmiechu; żołnierz chciał jakby im zawtórować, usta jego rozwarły się do uśmiechu, lecz w chwili tej śmierć położyła na nich piętno i runął na ziemię z zastygłym grymasem.

Dick śmiał się i teraz, przypominając sobie tę sytuacyę, pełną jednocześnie komizmu i grozy.

I jego czekał los podobny.

— Więcej mi tylko czasu pozostaje — myślał, chodząc wzdłuż i wszerz po pokoju, z początku krokiem miarowym, potem coraz szybszym, gnany przerażeniem.

Zdało mu się, że cień jakiś biegnie po za nim.

I znowu przelatywały mu przed oczyma ogniste przecinki, lub przysłaniała je gaza.

— Spokoju, przedewszystkiem spokoju, nieprawdaż Binkie?

Mówił głośno, jak dzieci, gdy się boją.

— Źle z nami! źle bardzo — powtarzał. — I cóż teraz poczniemy? Trzeba coś obmyśleć, coś radzić. Niewiele już nam czasu pozostaje. Ktoby to dziś rano powiedział, że to się tak skończy. Co począć? Co począć! — zimny pot występował mu na czoło. — Myśli mi się plączą, a trzeba przecież coś radzić. Nie, ja zwaryuję.

Zaczął znowu gonić po pokoju, zatrzymując się od czasu do czasu dla wydobycia starych szkiców lub przyjrzenia się obrazom; kochał je teraz całą siłą uczucia, jako jedyną po sobie spuściznę, jedyny ślad swego istnienia na ziemi.

— Nic już więcej nie zrobisz — mówił przy każdych nowych oględzinach. — Pożegnaj na zawsze tych żołnierzyków.... Nie, to gorzej, niż nagła śmierć, to okropne!

Zmrok zapadał, a Dickowi się zdało, że to już ogarniają go wieczne ciemności.

— Boże wszechmocny — zawołał z rozpaczą — dopomóż mi, podczas tego strasznego oczekiwania, a nie usłyszysz z ust moich skargi, gdy chwila kary nadejdzie. Co mam robić, zanim mnie światło opuści?

Dick usiłował zapanować nad sobą, lecz ręce i usta mu drżały, pot kroplisty spływał mu z czoła.

Przykuwała go do miejsca obawa; a popychała naprzód chęć zabrania się do roboty natychmiast. Chciał dokonać czegoś niepospolitego, arcydzieła w całem znaczeniu tego słowa; do rozpaczy doprowadzało go, że po głowie plącze mu się wciąż myśl jedna, myśl o tej strasznej utracie wzroku.

— Wstrętny muszę przedstawiać widok. Dobrze, że Torpa niema. Doktór zalecał mi unikać moralnych wzruszeń. Chodź tu Binkie, niech się z tobą popieszczę.

Charcik skowyczał okropnie, bo pieszczoty Dicka były bolesne.

— Zdaje mi się, że nareszcie przyprowadziłem myśli do porządku — rzekł po chwili. — Wszystkie te szkice licha warte, a w dodatku nawarzyły kaszy twemu panu. Teraz dopiero rozumiem, jaką powinna być Melancholia. Główka ta musi mieć w sobie coś z Maisie — bo to Maisie, jedyna moja i nigdy już jej żywą nie zobaczę — i coś z Bessie, bo ona wie co Melancholia, choć sama nie zdaje sobie sprawy, że wie. Musi w tem być także szmat mojej własnej duszy, a z obrazu wiać powinien smutek bezbrzeżny, kończący się gorzkim śmiechem. Tak, usta te śmiać się powinny. A każdy kto kiedykolwiek spotkał się z cierpieniem, pozna, co ten śmiech znaczy. Tak to przedstawię, nie inaczej, a malować będę nie dla zrobienia na złość Maisie, lecz aby pozostawić po sobie arcydzieło. Potrafię go dokonać, bo już pomysł zarysował mi się jasno i czuję w sobie ogrom siły. Chodź-no tutaj Binkie, potrzymam cię za ogon. To będzie mi wróżbą.

Binkie zawisł przez chwilę w powietrzu, głową na dół, lecz ani warknął.

— Dzielna z ciebie psina! Zachowujesz się jak bohater. To dobry znak!

Binkie położył się znowu na swojem ulubionem miejscu przy kominku i patrzał ciekawie, jak pan jego chodził wciąż po pokoju, zacierając ręce, to łapiąc się oburącz za głowę, to znowu chrząkając, jak gdyby mu coś w gardle uwięzło.

Owej nocy Dick napisał do Maisie list pełen najczulszej troskliwości o jej zdrowie, lecz w którym nie donosił jej o sobie samym nic zgoła. Ukończywszy pisanie, marzył o Melancholii i widział już ją taką, jaką miała wyjść z pod jego pędzla, w najdrobniejszych szczegółach.

Dopiero nad ranem przypomniał sobie, że coś strasznego, a nieuniknionego ma go spotkać w bliskiej przyszłości.

Skoro świt, zabrał się do roboty; pochłonęła go rozkosz tworzenia, tak rzadka, a tak pełna, niezrównana.

Dick zapomniał o Maisie, o Torpenhow'ie, nawet o Binkie'm, leżącym u nóg jego, nie zapomniał tylko o pobudzaniu do szalonych wybuchów gniewu Bessie, aby mógł przyglądać się błyskowi jej oczów.

Całą duszą oddał się pracy, nie myślał o ciemnościach, które miały niebawem go ogarnąć; wszystkie niedole świata tego, nawet jego własna, były mu obojętne w tej chwili.

— Jesteś pan dziś zadowolniony — mówiła Bessie.

Dick zamiast odpowiedzi, podszedł do bufetu i nalał sobie kieliszek *whisky*.

Wieczorem, gdy całodzienne podniecenie ustąpiło, zaglądał znowu do bufetu, a po kilku takich odwiedzinach, doszedł do przekonania, że okulista jest kłamcą, skoro, on Dick, widział jak najdoskonalej.

Powiedział sobie nawet, że stworzy dom dla Maisie i że dziewczyna, rada nierada, musi być jego żoną.

Nazajutrz nie było już śladu tej junackiej fantazyi, lecz został bufet — wraz ze swą zawartością.

Coraz częściej Dick szukał w nim otuchy i podniety.

Zabrał się znowu do pracy, lecz przed oczyma migały mu ogniste przecinki... dopóki nie zajrzał do bufetu.

Po wychyleniu kilku kieliszków *whisky*, Melancholia zarysowała się przed oczyma jego jaśniej.

Doznawał uczucia, jakiego doświadczają ludzie świadomi rychłej śmierci i zdecydowani wychylić do dna kielich życiowych upojeń.

Dnie upływały jednostajnie.

Bessie przychodziła bardzo akuratnie o naznaczonej godzinie, Melancholia była coraz podobniejszą do kobiety, która zaznawszy wszelakich bólów i cierpień świata tego, znieczulona wreszcie, śmiała się teraz ze wszystkiego.

Pracownia przysłaniała się coraz częściej różnokolorową gazą, a ogniste przecinki były coraz natrętniejsze, zaś listy Maisie bardzo przykre do czytania i niesłychanie trudne do odpowiedzi.

Nie mógł jej wspominać o swym strasznym losie; nie mógł wyśmiewać jej Melancholii, która była wciąż „na ukończeniu." Lecz po dniach szalonej, namiętnej pracy, były mu nagrodą sny rozkoszne, a bufet najmilszym na świecie przyjacielem.

Bessie stawała się coraz nieznośniejszą, wyła poprostu ze złości, gdy Dick przyglądał jej się badawczo; to znowu dąsała się i patrzała na niego z podełba, całemi godzinami nie odzywając się ani słowem.

Nieobecność Torpenhow'a trwała przez sześć tygodni. Wreszcie w kilku słowach doniósł o swoim powrocie.

„Nowina, wielka nowina — pisał. — Wie o niej Nilghai, wie Keneu. Wracamy we czwartek. Przygotuj śniadanie i każ sobie oczyścić tużurek."

Dick pokazał list ten Bessie, która znowu zasypała go wyrzutami, iż rozłączył ją z Torpenhow'em i złamał jej życie, przytem nazwała go pijakiem i oświadczyła, iż powie p. Torpenhow, że przez ostatnie trzy tygodnie, ani razu trzeźwym nie był.

Nie długo przyszło jej czekać na sposobność oskarżenia swego wroga.

W parę dni potem spotkała Torpenhow'a na schodach.

Przywitał ją chłodno zupełnie, jak gdyby nic pomiędzy nimi nie zaszło.

Zajęty był wieściami, stokroć ważniejszemi niż osoba Bessie, a zresztą Keneu i Nilghai szli po za nim, przywołując Dicka.

— Pije wciąż, jak ryba — szepnęła Bessie. — Miesiąc już prawie nie odchodzi od bufetu.

Wśliznęła się cichutko za mężczyznami, aby usłyszeć sąd ich nad Dickiem.

Weszli do pracowni i zostali powitani entuzyastycznie przez wynędzniałego, nieogolonego, zawalanego farbami brudasa.

— Czy to ty? — zawołał Torpenhow.

— To, co się ze mnie zostało. Siadajcież. Binkie zdrów zupełnie, a ja pracowałem przez ten czas zawzięcie — mówiąc to zatoczył się.

— Człowieku, ależ ty jesteś....

Torpenhow wstydził się dokończyć, spojrzał na towarzyszów swoich błagalnie.

W milczeniu uroczystem opuścili pracownię.

Wtedy dopiero Torpenhow głos zabrał; lecz że napomnienia dawane przyjacielowi, są zbyt poufne, aby je drukiem ogłaszać i że Torpenhow używał porównań i metafor, wcale nieparalmentarnych, więc potomność nie dowie się nigdy, co w dniu owym Dick usłyszał i czego słuchał z wielkim wstydem i pokorą.

Po pewnym czasie, uznał jednak, iż przyjaciel sądzi go zbyt srogo i uznał potrzebę usprawiedliwienia się.

Powstał, wezwał całej siły woli, aby się utrzymać na nogach, i zaczął przemawiać do człowieka, ukazującego mu się jakby przez mgłę.

— Masz słuszność — mówił — ale i ja także. Po twoim odjeździe, wzrok zaczął mi się przyćmiewać, więc poszedłem do okulisty. Obejrzał moje oczy — trwało to bardzo długo i by-

ło przykre — wreszcie zadecydował, że cięcie owego przeklętego Araba nadwyrężyło mi nerw optyczny. Zanotuj to sobie. Niebawem utracę wzrok zupełnie. I teraz już widzę niewiele, a rozjaśnia mi się przed oczyma wtedy tylko, gdy się upiję. Nie wiedziałem zresztą, że się upijam, dopóki mi nie powiedziano, ale mi to pomaga w robocie.... Muszę ją dokończyć. Oto jest, patrzaj.

Wskazywał na bardzo niedokładny szkic Melancholii i czekał na wyrazy pochwały.

Torpenhow nic nie powiedział. Dick zaczął mruczeć i chrząkać: z radości, że widzi przyjaciela; z żalu i upokorzenia nad swoim upadkiem, tak srogo potępianym przez Torpa i wreszcie przez próżność, obrażoną tem, iż Torp nie miał ani słowa pochwały dla takiego arcydzieła.

Po pewnym czasie Bessie spojrzała znowu przez dziurkę od klucza: zobaczyła przyjaciół, chodzących po pokoju w najlepszej zgodzie. Torpenhow trzymał rękę na ramieniu Dicka.

Widząc to, Bessie wyraziła się tak nieprzystojnie, że aż słowa jej niemile dotknęły uszki charcika, który dreptał wciąż po korytarzu, w nadziei ujrzenia znowu swego pana.

ROZDZIAŁ XI.

Dwa dni upłynęło od powrotu Torpenhow'a.

Czuł się dziwnie zmartwionym i przybitym.

— Więc powiadasz — mówił — że nic prawie nie widzisz, dopóki się wódki nie napijesz?

— Czy pijak może się powoływać na swój honor? — odparł Dick gorzko.

— Tak, jeśli był poprzednio porządnym, jak ty, człowiekiem.

— A zatem daję ci na to słowo honoru — mówił Dick przez zaciśnięte zęby. — Wiesz, stary, w tej chwili twarz two

ją widzę, jak przez mgłę. Przez dwa dni nie pozwoliłeś mi się upić — jeśli notabene upijałem się kiedykolwiek — to też robota nie postąpiła ani o jedno pociągnięcie pędzla. Nie dręcz mnie już dłużej. Wszak lada dzień mogę wzrok utracić. Coraz częściej przelatują mi przed oczyma przecinki ogniste, coraz gęstsza gaza wzrok mi zaciemnia. Przysięgam ci, że widzę zupełnie dobrze, gdy jestem... no, gdy jestem podniecony alkoholem. Pozwól mi jeszcze na trzy seanse z Bessie i daj mi whisky, ile zechcę, a obraz będzie gotów. Przecież w trzy dni wpędzić się do grobu nie mogę.

— Jeśli ci dam trzy dni, czy zaniechasz roboty i... tamtego— bez względu, czy po upływie tych trzech dni obraz będzie gotów lub nie?

— Obiecać tego nie mogę. Ty nie wiesz, czem jest dla mnie ten obraz.... Lecz zapewne, możesz wezwać Nilghai'ego do pomocy, możesz mnie związać, obezwładnić. Nie walczyłbym o *whisky*, ale będę walczył do upadłego o moje dzieło.

— Rób więc, jak chcesz. Daję ci jeszcze trzy dni, ale mi serce z piersi wyrywasz.

Dick wziął się znowu do roboty, pracował jak opętany, a szatan wódki stał przy nim i odganiał płatki z przed oczu.

Melancholia była już na ukończeniu i nie zawiodła nadziei malarza.

Dick żartował z Bessie, która odpowiadała mu na to, że jest „pijany jak bestya;“ lecz mało go to wzruszało.

— Ty tego nie możesz rozumieć, Bessie. Dobijamy już teraz do portu, wylądujemy niebawem, a wtedy będzie można spocząć na laurach i wspominać dokonane dzieło. Po skończeniu obrazu, wypłacę ci pieniądze za trzy miesiące, a na przyszły raz, gdybym co malował, to znowu cię wezmę za modelkę.... Na przyszły raz... lecz mniejsza o to. Czy pensya trzymiesięczna nie złagodzi twojej nienawiści?

— Nie, wcale nie. Nienawidzę pana i nigdy nie przestanę nienawidzieć. Teraz pan Torpenhow ani na mnie spojrzy. Przegląda tylko ciągle jakieś mapy i książki w czerwonych okładkach.

Bessie uważała za zbyteczne dodać, iż przypuściła powtórny szturm do Torpenhowa, który, wysłuchawszy jej zaklęć, pocałował ją i wyprowadził za drzwi, radząc, aby nie była głupią.

Cały dzień niemal schodził mu teraz w towarzystwie Nilghai'ego, na rozmowie o rychłej wojnie, transportach, uprowiantowaniach i tym podobnych rzeczach. Nie chciał zaglądać do Dicka, dopóki obraz nie był ukończony.

— Maluje on teraz rzecz wyborną — mówił do Nilghai'ego — i zupełnie w innym rodzaju, niż dotychczas. Ale, niestety, pije coraz bardziej.

— Mniejsza o to. Gdy odzyska równowagę, wywieziemy go ztąd gdzie nad morze, na świeże powietrze. Biedny Dick! Swoją drogą, nie zazdroszczę ci losu, gdyby zaniewidział.

— Tak, będę miał wówczas piekło. A najgorsza, że nie wiemy, kiedy to nastąpi. Pewien jestem, że ta niepewność i to straszne oczekiwanie popchnęły Dicka do kieliszka.

— Toby dopiero śmiał się Arab, który go machnął lancą przez czaszkę!

— Śmiać się nie może, bo już go niema na świecie. Lecz słaba to teraz pociecha.

Popołudniu dnia trzeciego, Dick przyzwał Torpenhowa do pracowni.

— Skończone! — zawołał. — Chodź. Patrz. Nie jest-że to cudo? Zstąpiłem wprawdzie po nie do piekieł, ale było po co?

Torpenhow spojrzał na głowę kobiety, o zapadłych oczach i wklęśniętych policzkach, co się śmiała z obrazu Dicka, tak jak to był sobie zamierzył.

— Kto cię nauczył, jak się te rzeczy robi? — rzekł Torpenhow z zachwytem — ani pomysł, ani sposób malowania nie mają nic wspólnego z dotychczasową twoją robotą. Co to za twarz! Co za oczy! A jakie zuchwalstwo!

Mimowoli roześmiał się wraz z dziewczyną z obrazu.

— Wszystko już dla niej skończone. Przecierpiała tyle, że nic już gorszego spotkać jej nie może. Wszak taką myśl chciałeś nadać obrazowi.

— Istotnie.

— Zkąd wziąłeś te usta i brodę? Nie z twarzy Bessie?

— Nie, wziąłem je od kogo innego. Ale prawda, że obraz dobry? Piekielnie dobry? Czy nie wart był *whisky*? Lepszego już nigdy nie namaluję.

Odetchnął pełną piersią.

— Mój Boże! — szeptał — czegóżbym nie dokazał przed laty dziesięciu, kiedy i dziś jeszcze potrafię zrobić coś podobnego!... Ale, ale, co ty myślisz o tym obrazie, Bessie?

Dziewczyna zagryzała usta, złorzecząc w duszy Torpenhow'owi, że nie zwraca na nią uwagi.

— Ja myślę, że to obraz szkaradny, zwierzęcy, gorszego nie widziałam w swojem życiu — to mówiąc odwróciła się plecami.

— Przypuszczam, że nie ty jedna będziesz podobnego zdania. Dick, w ułożeniu głowy, w ustach jest coś jadowitego, jak w syku żmii.

— To właśnie majsterszyk — zawołał Dick, uszczęśliwiony, iż potrafił wyrazić, co pragnął. — Jestto francuska sztuczka: polega na nieznacznem, zaledwie dostrzegalnem skróceniu jednej połowy twarzy — od skraju brody do górnej konchy usznej — i na wycieniowaniu szyi pod uchem. Sztuczka to wprawdzie, nie sztuka, lecz zwiększa efekt.... Och! ty ślicznoto!

— Istotnie, jest śliczna. Odczuwam jej ból serdeczny.

— Odczuje go każdy, a kto ma jaki smutek własny, ujrzy go odźwierciadlonym w tej oto twarzy i mimowoli, patrząc na nią, tak jak ona, odrzuci w tył głowę i roześmieje się gorzko. Bo też przelałem w nią całą krew mego serca i całe światło mych oczu... mniejsza, co będzie potem.... Jestem zmęczony, okrutnie zmęczony. Muszę się chyba położyć. Zabierz tę wódkę, już zrobiła swoje, a wypłać Bessie trzydzieści sześć suwerenów i trzy w dodatku, na szczęście. Zakryj płótno.

Dick padł na szezlong i usnął natychmiast; był blady, wycieńczony.

Bessie chciała ująć Torpenhow'a za rękę.

— Czy pan już nigdy do mnie nie przemówi po ludzku? — pytała, lecz Torpenhow patrzał na przyjaciela.

— Co to za kopalnia próżności w tym człowieku! — myślał. — Jutro muszę się zabrać do niego i przyprowadzić go znowu do porządku.... Co ty tam robisz, Bessie?

— Nic. Uprzątnę tu trochę i pójdę do domu. Czy nie mógłbyś pan wypłacić mi tych pieniędzy zaraz?

Torpenhow wydał jej czek i poszedł do swego pokoju.

Bessie sumiennie bardzo uporządkowała pracownię, otworzyła drzwi na korytarz i okno dla przewietrzenia jej, poczem cichutko podeszła do stalug, wylała pół buteleczki terpentyny na ścierkę i zamazywała twarz Melancholii z zawziętością okropną.

Farby nie odrazu puszczały. Wzięła więc nóż i skrobała nim, zacierając wciąż ścierką.

Po pięciu minutach, obraz był bezkształtną mieszaniną farb.

Rzuciła zawalaną ścierkę do wiadra, pokazała język śpiącemu.

— Okpiłam cię, ptaszku — szepnęła wybiegając z pokoju.

Nie miała już nigdy zobaczyć Torpenhow'a, lecz przynajmniej strasznie się zemściła na człowieku, który stanął pomiędzy nimi i nie odzywał się do niej inaczej jak z drwinkami lub lekceważeniem.

Spieniężenie czeku uważała Bessie za koronę tego — zarówno złośliwego, jak i dowcipnego, w jej mniemaniu — figla. Wypłatawszy go dziewczyna, przeprawiła się na drugą stronę Tamizy i wpadła, jak kropla w morze, w ruchliwą dzielnicę południową.

Dick spał do późnego wieczora, aż go Torpehow obudził, aby go do łóżka zaciągnąć.

Oczy miał zupełnie jasne, lecz głos ochrypły.

— Spójrzmy jeszcze raz na obraz — napierał się, jak dziecię.

— Nie, położysz się spać — odparł Torp stanowczo — nie czujesz może tego, ale jesteś zupełnie pijany.

— Od jutra będę innym człowiekiem. Zobaczysz. Dobranoc, Torp.

Przechodząc przez pracownię, Torpenhow podniósł zasłonę z obrazu i spojrzawszy nań, omal iż nie krzyknął z przerażenia.

— Zamazany! zdrapany! zniszczony zupełnie! — szeptał, załamując ręce z rozpaczą. — Gdyby Dick zobaczył to dzisiaj. z pewnością zmysłyby utracił.... To sprawka Bessie.... Tylko kobieta może dopuścić się czegoś podobnego, i to w chwili, gdy atrament nie zdążył jeszcze wyschnąć na czeku!... To moja wina! moja wina! Czemu wprowadzałem tutaj to ladaco! Mój biedny Dicku! Bóg strasznie cię doświadcza.

Dick nie mógł spać tej nocy — z radości wielkiej, a także z powodu płatków ognistych, które teraz migały mu wciąż przed oczyma, strzelając to snopem iskier, to różnokolorowemi fajerwerkami.

— Hulajcie sobie! — mówił — skończyłem już robotę, możecie szaleć, ile wam się żywnie podoba.

Leżał spokojnie, zapatrzony w sufit; alkohol smagał mu krew, a myśli, jedne okropniejsze od drugich, przelatywały po głowie z szybkością błyskawicy.

Zdawało mu się — raz, że maluje swoją Melancholię na szczycie wieży, jarzącej się od milionów świateł; to znowu, że ucieleśnione pomysły do obrazów ścielą mu się do stóp nisko, bardzo nisko, o kilkaset metrów poniżej płomiennej wieży i że podnoszą głosy w pieniach pochwalnych na cześć jego.

Nagle coś w mu w skroniach pękło, jak gdyby naciągnięta cięciwa łuku; świetlana wieża runęła w przepaść. Dick pozostał sam w ciemnościach.

— Położę się spać — myślał. — W pokoju tak okropnie ciemno. Trzeba zapalić lampę i choć raz jeszcze spojrzeć na Melancholię. To dziwna.... Księżyc powinienby świecić.

Po chwili Torpenhow usłyszał nazwisko swe, wymówione głosem, obcym sobie zupełnie, oszalałym z przerażenia i bólu.

— Zobaczył obraz! — było pierwszą jego myślą.

Wpadł do pokoju Dicka.

Zastał go siedzącego na krześle, w stanie wielkiego podniecenia. Dick uderzał w powietrzu rękami.

— Torp! Torp! gdzie jesteś!— wołał. — Na miłość Boską! Chodź do mnie!

— Co ci się stało?

Dick uczepił się jego ramienia.

— Co mi się stało! Albo ja wiem. Tak dawno, tak dawno jestem tu w ciemnościach— wołam cię, a ty mnie nie słyszysz. Torp, nie odchodź, stary. Jestem w ciemnościach. W ciemnościach, powiadam ci!

Torpenhow zbliżył świecę do oczu Dicka, lecz w oczach tych światło zagasło już na zawsze.

Zapalił gaz. Dick słyszał jak płomień wybucha, lecz płomienia nie widział.

Coraz gwałtowniej czepiał się ręki Torpa.

— Nie opuszczaj mnie — wołał głosem nieludzkim. — Nie zostawisz mnie samego... prawda? Ja nic już nie widzę.... Czy ty to rozumiesz? Czarno, czarno wszędzie, zdaje mi się, że lecę w przepaść.

— Nie bój się, jestem przy tobie.

Torpenhow otoczył ramieniem Dicka i kołysał go jak dziecię.

— Tak mi dobrze. Nic tylko nie mów — szeptał nieszczęśliwy. — Poleżę spokojnie, to może ciemność ustąpi. Zdaje mi się nawet, że już się przerzedza. Hsh!

Dick podniósł brwi i z całych sił wzrok wytężył.

Ostre nocne powietrze powiało na plecy Torpenhowa

— Poleż tak chwilkę — rzekł. — Wciągnę tylko szlafrok i pantofle.

Dick uczepił się oburącz łóżka i czekał, w nadziei, że się ciemności rozstąpią.

— Jakże długo siedziałeś! — zawołał, usłyszawszy kroki Torpehowa. — Tak samo ciemno, jak było. Co ty tam się szamoczesz we drzwiach?

Przesuwam szezlong z kołdrą i poduszką. Położę się przy tobie. Staraj się usnąć. Jutro rano będzie ci lepiej, zobaczysz.

— Oh! nie — głos nieszczęśliwego przeszedł w ryk zwierzęcy. — Mój Boże! Jestem ślepy! ślepy! Ciemności już nigdy nie ustąpią.

Chciał wyskoczyć z łóżka, lecz oplotły go silne ramiona Torpenhow'a. Wyrywał się rozpaczliwie, nie mógł jednak oswobodzić się z ich uścisku.

— Ślepy! — wył przeraźliwie. — Ślepy, ślepy!

— Spokoju, Dick, odwagi! — szeptał mu do ucha głos łagodny, przekonywający, a jednocześnie coraz silniej obejmowały go ramiona, dusząc go prawie.

Obaj zadyszali się okropnie.

Dick, obezwładniony, wymachiwał tylko głową i skowyczał, jak ranione zwierzę.

— Puść mnie — wołał — łamiesz mi żebra — ja chcę temu koniec położyć. Okno otwarte... czuję.... Powiedz, co mi po takiem życiu?

— Spokoju, odwagi! — powtarzał wciąż Torpenhow, nie rozplatając ramion. — Może to tylko chwilowe. Może ci się jutro polepszy. Miejże rozum. Będziesz leżał cicho?

— Będę — odezwał się wreszcie głos, osłabły, zadyszany — puść. Trzymaj mnie tylko za rękę. Muszę czuć, że jesteś przy mnie. Naokoło ciemno, ciemno. Oh! mój Boże!

Torpenhow wysunął dużą, kosmatą rękę, Dick uchwycił ją skwapliwie i niebawem usnął, jak dziecię.

Gdy już uścisk jego osłabł, a oddech stał się miarowym, Torp rękę swoją wysunął, pochylił się nad Dickiem i pocałował go zlekka w czoło, tak jak mężczyźni całują ranionego towarzysza przed śmiercią, aby mu ulżyć chwilę skonania.

O świcie Torpenhow, usłyszał głos Dicka.

Niewidomy mówił szybko, bezładnie.

— Szkoda, wielka szkoda, ale stało się... — majaczył. — Królowa błądzić nie może... Torp nic o tem nie wie.... Powiem mu, jak będziemy już daleko, na pustyni.... Dlaczego płyniemy

tak powoli... zabrakło węgla.... Mówiłem.... Zanosi się na burzę.... Biała piana na zielonej wodzie... Jak to ładnie wygląda.... Muszę to namalować.... Namaluję koniecznie.... Nie mogę już.... Ogarnęły mnie ciemności.... Była to jedna z dziesięciu plag egipskich.... Ależ to żarty, Torp.... Śmiej się z tego.... Ostrożnie, Maisie, jedyna, bo wpadniesz do wody... i zawalasz sobie sukienkę.

— Hm! — szepnął Torpenhow — to widocznie wspomnienia z owej wycieczki nad morze.

— Powie z pewnością, że to moja wina, jeśli się tylko zabłoci.... Stanęłaś zablisko celu.... To brzydko, Maisie.... Ah! wiedziałem, że chybisz.... Trzeba mierzyć wyżej i więcej na lewo.... Rewolwer dołuje.... Nie masz talentu... powiadam ci... że nie masz.... To tylko wytrwałość i upór szalony.... Nie gniewaj się, jedyna.... Pozwoliłbym sobie uciąć rękę... prawą rękę, bez wahania... gdyby ci to talentu mogło przysporzyć....

— Teraz słuchajmy uważnie — myślał Torpenhow. — Tajemnica wyjdzie na jaw. A mówiłem zawsze, że w tem kobieta być musi.

Majaczenia nie ustawały, a powtarzało się wśród nich ciągle imię Maisie.

Chwilami Dick rozprawiał o swoich siłach niespożytych, to znowu przeklinał się za słabość i dobrowolne poddawanie się jarzmu niewoli.

Błagał Maisie o pocałunek — o jeden tylko pocałunek, przed odjazdem; zaklinał ją, aby wróciła już z Vitry-sur-Marne. A wśród tych bredzeń, wzywał wciąż niebo i ziemię na świadki, iż królowa błądzić nie może.

Torpenhow słuchał z natężoną uwagą i dowiadywał się kolejno z życia Dicka szczegółów, które dotychczas były przed nim skrywane starannie.

Przez trzy dni Dick bredził o swej przeszłości, wreszcie popadł w sen spokojny, bez gorączkowych przywidzeń.

— Co to za szatan musi być z tej dziewczyny — rozważał Torpenhow. — Pomiatała poprostu biedakiem, używała go

do posług domowych, obchodziła się z nim gorzej, niż z psem podwórzowym! Mój Boże! a jam mu prawił o arogancyi i przecenianiu siebie. Nikt jeszcze nie zbadał głębin duszy ludzkiej; nawet w duszy najbliższego przyjaciela znajdą się zawsze niespodzianki. I pomyśleć, że Dick dawał jej całe swe życie, całe serce i duszę, a ona— o ile mogłem zmiarkować — wzamian dała mu jeden tylko pocałunek.

— Torp — odezwał się Dick budząc się — pójdź się przejść. Tak długo już tu siedzisz. Ja przez ten czas wstanę.... Oh! Ale ja nie mogę sam się ubrać. Nie, to okropne!

Torpenhow pomógł mu przywdziać ubranie i posadził na fotelu w pracowni.

Dick oczekiwał wciąż, aby ciemności pierzchły. Lecz nie rozproszyły się ani dnia tego, ani następnych.

Znudzony bezczynnością, puścił się w podróż eksploracyjną naokoło ścian, przyczem stłukł sobie kolano o piec, co mu podsunęło myśl pełzania na czworakach, z jedną ręką wyciągniętą naprzód.

Torpenhow zastał go leżącym na podłodze.

— Staram się obeznać z topografią moich nowych posiadłości — mówił Dick gorzko. — Czy są do mnie jakie listy? Daj mi wszystkie w grubej, szarej kopercie z literą na wierzchu. Są mniej ważne od innych.

Torpenhow podał mu kopertę z czarnem „M.‘

Dick wsunął ją do kieszeni. Nie było w liście tym, co prawda, nic takiego, czegoby Torpenhow nie mógł przeczytać, ale zawartość listu należała wyłącznie do Dicka i Maisie — owej Maisie, która nigdy już do niego należeć nie miała.

— Jak zobaczy, że jej nie odpisuję, to sama pisać przestanie. Tak będzie lepiej. Na nic już się jej teraz nie zdam — tłómaczył sobie, broniąc się przeciwko pokusie uwiadomienia jej o swym okropnym stanie.

Buntowała się przeciwko temu cała jego duma.

— I tak już dość nisko upadłem — mówił sobie. — Nie

zniżę się jeszcze do błagania o litość. Zresztą byłoby to okrucieństwem względem niej.

Starał się odegnać z myśli obraz Maisie, lecz ociemniali mają tyle czasu do myślenia!

W ciągu długich, bezczynnych dni, wśród ustawicznych ciemności, duszę Dicka szarpała rozpacz okropna.

Od Maisie przyszedł jeszcze jeden list i znowu jeden, potem zapanowało milczenie.

Dick siedział przy oknie, owiany powietrzem wiosennem i wyobrażał sobie, iż ukochaną jego pozyskał kto inny, silniejszy od niego.

Wyobraźnia jego, chorobliwie wybujała na tle nieustannych ciemności, nie oszczędzała mu ani jednego szczegółu; doprowadzały go one do wybuchów wściekłości. Miotał się po pokoju, rozbijał sobie głowę o kominek, tak iż zdawało się, że pęknąć musi — marmur lub głowa.

A co najgorsza, tytoń nawet nie smakował w ciemnościach.

Zuchwalstwo i arogancya ustąpiły zupełnie, miejsce ich zajęła rozpacz — którą Torpenhow znał dobrze — i szalone porywy namiętności — którą Dick powierzał nocami swojej poduszce.

Przerwy pomiędzy temi wybuchami wypełniało straszne, nieskończone oczekiwanie i straszniejsze jeszcze brzemię ciemności.

— Przejdziesz się trochę po Parku — oświadczył pewnego dnia Torpenhow — nie ruszyłeś się z pokoju od chwili... tego nieszczęścia.

— Po co? W ciemnościach niema ruchu, a zresztą — zawahał się, uchwycił się poręczy schodów — jeszcze mnie przejadą.

— Nie przejadą cię, skoro ja będę przy tobie.

Turkot i hałas ulicy przejmował Dicka nerwową obawą; nieszczęśliwy coraz silniej opierał się na ramieniu Torpenhowa. W ten sposób doszli do parku.

— Idzie gwardya — rzekł przewodnik, sądząc, że wiadomością tą ożywi swego towarzysza.

Jakoż istotnie twarz Dicka rozpromieniała.

— Chodźmy im się przyjrzeć — zawołał. — Czuję zapach drzew, zieloności.

Torpenhow obcasem wyrwał kępkę trawy.

— Powąchaj — rzekł — prawda jak pachnie?

Dick pełną piersią wciągał w siebie woń wiosny.

— A teraz zbieraj nogi, podbiegniemy do żołnierzy.

Zbliżyli się pułku, o ile to tylko było możliwe.

Na chrzęst bagnetów, Dick drgnął rozkosznie, nozdrza mu się rozszerzyły.

— Podejdźmy bliżej — szepnął. — Ustawieni są w kolumny, prawda?

— Istotnie. Jakże poznałeś?

— Przeczułem. O! moje drogie, moje śliczne żołnierzyki!

Nachylił się, jak gdyby mógł ich widzieć.

— Umiałem ja ich dawniej malować — szeptał — kto ich teraz tak malować potrafi?

— Za chwilę wyruszą. Nie wysuwaj się naprzód.

— Bliżej, Torp, bliżej! Oh! mój Boże, cobym ja dał, żeby módz ich zobaczyć, choć na chwilę, na pół minuty.

Słyszał wyraźnie każde poruszenie, każdy szelest zbrojnego oddziału, słyszał, jak dobosz podnosił z ziemi duży bęben, jak go sobie przewieszał przez ramię.

— Podnoszą pałeczki — uprzedził go Torpenhow.

— Wiem, wiem. Któż będzie wiedział, jeśli nie ja?

Pałeczki opadły, rozległ się głuchy odgłos, oddział wyruszył w pochód.

— Co ci jest? — spytał Torpenhow, widząc, że głowa Dicka opada coraz niżej na piersi.

— Nic mi nie jest. Czuję się trochę osłabionym. Niepotrzebnie biegałem. Torp, wracajmy do domu. Dlaczego mnie przyprowadziłeś tutaj?

ROZDZIAŁ XII.

Nilghai kłócił się z Torpenhowem.

Dickowi kazano iść spać — niewidomi muszą zawsze słuchać rozkazów tych, którzy widzą.

Po powrocie z Parku nieszczęśliwy kaleka wylał na Torpa cały potok złorzeczeń, przeklinał go za to, że on, Dick żyje; przeklinał świat, za to, że ludzie na nim widzą, a on kaleka i niedołęga, musi być na łasce i niełasce otaczających.

Torpenhow uspakajał go, wreszcie wykrzyczał. Pokłócili się na dobre.

Dick poszedł do swego pokoju i w złości okropnej miętosił listy Maisie.

W pokoju Torpenhowa był Nilghai — tłusty, wrzaskliwy i zawsze gotów do zaczepki — po za nim siedział Keneu, wielki orzeł wojenny, a pomiędzy nimi leżała mapa, ozdobiona szpilkami o białych i czarnych łebkach.

— Omyliłem się wprawdzie co do Bałkanów — wrzeszczał Nilghai — ale nie zawiodły mnie przewidywania wojny. Musimy rozpocząć nanowo robotę w Sudanie południowym. Publiczność naturalnie nic o tem nie wie, ale rząd myśli już o wojnie i czyni stosowne przygotowania.

— Ja jechać nie mogę — rzekł Torpenhow, wskazując na drzwi do pokoju Dicka. — Nie potępiajcie mnie... muszę zostać.

Keneu wytrząsnął popiół z fajki.

— Nie potępiamy cię bynajmniej — mówił. — Bardzo to nawet szlachetnie z twojej strony, lecz każdy człowiek, nawet ty, Torp, powinien myśleć o sobie i robić to, co mu jest przeznaczonem do zrobienia. Wiem, że ci się to może wydać okrutnem, ale Dick jest już wyrażnerowanym wyścigowcem, nic już z niego nie będzie. A że ma trochę pieniędzy, więc z głodu nie umrze. Nie możesz przecie dla niego usuwać się od takiej roboty. Pomyśl o twojej sławie.

— Sława Dicka była pięć razy większa od twojej i mojej, razem wziętych.

— Dlatego tylko, że podpisywał się na każdym swoim utworze. Ale teraz wszystko już skończone. Bądź w pogotowiu, aby każdej chwili wyruszyć. Możesz naznaczać na siebie jaką chcesz cenę. Każdy dziennik ci zapłaci, jesteś najzdolniejszym, najpoczytniejszym z nas trzech.

— Nie domyślasz się nawet, jak bardzo chciałbym z wami wyruszyć, ale pomimo to zostanę, aby doglądać Dicka. Nie okazuje mi on tego, lecz zdaje mi się, że lubi gdy jestem przy nim.

Nilghai mruknął coś o sentymentalnych waryatach, którzy depczą własną karyerę, dla sobie podobnych szaleńców.

Torpenhow rzucił się gniewnie. Ciągłe czuwanie nad Dickiem rozstroiło mu nerwy.

— Jest jedna rada — rzekł po namyśle Keneu. — Myślałem nieraz, widząc ludzi umierających tam, na pustyni, że gdyby wieść o ich śmierci mogła być ogłoszoną światu całemu, a środki komunikacyjne były dość szybkie, przy łóżku każdego konającego byłoby przynajmniej po jednej kobiecie.

— Zapewne, i niejedna tajemnica wyszłaby na jaw. Bądźmy więc radzi z obecnego ustroju świata — rzekł Nilghai.

— Otóż zapytuję: czy pieczołowitość Torpa jest niezbędną dla Dicka? Czy nie wolałby on naprzykład, zamiast opiekuna, mieć jaką opiekunkę! Co ty sam o tem myślisz, Torp?

— Wiem, że tak. Lecz cóż to pomoże.

— Przedstaw nam, co wiesz, lub czego się domyślasz. Wszak jesteśmy wszyscy trzej przyjaciółmi Dicka. Ty znasz jego życie nabliżej.

— Ale on mi nic nie powiedział. Odkryłem jego tajemnicę, gdy był w gorączce.

— Tem pewniej mówił prawdę. A więc gadaj: cóż to za jedna?

Torpenhow opowiedział całą historyę w kilku słowach, jak przystoi korespondentowi, umiejącemu się streszczać w sprawozdaniach z pola bitew.

Towarzysze słuchali go z uwagą, nie przerywając mu zapytaniami.

— Czyż podobna, aby człowiek dojrzały powracał do swoich miłostek chłopięcych? — zastanawiał się Keneu. — Czy to podobna?

— To są fakty. Teraz nic już o tem nie wspomina, lecz gdy zdaje mu się, że na niego nie patrzę, maca i z ręki do ręki przekłada trzy listy, które od niej otrzymał. Powiedzcie, co mam zrobić, powiedzcie?

— Pomów z nim — rzekł Nilghai.

— Tak!... Może każecie mi jeszcze do niej napisać — pamiętaj, że nie znam nawet jej nazwiska — i prosić ją, aby przyjęła Dicka z litości.... Zdaje mi się, że kiedyś powiedziałeś Dickowi,że ci go żal. Czy pamiętasz, jak to przyjął, co? No, idź-że do jego sypialni, wydobądź z niego wyznanie, namów go, aby się zwrócił do owej Maisie z prośbą o litość nad sobą. Nie ręczę, czyby cię nie zabił za taką propozycyę, a utrata wzroku zwiększyła siłę jego muskułów.

— Torpowi pozostaje jedno tylko do zrobienia — zadecydował Keneu. — Pojedzie do Vitry-sur-Marne, miejscowości leżącej przy kolei Bézières-Landes. Prusacy zbombardowali ją roku 1870. Konsystuje tam, lub przynajmniej powinien konsystować, szwadron konnicy. Gdzie leży pracownia, nie wiem. To już rzecz Torpa ję odnaleść. Ja mu wskazałem drogę. Przedstawi sytuacyę dziewczynie, a ona przyjedzie do Dicka natychmiast; tem szybciej, że jak on sam powiada, „nic ich nie dzieli, oprócz jej uporu.“ Wszak oboje razem mają czterysta dwadzieścia funtów rocznego dochodu. Dick, nawet w gorączce nie stracił zdolności do cyfr.

— Musisz jechać — zawyrokował Nilghai.

Torpenhow był widocznie zakłopotany.

— Ależ to niedorzeczne, to niepodobne. Nie mogę jej przecie przyciągnąć tutaj za włosy.

— Zadaniem naszem, zadaniem, za które otrzymujemy grube pieniądze — jest właśnie dokonywać rzeczy niepodobnych i niedorzecznych — bez żadnego innego celu zazwyczaj, jak zabawienie publiczności. Tutaj jest powód ważniejszy daleko.

Mniejsza o sposoby. Wkwateruję się tu z Nilghaim, dopóki nie wrócisz. Niebawem zaczną ściągać do stolicy „specyalni korespondenci,“ pokój ten będzie ich głównym sztabem. Nie, niepodobna, aby Torp był uwiązany do nogi Dicka, podczas gdy tam będą się bili. Słuchaj, jestto twoja jedyna szansa wyswobodzenia się, a w dodatku Dick wdzięcznym ci będzie.

— Hm! sprobuję. Nie wyobrażam sobie, aby kobieta przy zdrowych zmysłach mogła odtrącić Dicka.

— Przedstaw to po swojemu owej Maisie. Masz dar wymowy. Pamiętam jak raz potrafiłeś skłonić rozwścieczoną Arabkę do ofiarowania ci daktyli. To, co teraz zamierzasz, jest przecie daleko łatwiejszem do spełnienia. Postaraj się, aby jutro popołudniu już cię tu nie było.

— Dick — mówił nazajutrz Torpenhow — czy jestem ci potrzebny?

— Nie! Pozostaw mnie w spokoju. Ileż razy na dzień musisz mi przypominać, że jestem ślepy?

— Czy nie potrzebujesz, abym ci co przywiósł?

— Nie, zdejm tylko te skrzypiące buty.

— Biedny chłopak! — pomyślał Torpenhow. — Musiałem zapewne ostatniemi czasy działać mu na nerwy. Uszy jego razi każdy szelest.

A głośno dodał:

— Dobrze. Skoro jesteś taki samodzielny i nic odemnie nie potrzebujesz, wyjadę na cztery lub pięć dni. Powiedz mi przynajmniej: dowidzenia. Rządca domu będzie cię doglądał, a Keneu wkwateruje się do mojego pokoju.

Twarz Dicka zasępiła się.

— Ale nie zabawisz przecie dłużej jak tydzień — rzekł. — Jestem nieznośny, opryskliwy, ale nie mogę się obejść bez ciebie.

— Doprawdy? Wkrótce będziesz się musiał obchodzić i rad będziesz z tego — pomyślał Torp.

Dick zastanawiał się, nad niespodziewanym wyjazdem Torpenhowa i pojąć go nie mógł.

Nie podobało mu się wcale, że miał go pielęgnować rządca,

choć go drażniła ustawiczna troskliwość Torpenhowa. Ciemności nie ustępowały, a nieodpieczętowane listy Maisie, od ciągłego obracania ich w palcach, zawalały się i pogniotły.

Nie miał już nigdy się dowiedzieć ich treści, lecz myślał, że Maisie mogłaby przesłać mu ich jeszcze parę, aby się miał czem bawić.

Do pokoju wszedł Nilghai z podarkiem, przynosząc mu kawał czerwonego wosku do modelowania, sądząc, że Dick rad będzie zająć się czemkolwiek.

Dick przez chwilę ugniatał wosk w palcach, lecz niebawem odrzucił go.

— Zabierz to sobie — zawołał gniewnie — za pięćdziesiąt lat nabiorę może zręczności ociemniałych, teraz jeszcze daleko do tego.... Czy nie wiesz, gdzie Torpenhow pojechał?

Nilghai oświadczył, że niema o tem najmniejszego pojęcia.

— Mieszkamy u niego, dopóki nie powróci. Czy możemy ci się zdać na co?

— Najlepiej mi, gdy jestem sam. Nie myślcie, że nie umiem ocenić waszych dobrych chęci, i owszem, dziękuję wam bardzo, ale doprawdy najlepiej mi samemu.

Nilghai odszedł, Dick popadł w drzemkę, przerywaną wybuchami buntu przeciwko losowi.

Oddawna już przestał myśleć o dokonanej robocie, opuściła go już także chęć tworzenia nowych arcydzieł, lecz dusza i serce wyrywały mu się wciąż do Maisie, do upartej dziewczyny, która pokochać go nie chciała.

Maisie, cała oddana swej robocie, zapomniała o nim zupełnie.

— Mogłaby używać mnie, tak bodaj, jak ja używałem Binata — do jakichś studyów rodzajowych. Niczego więcej już nie pragnę, jak być przy niej, choćbym nawet wiedział, że kto inny serce jej zdobywa. Uh! jakżem ja już nisko upadł!

Na schodach zabrzmiała wesoła śpiewka.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi Torpenhowa.

— Słyszeliście, chłopcy, wynalazłem nową butelkę do konserwowania wody na pustyni. Otwórzcież, do licha.

Dick zerwał się na równe nogi. Głos ten był mu dobrze znany.

— To Cassaveti! przybywa z kontynentu! Teraz już wiem, dlaczego Torpenhow wyjechał. Zanosi się gdzieś na utarczkę, a ja tam być nie mogę!

Napróżno Nilghai nakazywał milczenie.

— To ze względu na mnie — myślał Dick z goryczą. — Ptaki gotują już skrzydła do odlotu. Słyszę wyraźnie głosy Morten-Sutherlanda i Mackay'a. Zebrała się tu większa połowa londyńskich korespondentów wojennych, a mnie tam niema.

Przeszedł powoli przez korytarz i ostrożnie bardzo otworzył drzwi do pokoju Torpa. Czuł, że pełno w nim ludzi.

— Gdzie się gotują zamieszki? — Czy nareszcie w Bałkanach? — zapytał. — Czemu żaden z was mi o tem nie mówi?

— Zdawało nam się, że to cię nie obejdzie — odparł Nilghai zmięszany — ale skoro pytasz, to ci powiem, że znowu zbiera się na burzę w Sudanie.

— Szczęśliwe z was chłopcy! Pozwólcie mi przynajmniej usiąść tu i przysłuchiwać się rozmowie. Cassaveti, słyszałem twój głos z drugiego pokoju. Że też dotychczas nie możesz się nauczyć po angielsku?

Podprowadzono Dicka do kanapy.

Słyszał szelest map, rozkładanych na stole; toczyły się nad niemi żywe dyskusye i narady.

Wszyscy mówili jednocześnie, rozprawiając o marszrutach, honoraryach dziennikarskich, transportach, dostawach, o zdolności dowódców — a wszystko to w takich słowach i takiemi wyrażeniami, iż włosy stawałyby na głowie tym, którzy mieli czytać sprawozdania z pola bitew tychże korespondentów

Dowodzono głośno, zaprzeczano sobie nawzajem językiem wcale nieparlamentarnym, śmiano się na całe gardło, biegano po pokoju.

Nilghai twierdził, iż wojna w Sudanie wybuchnie lada chwila. Keneu zatelegrafował już do Kairu o konie; Cassavetti wykradł najzupełniej niedokładną listę wojsk, które miały

być odkomenderowane i odczytywał ją wśród ciągłych naigrywań sceptycznie usposobionych słuchaczy.

Keneu przedstawił Dickowi jakieś nieznane indywiduum, które miało ilustrować sprawozdania z placu boju dla syndykatu południowego.

— To pierwsza jego wyprawa — mówił Keneu — daj mu wskazówki, jak się dosiada wielbłądów.

— Oh! te wielbłądy! — wołał Cassavetti — zapomniałem już jak się z niemi obchodzić. Trzeba będzie się uczyć nanowo. Słuchajcie-no, panowie. Czytam dalej moją listę.

Przerwał mu ogólny wybuch śmiechu.

— Daj sobie pokój — odezwał się Nilghai. — Lista nie jest jeszcze nawet sporządzona w ministeryum wojny, a ty już ją nam odczytujesz.

— Ciekaw też jestem, ile istotnie wystawią wojska w Suakimie? — odezwał się głos jakiś.

Zapanowała znowu wrzawa, krzyżowały się rozmaite zdania. Nikt nikogo nie słuchał, każdy sam chciał być słuchanym.

— Wiele też będzie wojska egipskiego? — krzyczał jeden.

— Niech Bóg dopomaga Fellahom! — wołał drugi.

— Zbudują nareszcie kolej pomiędzy Berberem a Suakimem! — wrzeszczał jeszcze głośniej trzeci.

— Kto dowodzi kolumną, odkomenderowaną na pustynię? — dopytywał się czwarty.

— Podobno ma być oddział indyjski — utrzymywał piąty.

— A nie drzejże mapy! Ostrożnie! — upominano się nawzajem.

Wreszcie Nilghai, pragnąc uciszyć zgromadzenie, uderzył obu pięściami w stół, aż drzewo jęknęło.

— Ale cóż się dzieje z Torpenhowem? — zapytał Dick wśród ogólnego milczenia, jakie zaległo po tem energicznem przywołaniu do porządku.

— Torp uwolnił się na kilka dni. Pojechał zapewne robić czułe oczy do jakiej dziewczyny — odparł z pewnem zakłopotaniem Nilghai.

— Mówił, że zostanie tu, że nie chce nam towarzyszyć — odezwał się Keneu.

— Doprawdy? — zawołał Dick. — Nie chce z wami jechać! Niewiele mam teraz siły, ale jeśli ty i Nilghai potrzymacie go za ręce i nogi, to mu sprawię takie „lanie,“ że mu to rozum powróci.... On miałby zostać!... Ależ on z was wszystkich jest najzdolniejszy. Będzie tym razem nielada robota! Zapewne w Omduram obierzemy główną kwaterę. Lecz zapominam... tak mówię, jak gdybym ja miał jechać z wami.

— Żałujemy bardzo, że z nami nie jedziesz — rzekł Keneu.

— A ja najwięcej ze wszystkich — odezwał się nowy rysownik Południowego Syndykatu. — Czy mógłbyś mi pan powiedzieć....

— Dam panu jedną zdrową radę — odparł Dick, powstając i kierując się ku drzwiom. — Gdybyś dostał cięcie w głowę — nie zasłaniaj się, przeciwnie, proś nieprzyjaciela, aby ci czaszkę rozpłatał na dobre. To daleko praktyczniej i zdrowiej. Dziękuję, żeście mnie przypuścili do waszej kompanii.

— Biedny Dick! — mówił w godzinę potem Nilghai, gdy po rozproszeniu się towarzystwa pozostał sam na sam z Keneu.

— Biedny chłopak! Surma bojowa rozbrzmiała echem w jego duszy. Żal mi go! To okropne! Być przykutym do krzesła, gdy inni w świat wyruszają. Chodźmy zobaczyć, co on tam robi — zaprojektował Keneu.

Gdy weszli do pracowni, Dick siedział przy stole, z głową na rękach opartą.

Nie poruszył się.

— To boli — westchnął — boli okropnie. Czemuż mi Bóg śmierci nie zeszle. Czy zobaczę jeszcze Torpa, zanim wyruszy?

— Oh! tak! zobaczysz go niewątpliwie — upewnił Nilghai.

ROZDZIAŁ XIII.

— Maisie, kładź-że się już!

— Tak gorąco! Spać nie mogę.

Maisie oparta na oknie, patrzała na księżyc, oświetlający wysadzaną topolami drogę.

Lato było gorące, słońce spaliło trawę na łąkach, glinkowate wybrzeża rzeki skamieniały i podobne były do cegły palonej; kwiaty przydrożne opuściły ku ziemi kielichy, a róże w ogrodach straciły barwę świeżości.

Upał w niskim pokoju sypialnym był nie do zniesienia.

Nawet księżyc, rzucający światło na ściany pracowni Kamiego, zdawał się je ogrzewać; dzwonek przy zamkniętej bramie rzucał długi cień na ziemię.

Ta ciepła, pogodna noc i ścielące się cienie, drażniły Maisie, niecierpliwił ją nawet widok zamkniętej bramy.

— Że też jej nie postawili na samym środku — mówiła — pierwszy raz jednak to spostrzegam. Dziwna rzecz!

Trudno byłoby dogodzić Maisie w takiej chwili.

Najprzód w ciągu kilku ostatnich tygodni zmęczył ją okropnie upał; powtóre, studyum głowy kobiecej, mającej wyobrażać Melancholię, a nie ukończonej na czas do Salonu, nie było wcale zadawalniające; po trzecie, sam Kami oświadczył jej to przed kilku dniami; po czwarte i ostatnie — lecz tak dalece ostatnie, że zaledwie warto było o tem myśleć — Dick, jej własność, jej rzecz niemal, od sześciu już tygodni nie dawał znaku życia.

Maisie gniewała się na upał, na Kamiego, na swoją robotę, lecz przedewszystkiem i najbardziej gniewała się na Dicka.

Pisała do niego trzy razy — za każdym razem, opisując mu nowy pomysł do Melancholii i zasięgając jego rady — a Dick pomimo to milczał uparcie.

Postanowiła już więcej nie pisać.

Postanawiała sobie za powrotem do Anglii — który chociażby przez obrażoną dumę, nie mógł nastąpić wcześniej jak na jesieni — rozmówić się z nim ostro.

Brak jej było popołudniowych gawędek niedzielnych, bardziej daleko, niźli to chciała przyznać, przed sobą samą nawet.

Z ust Kamie'go słyszała tylko: *Continuez, mademoiselle, continuez toujours.*

Tę nudną zwrotkę powtarzał przez całe lato; było to jakby monotonne ćwierkanie konika polnego—starego polnego konika, w czarnym surducie alpagowym, białych spodniach i słomianym kapeluszu.

A Dick zwykł był dużemi krokami mierzyć jej pracownię, położoną wśród cienistego, chłodnego parku londyńskiego i mówił rzeczy daleko ciekawsze i dawał rady korzystniejsze daleko, niźli *Continuez mademoiselle*, a potem brał do rąk pędzel i wskazywał, na czem polegają jej usterki i jak malować należy.

Listy jego były daleko mniej ciekawe i pouczające. Ostatni — Maisie pamiętała to dobrze — zawierał jakąś nudną radę, aby nie pracowała na słońcu i aby podczas wycieczek i spacerów, nie piła wody z pierwszej lepszej studni; a zalecał to nie raz, ale trzy razy, jak gdyby Maisie nie wiedziała sama, co jest szkodliwe dla zdrowia.

Jakaż praca pochłaniała go tak dalece, że nie mógł się od niej oderwać, aby napisać choć słów parę!

Szepty tłumione doleciały do ucha dziewczyny. Wyjrzała przez okno, aby zobaczyć kto mówi.

Kawalerzysta z oddziału, konsystującego w miasteczku, umizgał się do kucharki Kami'ego.

Chłopak trzymał w ręku pochwę pałasza, aby nie wydała zdradzieckiego brzęku.

Czepiec dziewczyny rzucał cień na twarz, przytuloną do jego ramienia. Żołnierz otaczał ręką jej kibić.

Rozległ się serdeczny i głośny pocałunek.

— Pfe! — zawołała Maisie, odchodząc od okna.

— Co to? — spytała rudowłosa dziewczyna, która zasnąć nie mogąc, obracała się na łóżku niespokojnie.

— Nic — brzmiała odpowiedź — jakiś tam żołnierz całuje naszą kucharkę.... Już sobie poszli, dzięki Bogu!

Wyjrzała znowu przez okno, zarzuciwszy szal na ramiona, bo podniósł się chłodny wietrzyk.

Pod jego powiewem spieczona od słońca róża kiwała głową, jak gdyby znała tajemnice niezgłębione i mogła wiele powiedzieć.

...Czyż podobna, aby Dick myśli swe oderwał od sztuki i zniżył się do miłostek takich jak Zuzanny i żołnierza?

Nie, to było niemożliwe.

Róża kiwała wciąż głową, jakby na przekór.

— Nie, Dick tego zrobić nie może — myślała Maisie — bo on jest mój, mój, mój! Powiadał zawsze, że jest moim. Nie dbam wcale o niego, to pewna, ani mnie też obchodzi, co on tam robi, tylko, gdyby tak sobie postępował, toby się zmarnował jego talent.

Róża kiwała się wciąż z bezmyślnością, właściwą kwiatom.

...Niebyło żadnego powodu, aby Dick nie szukał sobie, rozrywki, chyba ten jeden, iż miał obowiązek pomagać i doradzać Maisie w robocie.

A robotę jej stanowiło przygotowywanie obrazów, które przyjmowane bywały na prowincyonalnych wystawach w Anglii, jak to stwierdzały wycinki z gazet, wklejane do albumu Maisie — i które nieodmiennie bywały odrzucane przez Salon, ilekroć Kami, ulegając jej natarczywym naleganiom, pozwalał je tam posyłać.

Robota jej przyszła zasadzać się będzie również na przygotowywaniu obrazów tej samej zapewne wartości, które będą odrzucane w ten sam zupełnie sposób....

Rudowłosa dziewczyna przewracała się z boku na bok.

— Za gorąco! Spać niepodobna! — narzekała, przerywając tok myśli Maisie....

...Zupełnie w ten sam sposób — snuła je dalej.

...Potem ona, Maisie, dzielić będzie lata pomiędzy małą pracownią w Anglii i dużą pracownią Kami'ego w Vitry sur Marne....

Nie, uda się do innego mistrza, który utoruje jej drogę do sławy, słusznie jej należnej, jeśli praca wytrwała i sumienna daje wogóle prawo do czegobądź.

Wszak Dick opowiadał jej, że dziesięć lat pracował, zanim zdobył to uznanie, jakiem się dziś cieszy.

I ona pracuje już lat dziesięć, lecz dziesięć lat, to nic.

Dick mówił, że dziesięć lat, to nic zgoła — stosował to wprawdzie do niej, nie do sztuki.

Mówił — on, który nie może znaleść chwili czasu do napisania listu — otóż mówił, że czekać na nią gotów lat dziesięć, a nawet więcej, i że wcześniej czy później, serce jej musi się skłonić ku niemu.

Wyrażał to nawet w swoim niedorzecznym liście — w którym były wzmianki o porażeniu słonecznem i dyfterycie — i oto nagle pisać przestał.

Błąkał się w noce księżycowe po ulicach i całował kucharki...

Miała wielką ochotę palnąć mu kazanie — ma się rozumieć nie w szlafroku, ale w przyzwoitej sukni — w słowach ostrych, bardzo ostrych! z dumnie podniesioną głową....

Ale, jeżeli istotnie całuje inne dziewczyny, to nie zechce może słuchać jej kazań. Wyśmieje ją jeszcze. Ha! niech wyśmiewa.

Wówczas ona, Maisie, powróci do swej pracowni i przygotowywać będzie znowu obrazy, które... i t.d. i t.d.

Myśli, jak młyńskie koło, obracały się wciąż naokoło jednej osi, a rudowłosa dziewczyna — na swej pościeli.

Maisie oparła brodę na ręku i zadecydowała, iż nikczemność Dicka nie ulega żadnej wątpliwości, że jest bezbrzeżną i okropną.

Aby usprawiedliwić przed sobą samą taki wyrok, zaczęła przeciwko podsądnemu formułować oskarżenia, uprzytomniać sobie wszystkie jego nieprawości.

...Był chłopiec, który dawno, dawno temu mówił zawsze, że ją kocha, powtarzał to do znudzenia i nie dość na tem — całował ją... tam, nad morzem.

Potem nastąpiła długa przerwa, inni mężczyźni mówili jej także o miłości, a zawsze wybierali ku temu chwile, gdy była najbardziej zajęta.

Potem chłopiec powrócił, i przy spotkaniu, mówił jej znowu, że ją kocha.

A potem.... Nie było końca jego przewinieniom....

Oddawał na jej usługi czas swój, zdolności i doświadczenie; prawił jej o sztuce, o gospodarstwie domowem, o technice malarskiej, o sposobie przyrządzania herbaty, o nadużyciu pikli, bardzo szkodliwem dla zdrowia — to było zupełnie niewłaściwe — o pędzlach, dał jej nawet swoje najlepsze: używała ich dotychczas; dawał jej rady, z których korzystała i od czasu do czasu rzucał na nią spojrzenia... ale jakie! Spojrzenie psa odtrącanego, który patrzy tylko w oczy swej pani, stula ogon i gotów każdej chwili się łasić, lizać jej nogi.

Wzamian nie dała mu nic zgoła, z wyjątkiem prawa pocałowania się raz jeden, a pocałował ją w usta same — tu Maisie otarła sobie usta rękawem od szlafroka.

Szkaradnik jakiś! Czyż nie został wynagrodzony hojnie?... zbyt hojnie nawet? a gdyby nawet zapłata była nie dość wysoka, to pokrył dług, przestając pisać i... prawdopodobnie całując inne dziewczyny?

— Maisie, połóż-że się już raz — odezwał się zmęczony głos jej towarzyszki. — Nie mogę zasnąć, dopóki siedzisz przy oknie.

Maisie nic nie odpowiedziała.

Zastanawiała się nad nieprawością Dicka i nad innemi nieprawościami, z któremi on wprawdzie nie miał nic wspólnego.

To nieznośne światło księżyca do reszty wybijało ją ze snu.

Kładło się srebrnemi smugami na kwiatach, na trawie i drzewach, na ścianach pracowni. Cień od dzwonka, to się wydłużał nadmiernie to kurczył i wreszcie znikł zupełnie, gdy księżyc po nad dachem stoczył się na drugą stronę domu.

Potem wiatr ochłódł, zwiastując ranne brzaski; bydło się ze snu zbudziło i odzywało na łąkach i w oborach.

Głowa Maisie opadła na parapet okna, sploty czarnych włosów zakryły jej ramiona.

— Maisie, obudź się. Dostaniesz kataru, śpiąc przy otwartem oknie.

— Dobrze, kochanie, zaraz.

Jak rozespane dziecię podeszła do łóżka, i wsunąwszy twarz w poduszki, szepnęła nawpół przytomnie:

— Być może... Być może.... Powinien był jednak napisać.

Dzień przyniósł zwykłe zajęcia w pracowni, zapach farb i terpentyny, monotonne rady Kami'ego.

Maisie wyjątkowo, oczekiwała końca wykładu. Wiedziała z góry, kiedy się zbliży.

Kami zgarnie wówczas naokoło siebie swój czarny alpagowy surdut i zapatrzony wdal— wypłowiałemi oczyma niebieskiemi, co patrzą przed siebie, nie widząc ani obrazów, ani uczennic—odgrzebywać zacznie stare dzieje jakiegoś tam Binnata i przemówi mniej więcej w te słowa.

— Wszyscy jak jesteście malujecie nieźle, lecz pamiętajcie, że nie dość jest mieć metodę, a nawet talent, siłę i delikatność pędzla—to mało, przedewszystkiem trzeba mieć przekonanie szczere, bo ono to zawiesza obrazy na ścianach. Ze wszystkich tych, których uczyłem, a uczyłem już wielu — w tem miejscu uczniowie zaczynali zwykle zmywać pędzle i zdejmować fartuchy — z tych wszystkich, których uczyłem, najwięcej wart był Binat. Gdy do mnie przybył, nie miał pojęcia jak się farby rozrabia, gdy mnie opuszczał, barwy i kształty były sługami w jego rękach. Jednego mu tylko brakło — nie miał szczerego przekonania i umiłowania sztuki. To też dziś o Binacie — najlepszym moim uczniu — ani słychu, a i o mnie już dzisiaj słyszeć nie będziecie. *Continuez, mesdemoiselles*, a nadewszystko z przekonaniem szczerem.

Wychodził do ogrodu, aby zapalić cygaro i rozpamiętywać nad zmarnowaniem się Binnata, a przez ten czas uczennice i uczniowie rozpierzchali się po rozmaitych domkach lub gwarzyli w pracowni, układając wycieczki na popołudniowe godziny.

Maisie popatrzała na swoją nieudatną Melancholię i tłumiąc szaloną ochotę pokazania jej języka, wybiegła z praco-

wni i szła przez gościniec do swego domku, naprzeciwko, aby napisać list do Dicka.

Nagle zagrodził jej drogę jakiś jeździeć na koniu kawaleryjskim.

Jakim sposobem Torpenhow zdołał, w ciągu dwudziestu czterech godzin: trafić do serca oficerów kawaleryi, konsystującej w Vitry sur Marne; upewnić ich o świetnym odwecie Francyi; rozczulić do łez pułkownika; pożyczyć najlepszego konia w szwadronie dla odbycia pielgrzymki do pracowni Kami'ego — wszystko to są tajemnice, które znane są tylko specyalnym korespondentom.

— Przepraszam panią — zainterpelował spotkaną panienkę. — Pytanie moje wyda jej się dziwnem zapewne, lecz nie znam tej osoby z nazwiska: czy jest tu jaka panna, nosząca imię Maisie?

— Ja jestem Maisie — brzmiała odpowiedź z głębin olbrzymiego słomianego kapelusza.

— W takim razie muszę się przedstawić — rzekł, ściągając uzdę koniowi. — Nazywam się Torpenhow. Dick Heldar jest moim najserdeczniejszym przyjacielem i... i donoszę pani, że oślepł.

— Oślepł. To niepodobna! — zawołała Maisie.

— A jednak to prawda niezawodna. Od dwóch miesięcy nic już nie widzi.

Maisie podniosła twarzyczkę, taką bladą w tej chwili, jak opłatek.

— Nie! nie! on nie ślepy! — powtarzała — ja nie chcę go mieć ślepym!

— Czy chciałabyś się pani przekonać o prawdzie słów moich? — rzekł Torpenhow.

— Tak, zaraz, natychmiast.

— Oh! to niepodobna. Pociąg paryski przybywa tutaj dopiero o ósmej wieczorem. Pozostaje jeszcze sporo czasu do wybrania się w drogę.

— Czy p. Heldar przysłał pana do mnie?

— O nie! Dick nigdyby tego nie zrobił. Siedzi teraz w pracowni, obracając w ręku pewne listy, których przeczytać nie może, bo jest niewidomy.

Z wnętrza budki słomianej rozległ się odgłos, podobny bardzo do jęku.

Maisie spuściła główkę i pobiegła do małego domku.

Rudowłosa dziewczyna leżała na kanapie, uskarżając się na ból głowy.

— Dick oślepł — zawołała Maisie, nie mogąc tchu złapać i opierając się o poręcz krzesła — oślepł *mój* Dick — powtórzyła.

— Co? Co takiego?

Rudowłosa dziewczyna zerwała się z kanapy.

— Jakiś pan przybył z Anglii, aby mi to powiedzieć. Od sześciu tygodni nie miałam listu.

— Czy jedziesz do niego?

— Muszę się namyśleć.

— Namyśleć! *Ja* pojechałabym do Londynu natychmiast, całowałabym jego biedne oczy, całowałabym, całowała dopóty, dopókiby nie przejrzały znowu. Jeżeli ty nie pojedziesz, to *ja* pojadę. Ah!... ale cóż ja mówię.... Ty niegodziwa, jedź-że do niego, jedź zaraz, jedź koniecznie. Słyszysz!

Torpenhow czekał na decyzyę pod drzwiami domku.

Po chwili ukazała się w nich Maisie, już bez olbrzymiego kapelusza.

Ślicznie jej było z rozognionemi policzkami i z oczyma błyszczącemi, jak brylanty.

— Jadę — oświadczyła, rumieniąc się i oczy spuszczając.

— Stawisz się pani na dworcu dziś wieczorem o siódmej.

Był to rozkaz, wydany przez człowieka, przyzwyczajonego, aby go słuchano.

Maisie nic nie odparła, lecz rada była, że słuchać musi.

Wszelki opór i dyskusya był oczywiście niemożliwemi, wobec tego olbrzyma, który uważał poświęcenie za rzecz zupełnie naturalną i utrzymywał najbystrzejszego konia jedną ręką, bez żadnego wysiłku.

Maisie powróciła do rudowłosej dziewczyny, zalewającej się łzami gorzkiemi.

Na płaczu, uściskach bardzo zresztą skąpych — pakowaniu rzeczy i krótkiej rozmowie z Kami'm, zeszedł dzień do wieczora.

Maisie uważała za swój obowiązek pojechać do Dicka — do Dicka, który miał takiego dziwnego przyjaciela i który wśród ogarniających go ciemności przekładał z ręki do ręki nierozpieczętowane jej listy.

— Ale co ty ze sobą zrobisz? — spytała swojej towarzyszki.

— Ja? O! pozostanę tutaj i... dokończę twojej Melancholii — odparła z bolesnym uśmiechem. — Napisz do mnie jak się uspokoisz.

Owego wieczora po Vitry sur Marne obiegała legenda o jakimś zwaryowanym Angliku, który spoił oficerów z garnizonu tak, iż co do jednego leżeli pod stołem; pożyczył konia od jakiegoś szeregowca i potem, wedle angielskiego obyczaju umknął, z jedną z postrzelonych Angielek, które malowały obrazy pod okiem tego poczciwego *monsieur Kami.*

— Jakie te Angielki dziwne — mówiła Zuzanna do rekruta przy świetle księżycowem, pod parkanem pracowni. — Patrzyła zawsze takiemi oczami, jak gdyby nic naokoło siebie nie widziała, i oto nagle całuje się ze mną w oba policzki, jak gdyby była moją siostrą albo co, i daje mi, ot, patrzaj, dziesięć franków.

Rekrut nałożył kontrybucyę na oba dary, albowiem był z niego wojak dzielny.

Torpenhow w drodze do Calais mówił z Maisie bardzo niewiele, lecz myślał o jej wygodach, zdobył dla niej nawet przedział osobny, w którym pozostawił ją samą.

Dziwił się, jak mu łatwo przyszło wywiązać się z posłannictwa.

— Pozostawię ją samą z myślami. Niech się zastanowi nad swoją niegodziwością. Z tego, co Dick plótł w gorączce,

widać, że wodziła go za nos nielitościwie. Ciekaw też jestem, jak jej się podoba, być za nos wodzoną.

Maisie siedziała w pustym przedziale i co chwila przymykała oczy, aby doświadczyć, jak to jest być ociemniałym.

...Otrzymała rozkaz wyruszenia do Londynu.

Pierwszy raz w życiu zdarzało jej się rozkazu usłuchać i znajdowała sytuacyę taką wcale miłą.

Bądź co bądź, było to daleko przyjemniej, niż przebywać od rana do wieczora w towarzystwie rudowłosej dziewczyny, z którą nie łączyło ją nic zgoła—ani poglądy, ani upodobania, ani nawet sympatya.

Maisie doświadczała takiego uczucia, jak gdyby co zbroiła i stawiano ją na pokutę.

Przed sobą samą starała się usprawiedliwić i wytłómaczyć to niezwykłe posłuszeństwo, coraz nowe wynajdywała do niego powody, najprzód w wagonie, a następnie przesiadłszy się do parowca, na pokładzie.

Po pewnym czasie przyszedł do niej Torpenhow i bez żadnych wstępów opowiedział w jaki sposób i z jakiego powodu Dick zaniewidział, pomijając pewne szczegóły, lecz natomiast rozwodząc się szeroko nad gorączkowemi majaczeniami.

Urwał jednak w pół opowieści, jak gdyby nagle przedmiot ten przestał go interesować i odszedł, dla wypalenia cygara.

Maisie zła była okropnie na niego i na siebie.

W Duwrze musiała przesiąść się znowu do wagonu, a to tak szybko, że nie miała nawet czasu poprosić o śniadanie.

Za przybyciem do Londynu, poproszono ją grzecznie, aby poczekała w dużej sieni starego jakiegoś domu.

Przewodnik jej wbiegł na schody, dla powzięcia jakichś wiadomości.

I znowu, myśl, że jest traktowaną jak niegrzeczna dziewczynka, wywołała płomień oburzenia na jej policzki.

Wszystkiemu temu Dick był winien. Po cóż wzrok utracił?

Torpenhow zaprowadził Maisie przed drzwi zamknięte, które otworzyła bardzo cichutko.

Dick siedział przy oknie, z głową na piersi zmieszoną.

Przed nim leżały trzy koperty, wciąż ję obracał i z ręki do ręki przekładał, pieszcząc je jakby.

Olbrzyma wydającego rozkazy nie było już przy boku Maisie; drzwi od pracowni zawarły się za nią.

Usłyszawszy skrzypnięcie ich, Dick wsunął pospiesznie listy do kieszeni.

— Hola! Torp! To ty? Było mi tak źle i smutno bez ciebie.

Głos jego miał właściwą ociemniałym bezdźwięczność.

Maisie wsunęła się w najdalszy kącik pokoju.

Serce jej biło gwałtownie, przyłożyła rękę do piersi, aby stłumić jego tętno.

Dick miał wzrok zwrócony w jej stronę; po raz pierwszy zdała sobie dokładnie sprawę z tego, co to jest być ociemniałym.

Zamykać oczy w wagonie, aby je otworzyć za chwilę, było dziecinną igraszką.

Człowiek ten był niewidomym, choć oczy miał rozwarte szeroko.

— Torp, czy to ty?

Dicka gniewało widocznie i krępowało to przedłużające się milczenie.

— Nie, to tylko ja — brzmiała odpowiedź, wyszeptana bardzo cichutko.

Maisie zaledwie mogła ustami poruszać.

— Hm! — mruknął Dick, zaniepokojony. — To coś nowego. Dotychczas widzieć nie mogłem, ale przynajmniej słyszałem doskonale.

...Czyż był nietylko ociemniałym, ale i obłąkanym, że tak mówił do siebie?

Serce Maisie zabiło jeszcze silniej, jeszcze lękliwiej.

Dick powstał i szedł przez pokój, z rękami wyciągniętemi, dotykając każdgo przedmiotu po drodze.

Raz zawadził nogą o chodnik, zaklął i schylił się, aby namacać tę przeszkodę.

Maisie przypomniała go sobie, kroczącego po Parku z taką miną, jak gdyby cały świat należał do niego.

Niedalej jak przed dwoma miesiącami przebiegał wzdłuż i wszerz jej pracownię i przeskakiwał po schodach na pomoście statku w Duwrze.

Nogi drżały pod Maisie, bliską była omdlenia, a Dick zbliżał się coraz bardziej, wiedziony jej przyspieszonym oddechem.

Machinalnie wyciągnęła rękę: aby go ochronić od upadku, lub żeby go do siebie przyciągnąć — sama nie wiedziała co powoduje ów odruch.

Dotknęła jego piersi, cofnął się, jak gdyby został kulą rażony.

— To Maisie — szepnął, a głos jego podobny był do łkania. — Co ty tutaj robisz?

— Przyjechałam, przyjechałam... do ciebie.

Dick zagryzł usta do krwi.

— Może usiądziesz — rzekł po chwili. — Jak widzisz, miałem biedę z oczami.

— Wiem. Wiem. Dlaczegożeś mi nie dał znać?

— Nie mogłem napisać.

— Mogłeś polecić to panu Torpenhow.

— Cóż mu do moich spraw?

— On... on przywiózł mnie z Vitry-sur-Marne. Mówił, że powinnam być przy tobie.

— Co się stało? Czy mogę ci w czem pomódz. Nie, nie mogę... zapomniałem....

— Oh! Dick! Przykro mi bardzo. Przyjechałam, aby ci powiedzieć... ale... Poczekaj.... Podprowadzę cię do krzesła.

— Oh! nie! Nie jestem dzieckiem. Robisz to tylko z litości. ...Nigdy nie byłbym ci o tem powiedział. Jestem już teraz do niczego. Wszystko już skończone dla mnie na zawsze. Pozostaw mnie samemu sobie.

Dowlókł się do fotelu, był cały zadyszany.

Maisie przypatrywała mu się; odstąpiła ją zupełnie obawa, lecz natomiast ogarnął wstyd wielki.

Powiedział prawdę, choć nie zastanowiła się nad tem dotychczas, w ciągu swej pospiesznej podróży do Londynu.

Istotnie wszystko już dla niego było skończone, nie miał prawa spodziewać się niczego.

Nie był już ani młodym, przystojnym chłopcem, ani utalentowanym artystą tylko jakimś kaleką, niedołężnym ślepcem, siedzącym na krześle i bliskim bardzo płaczu.

Żal go jej było okropnie, szczerze, nikogo jeszcze w życiu swem nie żałowała tak bardzo, lecz — nie mogła zaprzeczyć jego słowom.

...Tak, wszystko już było dla niego skończonem.

Więc też stała cichutko i wstyd jej było strasznie, bo jechała tu ze szczerym zamiarem pokochania tego kaleki, poświęcenia mu życia.

A teraz miała dla niego litość jedynie, ani odrobinki miłości.

— No i cóż? — rzekł Dick z twarzą odwróconą od dziewczyny. — Nie chciałem wcale nudzić cię moją osobą.—Co ci jest?

Słyszał, że Maisie oddycha z trudnością, nie był jednak przygotowany do wybuchu, jaki nastąpił.

Ludzie, którym płacz z trudnością przychodzi, gdy upusty łez się otworzą, wylewają całe ich potoki.

Maisie padła na krzesło i z twarzą, ukrytą w rękach, szlochała okropnie.

— Nie mogę, nie mogę — mówiła wśród łkań. — Doprawdy, nie mogę. To nie moja wina. Tak mi ciebie żal.... Oh! Dickie, jak mi ciebie żal, ale nie mogę.

Dick wyprężył się, bo słowa te spadały na niego jak baty.

Łkania nie ustawały.

Boleśnie, sromotnie jest przekonać się, że w chwili stanowczej braknie nam sił do poniesienia zamierzonej ofiary, że myśl o niej nawet nas przeraża.

— Sama sobą pogardzam, doprawdy pogardzam, ale nie mogę.... Oh! Dickie, ty nie będziesz tego żądał odemnie, powiedz — jęczała Maisie.

Podniosła na chwilę oczy i spotkały się ze źrenicami ociemniałego.

Nieogolona twarz była bladą i wzburzoną, a usta przymuszały się do uśmiechu.

Lecz najokropniejszemi wydały się Maisie owe oczy, w których światło zagasło już na zawsze.

— I któż cię prosi o cokolwiek, Maisie? Mówiłem, że wszystko już dla mnie skończone. Niczego nie żądam, niczego. ...Na miłość Boską, nie płacz, to nie warto.

— Ty nie wiesz jak się nienawidzę, jak ja sobą pogardzam. Oh! Dick, Dick!

Łkania stawały się coraz gwałtowniejsze i zaczynały przerażać Dicka.

Podszedł do niej poomacku i opasał ramieniem jej kibić; głowa Maisie opadła na jego ramię.

— Cicho, najdroższa, cicho. Nie płacz. Nie masz sobie nic do wyrzucenia... nie miałaś nigdy. Zmęczyła cię i rozdrażniła podróż, a zapewne i głodną być musisz. Ręczę, żeś nie jadła śniadania. Co to za bydlę z tego Torpenhowa, żeby sprowadzać cię tutaj.

— Sama chciałam przyjechać. Doprawdy, że sama chciałam — zaprotestowała dziewczyna.

— Przyjechałaś i zobaczyłaś; jestem ci wdzięczny niewymownie. Jak się trochę uspokoisz, trzeba, żebyś poszła co zjeść. Jakąż miałaś przeprawę? Czy morze było spokojne?

Maisie opanowywała swe wzburzenie.

Po raz pierwszy w życiu rada była, że ma się na kim oprzeć.

Dick głaskał ją po ramieniu czule, choć bardzo nieśmiało, bo nie wiedział dobrze, gdzie jest właściwie jej ramię.

Wreszcie wysunęła się z jego objęć i czekała wyroku, cała drżąca i bardzo stroskana.

On dowlókł się powoli do okna, aby pomiędzy nią a sobą pozostawić jak najwięcej przestrzeni i uspokoić burzę, szalejącą w sercu.

— Czy ci teraz lepiej? — zapytał wreszcie.

— Tak, ale mną nie pogardzaj.

— Ja! miałbym tobą pogardzać! Mój Boże! Ja!

— Czy... czy mogę ci się zdać na co? Jeżeli zechcesz, pozostanę w Anglii, byle spełnić, co sobie będziesz życzył. Możebym mogła przychodzić tu i odwiedzać cię od czasu do czasu.

— Dziękuję ci, najdroższa. Wolałbym, żebyś mnie wcale nie widywała. Nie przychodź tu już nigdy, proszę. To będzie lepiej daleko. Boję się obrazić cię... ale... wolałbym, żebyś już odeszła. Nie sądź, że jestem niewdzięczny.... to nie dlatego.

Czuł, że byłby niezdolny zapanować nad sobą gdyby przeciągnęła się jeszcze ta tortura.

— Warta jestem takiej odprawy. Idę już. Oh! Dick, jakżem ja nikczemna!

— Dziecińsiwo! Co o tem mówić, nie masz powodu do wyrzutów. Powiedziałbym ci, gdybyś miała. Zatrzymaj się jeszcze chwilkę, najdroższa. Chciałbym ci coś ofiarować, zanim odejdziesz. Przeznaczałem to dla ciebie, jeszcze przedtem, zanim mnie nawiedziło to utrapienie. Mówię o Melancholii. Gdym ją widział po raz ostatni, była cudowna. Weź ją sobie, a gdybyś kiedy zubożała, to sprzedaj. Warta jest co najmniej kilkaset funtów. Każdy znawca da tyle, a amator może dać jeszcze więcej.

Zaczął szukać pomiędzy płótnami.

— Jest w czarnych ramkach mówił. — Czy to, co trzymam w ręku ma czarne ramki? Tak, to ona. Cóż o niej myślisz?

Podał Maisie jakąś jaskrawą bazgraninę bez żadnych konturów i wzrok wytężył, jak gdyby dla wyczytania na twarzy jej podziwu.

— No i cóż? — pytał wreszcie, biorąc jej milczenie za objaw zachwytu.

Głos jego był pełniejszy, dźwięczniejszy niż przed chwilą.

Dick wiedział, że mówi o najlepszem swojem dziele.

Maisie raz jeszcze popatrzała na tę różnobarwną plamę; brała ją szalona ochota wybuchnąć śmiechem.

Ale przez wzgląd na Dicka — choć był widocznie niespełna zmysłów — postanowiła sobie nie dać poznać po sobie wrażenia, jakie na niej sprawiała ta bazgrota.

Głos jej nabrzmiały był łzami, gdy odparła.

— Oh! Dick, to bardzo ładny obraz!

Dosłyszał ten jęk tłumiony i wziął go za należną sobie daninę.

— W takim razie zechcesz go może przyjąć odemnie — rzekł. — Poślę ci go do domu.

— Oh! Dobrze, dziękuję ci.... Ha! ha!

Musiała uciekać natychmiast, śmiech, gorszy stokroć i boleśniejszy od łez, dławił ją za gardło.

Zbiegła szybko po schodach, wsiadła do pierwszej lepszej dorożki i kazała się zawieść do domu.

Tu zasiadła w zakurzonej, brudnej pracowni i myślała o Dicku, w pełni młodości i siły rażonym ślepotą, bezużytecznym sprzęcie do końca życia a zastanawiała się także i nad sobą; oprócz żalu, wstydu i upokorzenia, doznawała jeszcze obawy przed wzgardą i gniewem rudowłosej dziewczyny.

Maisie po raz pierwszy w życiu obawiała się swej towarzyszki.

— Wszak on mnie o *to* nie prosił, niczego odemnie nie żądał — dowodziła sobie, a rozważając nad tem, większą jeszcze czuła dla siebie pogardę.

Tyle o Maisie. Nie będzie już o niej wzmianki w tej książce.

Dickowi przeznaczonem było jeszcze niejedno cierpienie.

Na razie najdotkliwszem mu było, że Maisie, oddaliła się bez słowa pożegnania.

Był szalenie zły na Torpenhowa, który naraził go na podobne upokorzenie i zakłócił spokój, zdobyty takim trudem.

Królowa wprawdzie błądzić nie mogła, lecz postępując tak, zraniła boleśnie najwierniejszego ze swych poddanych.

— Był to jedyny mój skarb, jedyny, i ten musiałem utracić — mówił sobie, gdy pierwsza rozpacz minęła i zdołał zebrać

myśli. — A Torp winszuje sobie zapewne tak świetnego pomysłu. Nie będę miał serca wyprowadzać go z błędu.

— Hola! — zawołał Torp, wchodząc do pokoju, w dwie godziny potem. — Wróciłem już. Jakże się czujesz?

— Torp, chodź-no tutaj.

Dick zakaszlał, namyślając się, co ma powiedzieć i jak to wyrazić.

— No, wstawaj i skacz z radości.

Torpenhow był uszczęśliwiony.

Zaczęli, jak zwykle, chodzić po pokoju, ręka w rękę.

Dick pogrążony był w zadumie.

— Jakimże sposobem, u licha, dowiedziałeś się o wszystkiem? — zapytał wreszcie.

— Jeżeli chcesz mieć tajemnice, nie dostawaj gorączki. Było to bardzo niedyskretnie z mojej strony, ale gdybyś mnie był widział cwałującym na francuskiej szkapie kawaleryjskiej, po okropnym upale, ręczę, że śmiałbyś się na całe gardło.... Będzie dziś hałas w moim pokoju. Zbierze się nas siedmiu....

— Wiem... korespondenci wojenni już ściągnęli. W Sudanie południowym wybuchły zamieszki. Przed kilku dniami słyszałem ich narady i czułem się okropnie nieszczęśliwym. Czyś się już zdecydował na wyjazd? Z kim wszedłeś w układy?

— Nie przyjąłem dotychczas żadnego zobowiązania. Chciałem wpierw zobaczyć, jaki obrót wezmą twoje sprawy.

— Czy byłbyś ze mną pozostał, gdyby... gdyby rzeczy nie poszły po twojej myśli?

Stawiał to pytanie z wielką ostrożnością.

— Nie żądaj odemnie odpowiedzi. Jestem tylko człowiekiem.

— Bardzo skutecznie starałeś się być aniołem.

— Cóż znowu!... Czy chcesz być obecnym dziś przy naradach? Jutro połowa ich już się rozpierzchnie. Wszyscy są pewni wojny.

— Jeśli ci to wszystko jedno, wolę pozostać tutaj.

— Z myślami i marzeniami o przyszłości? Pozostań, stary, masz nad czem rozmyślać.

Owego wieczora straszny był hałas na schodach.

Korespondenci przybywali do Torpenhowa z teatru, z obiadów, z koncertów, aby obgadać plan przyszłej i niezawodnej kampanii.

Torpenhow, Keneu i Nilghai zaprosili wszystkich dawnych towarzyszów na ucztę.

Mister Beeton, rządca domu, oświadczył, że w życiu swem nie widział tak hałaśliwego grona *gentlemen'ów*.

W całym domu było ich słychać. Nikt z lokatorów nie mógł zmrużyć oka:

Śpiewali, krzyczeli, biegali po pokoju, a starsi nie byli lepsi, ani spokojniejsi od młodych.

Nie dziw: czekała ich wojna, a każdy z nich wiedział, jak się dla niego skończyć może.

Dick siedział w swoim pokoju: dolatywały go całe ustępy rozmowy; z początku te echa były mu przykre, lecz po pewnym czasie roześmiał się sam ze siebie.

— Gdy się zastanowić na chłodno, to doprawdy, sytuacya taka jest wysoce zabawną. Maisie ma słuszność. Nie wiedziałem dotychczas, że ona tak płakać potrafi.... Torp gotówby zostać tu ze mną, aby mnie doglądać i pocieszać. Można się po nim tego spodziewać. Przytem nie tak to miło przyznać, że się zostało odrzuconym, jak połamane krzesło. Muszę to znosić sam — jak zawsze. Jeśli wojny nie będzie i Torp się zmiarkuje, jak rzeczy stoją, no, to wydam mu się śmiesznym, i koniec. Jeśli wojna istotnie przyjdzie do skutku, to nie powinienem zagradzać człowiekowi drogi do karyery. Przyjaźń, przyjaźnią, a interes, interesem, zresztą ja potrzebuję samotności. Jakież oni wyprawiają hałasy!

Ktoś zapukał z całych sił do drzwi pracowni.

— Chodź do nas i pohulaj — wołał Nilghai.

— Chciałbym bardzo, ale nie mogę. Nie jestem usposobiony do hulanki.

— No, bo powiem chłopcom i wniosą cię, jak borsuka.

— Daj pokój, stary, proszę cię. Wolę być sam.

— Ha! jak chcesz! Możeby ci tu przysłać którego? Cassavetti zaczyna już zawodzić pieśni ze słonecznego Południa. Słyszysz?

Przez krótką chwilę Dick zastanawiał się nad tą propozycyą.

— Nie, dziękuję ci — rzekł wreszcie. — I tak mnie już głowa boli.

— Szczęśliwy oblubieńcze! To są skutki wzruszeń miłosnych. Winszuję ci, Dick, winszuję. I ja także przyjmowałem udział w spisku o twoje szczęście.

Idź do djabła, a przyszlij mi... Binkie'go.

Piesek wbiegł, wesoło wymachując ogonkiem, dumny widocznie z ważnej roli, jaką tego wieczora odegrał.

Pomagał przecie w chórach, przechodził z rąk do rąk, robiono sobie z niego wiele. Nie dziw zatem, że był rozbawiony; zaledwie jednak wbiegł do pracowni, natychmiast zrozumiał, że tu nie miejsce na wesołe podskoki i na objawy dobrego humoru, to też wskoczył na kolana Dicka i leżał tam cichutko, aż przyszła chwila spoczynku, potem położył się do łóżka obok Dicka, który liczył każde uderzenie zegaru i oka przez całą noc nie zmrużył.

Wstał jednak o zwykłej godzinie, uspokojony trochę, z myślami i uczuciami przyprowadzonemi do porządku.

Torp wszedł, aby mu powinszować formalnie przyszłego związku i opowiedzieć szczegółowo o nocnych naradach i zabawie.

— Nie wyglądasz wesoło, jak na narzeczonego? — dziwił się Torpenhow.

— Mniejsza o to. Dobrze mi zupełnie. Czy doprawdy odjeżdżasz?

— Tak. Umówiłem się z Syndykatem południowym, jak zwykle, tylko na lepszych daleko warunkach. Zatelegrafowali do mnie i przyjąłem.

— Kiedy odjeżdżasz?

— Pojutrze, do Brindisi.

— Dzięki Bogu!

Dick mówił to z głębi serca.

— Czuły jesteś, niema co! Chciałbyś mi się jak najprędzej pozbyć. Ale w takich chwilach życia, wolno każdemu być samolubnym.

— Ależ nie dlatego się cieszę, wierzaj mi. Czy zechcesz na ten czek podnieść dla mnie paręset funtów?

— To za mało na zagospodarowanie się.

— Oh! to tylko na koszta weselne.

Torpenhow przyniósł mu pieniądze, policzył, ułożył je w paczki, po pięć i dziesięć funtów i zamknął je do szuflady.

— Teraz zapewne będzie mi od rana do wieczora opowiadał cuda o swojej dziewczynie. Cierpliwości z zakochanymi, o nieba! — myślał Torpenhow.

Ale, obawy się nie ziściły.

Dick nie wspomniał o Maisie, ani też o swem małżeństwie.

Stał w drzwiach od pokoju Torpenhow'a, gdy ten pakował się do drogi i zasypywał go tysiącem pytań o zbliżającej się wojnie, układach, przeprawie i t.d., aż wreszcie Torpenhow'a zaczęło to gniewać.

— Ależ z ciebie skryta bestya, Dickie! Nie podzielisz się nawet radością z przyjacielem — zawołał.

— Et, co tam będę mówił... Jak ci się zdaje, ile potrwa ta wojna?

— Dnie, tygodnie, albo miesiące. Trudno z góry przewidzieć. Może nawet ciągnąć się lata.

— Żałuję, że z wami nie jadę.

— Tam do licha! Jesteś najdziwaczniejszy człowiek pod słońcem! Czyż zapomniałeś, że masz się żenić?

— Oh! nie, bynajmniej. Mam się żenić. Żenię się... tak, tak! Bardzo ci jestem wdzięczny, okropnie wdzięczny! Czy ci jeszcze nie podziękowałem?

— Wyglądasz jak gdybyś się miał wieszać, a nie żenić.

Nazajutrz Torpenhow pożegnał Dicka i pozostawił go w upragnionej samotności.

ROZDZIAŁ XIV.

— Przepraszam pana, panie Heldar, ale, ale czy wszystko pozostanie po dawnemu? — pytał rządca domu, mr. Beeton.

— Tak.

Dick dnia tego obudził się w gorszem jeszcze usposobieniu niż zazwyczaj i silniej odczuwał ciężar kalectwa.

— To nie moja rzecz, proszę pana i nie zwykłem się mieszać w cudze sprawy — ciągnął dalej mr. Beeton — ale p. Torpenhow na odjezdnem dawał mi do zrozumienia, że pan... przeprowadzi się do innego domu, gdzie panu będzie wygodniej, choć, co prawda, ja robię, co mogę, żeby panu dogodzić, nieprawdaż?

— Ah! Torp mówił zapewne o domu obłąkanych.... Nie, jeszcze się tam nie przenoszę. Tymczasem pozostanę tutaj. Dawaj mi pan śniadanie i zostaw mnie w spokoju.

— Przecież panu nie ubliżyłem. O ile to jest w ludzkiej mocy, dbam o wygody wszystkich lokatorów a zwłaszcza takich, których spotyka nieszczęście, tak jak pana, naprzykład, panie Heldar. Pan lubi smażone nóżki cielęce, nieprawdaż?... Zawsze sobie powiadam: „Mmniejsza o subjekcyę, mniejsza o koszt, byleś zadowolnił lokatorów i stołowników.“

Mr. Beeton odszedł, pozostawiając Dicka samym.

Od wyjazdu Torpenhowa minęło już sporo czasu; w pokojach nie było hałasów, Dick rozpoczął nowe życie, które uważał za nieszczęście, gorsze stokroć od śmierci.

Ciężko jest żyć samemu wśród ciemności, nie mogąc nocy od dnia odróżnić — tak dalece, że się kładzie spać w samo południe, z nudów, i budzi się północy.

Z początku Dick, obudziwszy się, wstawał, wlókł się na

korytarz pokojów umeblowanych, a gdy do uszu jego dolatywały chrapania. Po nich dopiero poznawał, że to noc i wracał znowu do pokoju sypialnego.

Po pewnym czasie przyzwyczaił się nie ruszać wcale aż dopóki na piętrze nie zapanowała wrzawa i dopóki mr. Beeton nie wchodził go obudzić.

Ubrawszy się — a ubieranie było robotą nielada, teraz gdy Torpenhow odjechał, bo trzeba było szukać kołnierzyka, krawata i tym podobnych artykułów toalety, które ukrywały się zawsze w jakimś dalekim końcu pokoju, a szukając je rozbijać sobie głowę o krzesła, kufry i komodę — otóż ubrawszy się, nie pozostawało nic innego, jak siedzieć spokojnie i myśleć, w przerwach pomiędzy trzema dziennemi posiłkami.

Wieki całe oddzielały pierwsze śniadanie od drugiego, i drugie od obiadu, a choć nieszczęśliwy kaleka modlił się i pragnął gorąco, aby mu rozum został odjęty, to przeciwnie władze umysłu zaostrzały się coraz bardziej, myśl stawała się coraz szybszą: jedna goniła drugą, ścierały się ze sobą z takim zgrzytem jak kamienie młyńskie, gdy niema między niemi mlewa.

Pomimo braku wątku ze świata zewnętrznego, myśl nie nurzyła się i nie dawała mu spokoju.

Przynosiła mu rozmaite wspomnienia. Przypomniała mu Maisie i przeszłą sławę, minione wrażenia, podróże po lądach i morzach, rozkosz, płynącą z tworzenia i z pozyskanej sławy; przedstawiała mu, co mógł był jeszcze dokonać, jakich wyżyn byłby dosięgnął, gdyby mu oczy nie odmówiły posłuszeństwa.

Gdy myśli te ustępowały, skutkiem znużenia, Dicka opanowywała obawa szalona wszystkiego: głodu, ognia, niedorzeczna obawa, aby niewidzialny sufit się nie zapadł, aby się nie załamała podłoga.

Dick przerażony, czepiał się poręczy krzesła, zimny pot występował mu na czoło, strach dusił go za gardło, aż dopóki brzęk talerzy nie zwiastował, że godzina posiłku nadeszła i że stawiają przed nim jedzenie.

Mr. Beeton przynosił je sam, gdy mu na to czasu starczyło. Dick oczekiwał z upragnieniem jego przybycia i rozmowy, toczącej się zazwyczaj o zepsutych gazometrach, o niewypłatnych lokatorach, o opieszałości kucharki i zuchwalstwie pokojówki.

Nawet trywialne gadaniny i plotki służących mogą być rozrywką, gdy niema się żadnej innej, a naprawa wodociągu staje się wiadomością tak sensacyjną, że dostarcza wątku do rozmowy na dzień cały.

Parę razy na tydzień, mr. Beeton, idąc po zakupy na targ, brał ze sobą Dicka, i podczas gdy przewodnik targował się do upadłego o ryby, polędwicę, tapiokę, musztardę i tak dalej, Dick przestępował z nogi na nogę i bawił się słoikami lub pudełkami, ustawionemi na sklepowych ladach.

Czasami spotykali którego z przyjaciół mr. Beetona, wówczas Dick stawał na uboczu i czekał spokojnie, aż mr. Beeton raczy ukończyć rozmowę i iść z nim dalej.

Taki tryb życia pozbawił go ochoty do wszystkiego.

Dick przestał się golić—było to bowiem operacyą niebezpieczną—a do balwierza nie chodził, aby nie wystawiać kalectwa swego na widok publiczny.

Nie mógł także dopilnować, aby mu oczyszczono porządnie ubrania, a ponieważ nigdy nie dbał zbytnio o swoją powierzchowność, więc obecnie stał się zupełnie zaniedbanym.

Człowiek ociemniały, nie może jeść porządnie, przynajmniej dopóki się do stanu swego nie przyzwyczai. Bywa też zwykle oszukiwanym, gdyż służba, widząc że tego nie spostrzeże, spełnia jego rozkazy byle jak lub nie spełnia ich wcale.

Choćby nawet niewidomy poznał się na tem, nic mu innego nie pozostaje, jak udać, że nic nie miarkuje.

Jeśli chce się rozerwać, może wyciągać obcęgami z kosza jeden kawałek węgla po drugim, układając je na stos przed kominkiem, licząc kawałki i wrzucając je potem napowrót do kosza, jeden po drugim.

Może zadawać sobie mnożenia i dzielenia i rozwiązywać

je pamięciowo; może rozmawiać ze sobą lub z kotem, jeśli go takowy odwiedzi; może także podejść do szafki z książkami i liczyć tomy lub je układać wedle wielkości; może otworzyć szuflady w komodzie i liczyć wszystkie części bielizny i garderoby, przekładać je z szuflady na stół i ze stołu do szuflady; a jeśli był dawniej artystą, to może szkicować palcem w powietrzu lub na ścianie.

Ale nawet tak urozmaicone rozrywki znudzą się po pewnym czasie, a czas wogóle upływać będzie strasznie wolno.

Dickowi dozwolonem było przerzucać i układać w dużej skrzyni, w której mr. Beeton trzymał młotki, gwoździe, butelki, sznurki i t.d.

— Jak nie mam wszystkiego, co mi potrzeba pod ręką, to doprawdy tracę głowę. Pan nie ma pojęcia, ile takie pokoje umeblowane wymagają zachodu — mówił mr. Beeton. — Żal mi pana, bardzo mi pana żal. To los okropny. Możeby się pan czem zajął? Nieraz powiadam do żony: „Biedny ten pan Heldar, bo to gdyby był stary już zupełnie, albo choć w średnim wieku, to byłoby mu lżej w tem nieszczęściu, ale to jeszcze zupełnie młody człowiek. Dlatego to właśnie takie okropne.“

— Hm! zapewne — mruknął Dick, który zobojętniał już na wszystko, tak dalece, że nie gniewały go już nawet objawy litości.

— To też myślałem sobie — ciągnął dalej mr. Beeton — że panu byłoby może przyjemnie, gdyby od czasu do czasu chłopak mój, Alf, odczytał panu dzienniki wieczorne. Pięknie czyta, choć ma dopiero lat dziewięć.

— I owszem, byłbym panu wdzięczny — odparł Dick — i postaram się, aby mu się to opłaciło.

— Oh! myśmy o *tem* wcale nie myśleli, ale, naturalnie, pan zrobi, jak zechce.

— Niechże dziś wieczorem przyjdzie do mnie z gazetami.

Alf był nieznośnym chłopcem, pomimo, lub może właśnie dlatego, że miał najlepsze stopnie w klasie i pięknie czytał,

a jeszcze piękniej śpiewał hymny, z czego był niesłychanie dumnym.

Mr. Beeton pozostał w pokoju, przysłuchując się z rozkoszą, jak jego jedynak głosem piskliwym zawodził długi psalm ośmiozwrotkowy.

Wysłuchawszy komplementów Dicka, wyszedł. Chłopak pozostał, aby odczytać telegramy zagraniczne.

W dziesięć minut potem, Alf wpadł do mieszkania rodziców, blady i cały wzburzony.

— Powiedział, że nie może już tego słuchać dalej! — oświadczył malec.

— Przecież nie mógł ci powiedzieć, że źle czytasz? — odezwała się mrs. Beeton z macierzyńską dumą.

— Nie. I owszem, mówił, że czytam ślicznie. Mówił, że nigdy jeszcze nie słyszał takiego czytania, ale, że nie może słuchać tego, co piszą w gazecie.

— Zapewne stracił pieniądze na giełdzie. Czy mu czytałeś sprawozdania giełdowe?

— Nie, tylko o jakichś bitwach — tam gdzie to poszli żołnierze... długi taki kawałek drukowany małemi literkami. Trudno było czytać, takie jakieś dziwne słowa. Dał mi pół suwerena za to, że tak ładnie czytałem, a powiedział, że na przyszły raz, jak zechce się czego dowiedzieć z gazet, to przyszle po mnie.

— Przyjemnie mi to usłyszeć, ale za tego pół suwerena — wrzuć go do skarbonki, Alf, tylko zaraz, żebym wiedział, że rzucasz — otóż za tego pół suwerena, to zdaje mi się, że mógł cię trzymać dłużej. Nie miał nawet czasu zasmakować w twojem czytaniu — mówiła mrs. Beeton.

— Lepiej go zostawić w spokoju. Gentlemen'owie, jak mają jakie zmartwienie, lubią być sami — oświadczył mr. Beeton z miną głębokiego znawcy ludzkiego serca

Korespondencya Torpenhowa w dzienniku wieczornym, niedostępna dla pojęcia Alfa, w sercu ociemniałego zbudziła drzemiącego szatana niepokoju.

Wśród nosowego bąkania chłopca, słyszał krząkanie wielbłądów ustawionych w czworoboki w Suakinie; słyszał rozmowy i żarty żołnierzy nad kotłami ze strawą, czuł zapach prochu, niesiony wiatrem pustyni.

Owej nocy modlił się gorąco do Boga, aby mu rozum został odjęty, na dowód, że wart jest takiej łaski, przedstawiając, że dotychczas sam sobie życia nie odebrał.

W głębi jednak serca, Dick czuł dobrze, iż nie ma w tem żadnej zasługi; że od samobójstwa powstrzymywała go nie religia, lecz poczucie artystyczne i duma wrodzona.

Wytłómaczył sobie, że byłoby to banalnem zakończeniem sytuacyi tragicznej; zniewagą, wyrządzoną tak pełnemu grozy położeniu, zarówno jak i świadectwem tchórzostwa.

— Ciekaw też jestem — mówił do kota, który zajął miejsce Binkie'go w pracowni — ciekaw też jestem, jak długo to jeszcze potrwa. Mogę się utrzymać przez rok cały za owe sto funtów, które Torpenhow podniósł dla mnie z banku. Mam jeszcze dwa do trzech tysięcy funtów conajmniej, to starczy na lat dwadzieścia—do trzydziestu podobnej wegetacyi. Potem pozostanie mi tylko renta stu dwudziestu funtów rocznie, która do owego czasu powiększy się znacznie. Zastanówmy się więc. Mam dwadzieścia pięć lat; w trzydziestu pięciu człowiek jest w pełni sił; w czterdziestu pięciu—w średnim wieku, wkracza zazwyczaj na polityczną arenę; pięćdziesiąt pięć, „zmarł w młodym stosunkowo wieku lat pięćdziesięciu pięciu," jak piszą dzienniki. Bah! Jak tym ludziom pachnie życie! Sześćdziesiąt pięć, wstępuje się zaledwie na próg starości. Siedmdziesiąt pięć! I to nawet możliwe. Wielki Boże! Pięćdziesiąt lat jeszcze miałbym przebywać w tej ciemnicy! Ty zginiesz, koteczko i Beeton umrze i Torp już żyć nie będzie i Mai... wszyscy powymierają, tylko ja jeden tłuc się jeszcze będę po tym świecie, nie wiedząc, co zrobić z czasem i ze sobą. Żal mi siebie bardzo. Chciałbym też, żeby mnie kto inny pożałował. Widocznie już nie przeznaczono mi jest zwaryować przed śmiercią, ale cierpieć muszę i męczyć się coraz gorzej. Kie-

dyś poddadzą cię wiwisekcyi, biedny kotku!—oh! jakże mi cię żal—wówczas rozłożą cię na stole, przekroją cię na dwoje, oh! nie bój się, zrobią to bardzo ostrożnie, żeby cię życia nie pozbawiać. Żyć będziesz dalej i wtedy dopiero pożałujesz, żeś mnie nie żałowała dzisiaj. A może Torp powróci, albo... chciałbym bardzo pojechać do Torpa i do Nilghai'ego, choćbym im nawet zawadzał.

Kot wyszedł z pokoju, nie czekając końca tego monologu; gdy po chwili wszedł Alf, zastał Dicka przemawiającego do pustego krzesła.

— Jest list do pana - rzekł. — Może pan chce, żebym przeczytał?

— Daj mi go na chwilę do ręki, a powiem ci.

Wyciągnięta ręka drżała trochę, a głos był niepewnym.

Niepodobna przecież, aby ten list... był od Maisie.

Znał aż nadto dobrze wagę i kształt trzech nieotwartych kopert... nie taka nadzieja, była niedorzeczną.

Dick zapomniał w owej chwili, że są krzywdy tak wielkie, iż ten, który je wyrządził, naprawić ich nie może, choćby z całego serca tego pragnął.

Nalepiej zapomnieć o takich krzywdach, czy to się je wyrządziło innym lub też doświadczyło samemu, albowiem to co się stało, odstać się już nigdy nie może.

— Możesz przeczytać — rzekł Dick po chwili.

Alf zaczął z wielkim patosem, tak jak go uczono czytać hymny w szkole:

„Mogłam ci dać miłość, mogłam ci dać poświęcenie bez granic! Czy sądzisz, że m n i e zraziłby twój stan obecny? Ale ty przeszedłeś obok mnie obojętnie, życie swe oddałeś w inne ręce. Jedynem twem usprawiedliwieniem, żeś bardzo jeszcze młody!“

— Tylko tyle — rzekł Alf, oddając papier Dickowi, który w tejże chwili wrzucił go do ognia.

— Co było w liście?—pytała mrs. Beeton, gdy Alf powrócił.

— Nie zrozumiałem. Zdaje mi się, że to był jakiś cyrkularz albo tekst do kazania.

— Musiałem nastąpić na czyjeś serce, gdy byłem jeszcze czyłowiekiem żywym; teraz ten ktoś podskoczył i kąsa mnie. Ha! a może to tylko żart. Lecz wątpię, czy ktokolwiek na świecie zadałby sobie trud żartowania ze mnie... Wszyscy o mnie zapomnieli... Miłość i poświęcenie za darmo... To prawdziwa pokusa. Ciekaw też jestem, czy doprawdy straciłem bezwiednie te skarby.

Dick rozpamiętywał długo, lecz nie mógł sobie przypomnieć, jak i kiedy miał sposobność je pozyskać.

List ten jednak dotknął rany niezabliźnionej jeszcze i wzniecił w nim znowu bunty; szalały przez dzień i noc całą.

Serce jego było tak pełne rozpaczy, że miejsca już na nie brakło, dusza zapadała się jakby w ciemność i przepaść bezbrzeżną; ogarniała go szalona tęsknota do światła

Lecz światło na zawsze już zagasło.

Gdy ów paroksyzm zmęczył fizycznie Dicka, gdy spocony, obezwładniony upadł na łóżko, jak ciało bez duszy, nastąpiło odrętwienie chwilowe, a po nim krótki sen i wraz z nim pożądana utrata świadomości.

Lecz pierwszą myślą po przebudzeniu była znowu myśl o Maisie i o tem wszystkiem, co utracił bezpowrotnie.

W tej właśnie fazie zastał go mr. Beeton i zaproponował mu przechadzkę.

— Nie pójdziemy już na targ, ale do Parku, jeżeli pan sobie życzysz.

— Niech djabli porwę Park — zawołał Dick. — Będziemy chodzili po ulicach. Lubię słyszeć naokoło siebie gwar ludzki.

Dick kłamał.

Ociemniali w pierwszych latach kalectwa nie znoszą tych, którzy mogą poruszać się swobodnie; ale Dick nie chciał iść do Parku.

Raz tylko, raz jeden, od czasu jak Maisie go odtrąciła, chodził tam pod opieką Alfa.

Alf zapomniał o nim zupełnie i biegał po alejach z jakiemiś towarzyszami.

Po półgodzinem oczekiwaniu, Dick, bliski płaczu, zaczepił jakiegoś przechodnia, który oddał go pod opiekę uprzejmego policyanta, a ten podprowadził go do dorożki.

Dick nie wspomniał mr. Beetonowi o dziecinnej pustocie Alfa, lecz... nie takie bywały jego przechadzki po Parku dawnemi czasy.

— Gdzie pan chcesz iść? — pytał mr. Beeton uprzejmie.

Najmilszem wedle niego spędzeniem czasu było roztasować się na trawie w Green Parku z rodziną i prowizyami.

— Chodźmy brzegami rzeki — zaproponował Dick, jakoż trzymali się wybrzeża; plusk wody miłym był dla ucha malarza, który tak mistrzowsko umiał przelewać wodę na płótno.

W ten sposób doszli do mostu Blackfriar, a ztamtąd skierowali się na Waterloo Road.

Po drodze mr. Beeton opowiadał Dickowi o pięknościach przebywanych miejsc.

Nagle przerwał swe malownicze opisy.

— Ot — zawołał — po tamtej stronie trotuaru idzie właśnie dziewczyna, którą pan malował dawniej. Ja mam dobre oko. Nie zapomnę nigdy twarzy, którą, raz bodaj, widziałem, ale za to nie dopisuje mi pamięć do nazwisk, zapominam każde... oprócz nazwisk wypłatnych lokatorów, ma się rozumieć.

— Zatrzymaj ją pan — rzekł Dick. — To Bessie Broke. Powiedz jej, że chciałbym z nią pogadać. Tylko spiesz się pan, prędko.

Mr. Beeton przeszedł środkiem ulicy, nie zważając na omnibusy i dorożki i zaczepił Bessie.

Poznała odrazu człowieka, który stał zwykle na korytarzu lub na schodach i patrzał na nią pogardliwie, gdy szła do pracowni Dicka.

— Wszak to panienka służyła za model panu Heldar? — rzekł mr. Beeton, zastępując jej drogę. — Tak, poznaję. On tam stoi po drugiej stronie ulicy i chciałby z panienką pogadać.

— Dlaczego? — spytała Bessie lękliwie.

Przypominała sobie doskonale pewien figiel z ukończonym wieżo obrazem.

— Dlaczego? albo ja wiem — odparł mr. Beeton. — Pewno już się stęsknił za panienką. On teraz taki biedny, ślepy!

— Jakto?

— No, tak, nic nie widzi. To on, widzisz go panienka, ot tam, na trotuarze.

Dick stał oparty o poręcz mostu, z nieogoloną brodą, w pomiętym i poplamionym tużurku; wyglądał okropnie.

Nie było się czego obawiać takiego człowieka.

Choćby nawet chciał ją dogonić, Bessie pewna była, że nie pobiegłby daleko.

Przeszła więc przez ulicę.

Na dźwięk jej głosu twarz Dicka się rozjaśniła.

Tak dawno już nie słyszał zwróconego do siebie głosu kobiety.

— Jakżeż pańskie zdrowie, panie Heldar? — spytała Bessie trochę zmieszana.

Mr. Beeton stał opodal z miną ambasadora i patrzał się protekcyonalnie na tych dwoje.

— Zdrów jestem, aż nadto zdrów i rad że cię widzę... właściwie, że cię słyszę znowu, Bessie. Że też nawet do nas nie zajrzałaś po wzięciu pieniędzy. To niełądnie. Gdzie teraz idziesz?

— Szłam sobie, ot tak, na spacer — odparła Bessie.

— Co teraz robisz?

— Jestem kielnerką w piwiarni. Mam cały wieczór i pół nocy zajęte. W dzień jestem wolna.

Mr. Beeton, uważając, że jest zbytecznym, skorzystał z tego, aby się ulotnić.

Bessie patrzała na jego odwrót z pewnym niepokojem, lecz skoro Dick zdawał się nie wiedzieć o wyrządzonej mu przez nią krzywdzie, nie miała więc czego się obawiać.

— Moje zajęcie jest uciążliwe. Trzeba się nabiegać, że aż nogi spuchną! Ale przynajmniej jest jaki taki dochód, no i praca bardzo szlachetna, delikatna.

— O tak — potwierdził Dick. — Mr. Beeton... gdzież on się podział?

— Odszedł.

— Przykro mi bardzo, ale będę cię musiał poprosić, abyś mnie odprowadziła do domu. Nie żądam tego darmo. Bądź spokojna.... Ale może ci to z drogi. W takim razie, zawołam policyanta.

— Oh! bynajmniej. Do piwiarni idę dopiero o siódmej wieczór, a wychodzę o czwartej zrana.

— Chodźmy, Bess.

Odwracając się potrącił jakiegoś przechodnia, który omal nie upadł, przyczem zaklął okropnie.

Bessie wzięła Dicka pod rękę; przez jakiś czas szli w milczeniu.

— A gdzie... gdzie jest p. Torpenhow? — spytała wreszcie.

— Pojechał znowu na pustynię.

— Gdzie to?

Dick wskazał ręką na prawo.

— Na wschód od ujścia Tamizy — objaśniał — potem na zachód, potem na południe, a potem znowu na wschód, wzdłuż dolnej części Europy, potem znowu na południe, Bóg wie jak daleko.

Tłómaczenie to nie objaśniło wcale Bessie, lecz nie okazała tego i prowadziła dalej Dicka z całą troskliwością, aż do samego domu.

— Napijemy się herbaty z grzankami — zawołał wesoło.— Nie potrafię ci nawet wyrazić, Bessie, jak jestem rad, żem cię spotkał. Dlaczegóżeś się nie pokazywała?

— Nie wiedziałam, że pan będzie mnie jeszcze potrzebował — rzekła, ośmielona jego widoczną nieświadomością.

— Nie potrzebuję cię już... jako modelki, ale towarzystwo twoje jest mi miłem. Znasz schody?

Bessie zaprowadziła go aż na siódme piętro, do jego pracowni.

— Jakiż tutaj nieład — zawołała na wstępie — nikt tutaj nie sprzątał od nie wiem jak dawna.

— Od kilku tygodni. Trudno, żeby się starali. Wiedzą, że nic nie dostrzegę i korzystają. To trudno.

— Powinni jednak dbać o pana, bo dostają za to dobre pieniądze. Co to za kurz okropny! Całe stalugi pokryte na trzy cale.

— Nie używam ich teraz.

— A na obrazy, na podłogę, na pańskie ubranie aż strach spojrzeć! Chciałbym też zobaczyć tę pokojówkę!

— Zadzwoń, żeby przynieśli herbatę.

Dick dowlókł się do krzesła, na którem siadywał zazwyczaj.

Bessie czuła swoją przewagę i odbijało się to w całem jej zachowaniu, w głosie.

— Od jak dawna jesteś pan taki... taki... — rzekła ze złością, jak gdyby ślepota była jednem z przewinień pokojówki.

— Jaki?

— No, taki jak teraz.

— Spotkało mnie to nazajutrz po twojem odejściu, zaraz prawie po ukończeniu obrazu. Nie przyjrzałem mu się nawet dobrze.

— Oh! od tego czasu, oszukiwali pana ciągle, ja ich znam...

Kobieta może kochać jednego, a nienawidzieć drugiego, lecz zazwyczaj nie pozwoli nikomu, o ile to jest w jej mocy, oszukiwać tego, którego nienawidzi.

Jej ukochany może sam dbać o siebie, lecz tamten, będąc w jej mniemaniu, upośledzonym na umyśle, potrzebuje opieki.

— Nie sądzę, aby mr. Beeton oszukiwał mnie tak bardzo — rzekł Dick.

Bessie kręciła się po pokoju, szelest jej spódnic mile łechtał ucho kaleki.

— Herbata z grzankami! — rzekła wyniośle, gdy na odgłos dzwonka do pokoju weszła służąca — dwa spodeczki, dwie łyżeczki. A nie przynoś imbryka, w którym podawaliście herbatę dawniej, jak tu przychodziłam. Ma dziobek wyszczerbiony. Podacie inny.

Pokojówka odeszła, zgorszona, Dick zaśmiał się; gdy jednak, Bessie coraz szybciej krzątała się po pokoju, wzniecając kłęby kurzawy, zaczął chrząkać, a potem kaszlać na dobre.

— Co ty tam robisz? — zapytał.

— Chcę choć trochę tu uprzątnąć. Ten pokoj wygląda na skład starych rupieci. Nie rozumiem doprawdy, jak mogłeś pan do tego dopuścić.

— Cóż mogłem poradzić. Zetrzyj kurze.

Bessie ścierała zapamiętale.

Po pewnym czasie do pokoju weszła mrs. Beeton.

Mąż jej, za powrotem ze spaceru, opowiedział jej o spotkaniu dawnej modelki, kończąc ulubionem przysłowiem:

„Nie czyń drugiemu, co tobie niemiło.“

Mrs. Beeton przybywała, aby zepchnąć na właściwe miejsce osobę, która żądała grzanek i imbryka całego, jak gdyby miała istotnie prawo do takich względów.

— Czy grzanki jeszcze nie gotowe? — zapytała Bessie, ścierając dalej kurz.

Dzięki pieniądzon Dicka, nie była już nędznie odzianą dziewczyną, lecz prawdziwą *lady*, w sukni kaszmirowej i kapeluszu z piórami i wstążkami.

To też śmiało stawiała czoło mrs. Beeton.

Kobiety zamieniły ze sobą bardzo wymowne spojrzenia, któreby ubawiły ogromnie Dicka, gdyby je mógł był widzieć.

Sytuacya rozstrzygnęła się w tym jednym rzucie oka.

Bessie odniosła zwycięstwo, mrs. Beeton powróciła do kuchni, dla przygotowania grzanek i czynienia przed mężem wcale nie pochlebnych uwag nad modelkami, lafiryndami i t.p.

— Nie trzeba się do niego wtrącać, Lizo — oświadczył mr. Beeton. — To do niczego nie doprowadzi. Alf, możesz wyjść sobie na spacer. Gdy mu się nie sprzeciwiać, to taki dobry i łagodny, jak baranek, ale jak mu tylko stanąć w poprzek, to staje się odrazu szatanem wcielonym. Od czasu jak oślepł, braliśmy wiele drobiazgów z jego pokoju. Są zupełnie bezużyteczne dla człowieka ociemniałego, to rzecz prosta, lecz

gdyby nas zapozwano przed sąd, bieda gotowa.... Przyprowadziłem mu tę dziewczynę, bo mam serce litościwe.

— Zbyt litościwe — mruknęła mrs. Beeton, kładąc grzanki na talerz.

— Nie wstydzę się tego, owszem dumny jestem z mojego szlachetnego serca — chwalił się mr. Beeton. — Niech ma rozrywkę, biedaczek. Należy mu się to zresztą. Płaci akuratnie za komorne. Słuchaj-no. Ja umiem się obchodzić z młodymi ludźmi, ty umiesz dla nich gotować i wszystko w porządku. Niech każdy pilnuje własnego interesu i tak będzie miał dość roboty. Zanieś grzanki, Lizo, a trzymaj język za zębami, żebyś mi się nie pokłóciła z Bessie. Los tego biednego gentlemana jest okropny, a gdy mu się sprzeciwić, to klnie takiemi słowami, jakich jeszcze w życiu nie słyszałem.

— No, teraz przynajmniej ten pokój nie wygląda na rupieciarnię — rzekła Bessie, zasiadając do herbaty. — Możesz odejść, mrs. Beeton, sami sobie usłużymy.

— Nie miałam wcale zamiaru usługiwać pani, upewniam.

Bessie udała, że nie słyszy: w ten sposób prawdziwe damy upokarzają swych przeciwników, a gdy się jest sklepową w pierwszorzędnej piwiarni, można zostać damą każdej chwili.

Oczy jej spoczęły na Dicku, siedzącym naprzeciwko, i żal go się jej zrobiło okropnie.

Ubranie z przodu miał całe poplamione resztkami jedzenia, brodę zapuszczoną, nieuczesaną porządnie; czoło powlokło się całą siecią zmarszczek, a włosy na skroniach przybrały kolor niezdecydowany, podobny bardzo do kurzu lub siwizny.

Opuszczenie i niedola tego człowieka przemówiły do serca dziewczyny, choć w głębi doznawała bardzo brzydkiej radości, iż ten, który ją wciąż poniżał, jest teraz sam zgnębiony, poniżony.

— Oh! jakże mi przyjemnie, że krzątasz się tutaj znowu — mówił Dick, zacierając ręce wesoło. — Opowiedz-że mi o twojem obecnem życiu.

— Mniejsza o mnie. Jestem teraz zupełnie przyzwoitą osobą... poznałbyś pan to odrazu, gdybyś mnie mógł widzieć. Ale panu widocznie niezbyt przyjemnie? Co pana pozbawiło wzroku? Dlaczego nikt się panem nie opiekuje?

Dick był tak uradowany dźwiękiem świeżego głosu kobiecego, iż nie słyszał pogardliwej jego intonacyi.

— Dawno bardzo temu otrzymałem cięcie w głowę i to mi oczy zepsuło. A że nikt mnie nie dogląda, to przypuszczam dlatego, że ja i moje losy nie obchodzą nikogo. Zresztą opieka mr. Beetona wystarcza mi najzupełniej.

— Czyż nie znałeś pan... będąc zdrowym, żadnych dam ani *gentlemenów*.

— Znałem ich mnóstwo, ale nie chcę ich teraz zaprzątać moją osobą.

— Dlatego to zapewne zapuściłeś pan brodę. Każ ją ostrzydz, bardzo z nią panu nie do twarzy.

— Hm! czy sądzisz, moje dziecię, że ja teraz dbam choć trochę, w czem mi jest, a w czem mi nie jest do twarzy.

— Powinieneś pan dbać. Niech tej brody nie będzie, jak ja tu na przyszły raz przyjdę.

— Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś przyszła i żal mi, żem był dla ciebie dawniej taki ostry. Zawsze cię drażniłem.

— O! tak, drażniłeś się pan ze mną, jak z pieskiem.

— Przykro mi to bardzo, daruj mi i odwiedzaj, jak możesz najczęściej. Niema na świecie żywej duszy, któraby chciała do mnie zaglądać, oprócz ciebie i mr. Beetona.

— Oh! bardzo się *on* o pana troszczy, a i *ona* także — zawołała Bessie, wzruszając gniewnie ramionami. — Zaniedbywali pana okropnie. Muszę w to wniknąć! O! tak będę tu pana odwiedzała z prawdziwą przyjemnością, ale musisz się pan dać ogolić i zmienić koniecznie ubranie.

— Mam gdzieś jakiś inny tużurek.

— Wiem, że pan masz. Każ go wyjąć mr. Beetonowi a ja go wyczyszczę i będę utrzymywała w porządku. Jesteś pan

wprawdzie ślepy, mr. Heldar, ale to nie racya, żebyś był brudasem.

— Czy teraz jestem brudasem?

— Niestety, tak. Bardzo mi pana żal! — zawołała gwałtownie i chwyciła go za ręce.

Machinalnie pochylił głowę, jak gdyby chciał ją pocałować — była jedyną kobietą, która się nad nim ulitowała, a on już pozbył się dumy i litość nie raniła go, jak dawniej.

— Oh! nic z tego, mój panie — rzekła — dopóki pan masz tę okropną brodę. Jak się umyjesz i ogolisz, to zobaczymy.

Słyszał, jak naciągała rękawiczki, i powstał, aby ją pożegnać.

Ona prześliznęła się po za nim, pocałowała go w szyję i pierzchła tak szybko, jak w dniu, gdy zniszczyła Melancholię.

— Czy mogłam przypuszczać, że *ja* pocałuję kiedykolwiek p. Heldar — mówiła do siebie — że go pocałuję po tem wszystkiem, co było między nami.... Oh! ale mi go żal bardzo; gdyby był ogolony, możnaby patrzeć na niego bez odrazy, ale.... Oh! ci Beetonowie, co to za ludzie niegodziwi! Wiem dobrze, że Beeton nosi jego koszule, jak gdybym je widziała na jego grzbiecie. Zobaczę jutro, przekonam się.... Ciekawa też jestem, ile on ma rocznego dochodu.... Możeby to było lepsze miejsce, niż posługa w piwiarni: nie miałabym dużo do roboty, a przytem stanowisko inne zupełnie.... Byłabym sobie panią, a z czasem kto wie, może—mistress Heldar! To brzmi wcale nieźle.

Dick był wdzięczny Bessie za jej dar pożegnalny.

Czuł go na karku przez noc całą; wśród wielu innych myśli i pragnień wzniecało to w nim jeszcze chęć jaknajszypszego ogolenia się.

Jakoż nazajutrz rano kazał się ogolić i odrazu zrobiło mu się lżej na sercu.

Świeży garnitur, czysta bielizna i przeświadczenie, że jest na świecie istota, która dba o jego powierzchowność, dodały mu otuchy; wyprostował się, przypomniał sobie, że jest

młody, odpędził wspomnienia Maisie, która, wśród innych okoliczności byłaby mu może dała taki sam pocałunek i milion innych w dodatku.

— Zastanówmy się nad sytuacyą — rzekł sobie po śniadaniu. — Dziewczyna, ma się rozumieć, tyle dba o mnie, co o śnieg zeszłoroczny, ale jeżeli pieniędzmi będę mógł zapewnić sobie jej troskliwość i pieczołowitość, to je sobie zapewnię. Nikt na świecie nie zajmuje się mną bezinteresownie, niechże przynajmniej dbają o mnie za pieniądze. Dam jej, ile zechce, byle tylko przychodziła porozmawiać i dopilnowała, abym miał wszystko, jak należy.

Pogłaskał się po świeżo wygolonej brodzie; niecierpliwiło go, że Bessie dotychczas niema.

— Musiałem istotnie wyglądać, jak brudas — myślał. — Czułem, że plamię sobie odzienie, ale na nic nie zważałem.... Byłoby bardzo brzydko z jej strony, gdyby nie przyszła.... Musi przyjść. Przyjdzie... o tak.... Maisie przyszła tu raz jeden tylko i to jej wystarczyło.... Miała racyę, jak zwykle.... Ona ma swoją robotę, swoje dążenia i cele. Ta dziewczyna ma tylko kufle do nalewania piwem. Powinna chyba się zgodzić.... Będę dla niej dobry, obsypię ją prezentami. Potrzebuję czuć obok siebie ruch, życie.... To mi przypomni dawne czasy.... Jestem bezużytecznym sprzętem, ślepcem... lecz, nawet taki grat, jak ja, ma przecież prawo do czegoś więcej, niż do trzech posiłków dziennie, do snu i powalanego tużurka.... Chciałbym, żeby przyszła.

Życzeniu jego stało się zadość.

Bessie pragnęła zmiany, uśmiechały jej się także materyalne korzyści, nadzieja błogiej bezczynności i dobrobytu do końca życia.

— Nie poznałabym pana — rzekła, wyrażając tem swe zadowolnienie. — Wyglądasz pan po dawnemu, na *gentlemana*.

— Czy nie znajdujesz, że wart jestem drugiego buziaka? — rzekł Dick, rumieniąc się zlekka.

— Być może — odparła — ale go pan jeszcze nie dosta-

niesz. Usiądź pan i powiedz mi, w czem mogę mu być pomocną. Jestem pewna, że mr. Beeton oszukuje pana haniebnie, wiedząc, że nie możesz pan teraz sprawdzać rachunków.

— Bo najlepiej byłoby, gdybyś zamieszkała ze mną i prowadziła mi gospodarstwo.

— Niepodobna urządzić się w ten sposób tutaj, pan wiesz dobrze.

— Wiem, ale moglibyśmy wziąść mieszkanie gdzieindziej; gdybyś tylko zechciała się mną opiekować.

— I owszem, doglądałabym pana, ale nie mogę przecież pracować na nas dwoje.

Miało to być zręcznym sposobem wybadania sytuacyi majątkowej niewidomego młodzieńca.

Dick roześmiał się.

— Czy pamiętasz, gdzie chowałem zwykle moją książkę bankową? — zapytał. — Torp przed wyjazdem podniósł dla mnie pewną sumą. Zobacz ile mam.

— Książka leżała zwykle pod pudełkiem z tytoniem.... Ah!

— No i cóż?

— Oh! Cztery tysiące dwieście dziesięć funtów, dziewięć szylingów i jeden pens. To nie byle co!

— Oddaję ci owego pensa. Kapitał ten jest owocem mojego rocznego zarobku. Czy taka suma, a w dodatku sto dwadzieścia funtów rocznej renty, jest, według ciebie, zapewnieniem dobrobytu?

Bezczynność i piękne suknie stawały się rzeczami dostępnemi dla Bessie; należało gospodarnością i zapobiegliwością dowieść, iż zasługuje na nie.

— O tak — odparła — to wcale ładny dochód; gdybyś się pan ztąd wyprowadzał, trzebaby zrobić spis wszystkich rzeczy, jakie pan tu miałeś. Zdaje mi się, że mr. Beeton usunął mnóstwo drobnych sprzętów. Pokoje te wydają mi się bardziej puste, niż dawniej.

— Mniejsza o to. Co wziął, nich sobie zatrzyma. Nie będę go pozywał o drobnostki. Jedyną rzeczą, o którą mi chodzi,

to ten obraz, do którego pozowałaś, wówczas gdym ci dokuczał i gdyś się złościła... pamiętasz?

— O tak — odparła z zakłopotaniem.

— Nie wiem doprawdy, gdzie osiąść, aby umknąć przed sobą samym, ale będę próbował zabić w sobie resztki dawnego człowieka, a ty, dostaniesz piękne suknie, kapelusze, okrywki, co tylko zechcesz. Lubisz się stroić, nieprawdaż? No, teraz mnie pocałuj, Bess. Mój Boże! jak to przyjemnie opasać ramieniem kibić kobiecą...

I czemuż ręka jego nie otaczała zręcznej figurki Maisie, czemu to nie jej usta wycisnęły na twarzy jego pocałunek!

— Przycisnął silniej dziewczynę do piersi, aby zdławić ból serdeczny.

Ona namyślała się w jakich słowach wytłómaczyć mu przypadek, który się zdarzył „Melancholii.“

Jeśli ten człowiek pragnął istotnie złączyć jej losy ze swemi — a popadł by z pewnością znowu w zaniedbanie i niechlujstwo, gdyby go odstąpiła — to dowiedziawszy się o tym figlu, będzie bardzo niezadowolniony.

Ciekawa była jednak przekonać się, co z tego wyniknie, a wedle jej teoryi, koniecznem było, aby mężczyzna obawiał się trochę kobiety.

Zaśmiała się nerwowo i wyśliznęła się z jego objęcia.

— Gdybym była na miejscu pana, nie chodziłoby mi wcale o ten obraz — zaczęła, w nadziei, iż słowami temi zwróci jego uwagę.

— Leży on gdzieś między innemi płótnami, na samym spodzie. Poszukaj go, Bess; znasz go przecie również dobrze, jak i ja.

— Znam go, ale....

— Ale co? Potrafisz może znaleść na niego nabywcę. Kobiety mają pod tym względem daleko więcej sprytu od mężczyzn. Powiększyłoby to... nasz majątek o jakie ośmdziesiąt do dziewięćdziesięciu funtów. Ostatniemi czasy zająć mi się tem nie chciało. Tyle przykrych wspomnień łączy się z tym obrazem... ale teraz odegnamy je wszystkie, nieprawdaż?

Teraz dopiero Bessie zaczynała biadać nad owym niefortunnym „figlem,“ pocieszała ją tylko myśl, że niewidomy przeceniał swe dzieło.

Wiadomo jej było przecież, że gentlemen'owie przywiązują wielką wagę do wszystkiego, co jest ich własnością.

Zachychotała dla nadania sobie otuchy, jak zwykły chychotać pokojówki, gdy chcą się przyznać do zrobionej szkody.

— Przykro mi bardzo — rzekła — ale czy przypominasz pan sobie, jaka byłam... zła na pana po odjeździe p. Torpenhow?

— Byłaś wściekła, drogie dziecię i teraz dopiero uznaję, że miałaś racyę.

— Otóż ja... ale czyż doprawdy p. Torpenhow nie powiedział panu tego?

— Czego?... Wytłómacz się.... Po co tyle gadaniny, lepiejbyś mnie pocałowała raz jeszcze.

Zaczynał rozumieć, iż pocałunki działają jak morfina: im więcej się ich bierze, tem więcej brać by się chciało.

Bessie musnęła go zaledwie ustami.

— Byłam bardzo zła na pana — szepnęła — i zamazałam obraz terpentyną. Pan się na mnie nie będzie gniewał, nieprawdaż?

— Co? powtórz to raz jeszcze.

Dick uchwycił ją za rękę.

— Zamazałam terpentyną, zeskrobałam farby nożem — bełkotała. — Pewna byłam, że pan wymaluje obraz nanowo!... Czy pan go przemalował? Oh! proszę puścić moją rękę... to mnie boli!

— Czy z obrazu nic nie zostało?

— N-nie, tylko mazanina... Przykro mi bardzo... nie wiedziałam, że pan tak dbasz o to. Zrobiłam to z figlów. Czy pan mnie chce bić?

— Bić!... Nie, ale muszę się zastanowić.

Nie wypuszczał jej ręki ze swego żelaznego uścisku; stał, z oczyma wlepionemi w podłogę.

Po chwili wstrząsnął głową, jak ranny jeleń, gdy rzuca się naprzód, aby pomimo broczącej krwi, umknąć przed pościgiem.

Już od wielu tygodni nie chciał myśleć o Melancholii, gdyż była cząstką jego zamarłego życia.

Pojawienie się Bessie w sercu jego wzbudziło nowe nadzieje, a także chęć upokorzenia tej, która nim pogardziła.

Przy pomocy dawnej modelki zamierzał sprzedać swój obraz; chciał raz jeszcze zakosztować sławy — pośmiertnej niejako, upokorzyć tem, zgnębić nielitościwą Maisie.

I oto, dzięki złośliwości głupiej dziewczyny, pierzchła ta nadzieja; nie miał się czem cieszyć, czego spodziewać, nawet tego, że z czasem przywiąże się do owej dziewczyny.

A co najgorsza, wystawił się na śmieszność w oczach Maisie.

Kobieta może darować mężczyźnie, który pracę całego jej życia obraca w niwecz, jeżeli ów mężczyzna ją kocha: mężczyzna może darować tym, którzy niweczą miłość całego jego życia, lecz nie daruje nigdy zniweczenia swej pracy.

— Tck — tck — tck — zasyczał Dick przez zaciśnięte zęby, za chwilę jednak się roześmiał.

— To zły znak, Bessie, po głębszej rozwadze, widzę, że słuszna to dla mnie kara. Ha! teraz rozumiem dlaczego Maisie uciekła tak nagle. Musiała mnie wziąść za waryata i nie dziw.... Powiadasz zatem, żeś obraz zamazała zupełnie. Dlaczego to zrobiłaś?

— Bo byłam zła okropnie, teraz już złą nie jestem, przykro mi, bardzo przykro i żal mi pana.

— To nic już nie pomoże, ale mniejsza o to. To moja wina, że mogłem taki błąd popełnić?

— Jaki błąd?

— Ty tego nie potrafisz zrozumieć. Wielkie nieba! Że też taka grudka błota, jak ty, zdołała mnie pozbawić równowagi.

Dick mówił do siebie, Bessie tymczasem usiłowała oswobodzić się z jego żelaznego uścisku.

— Ja nie jestem wcale grudką błota i nie powinieneś mnie pan tak nazywać! Zrobiłam to, bo wtedy pana nienawidziłam, a teraz żal mi, dlatego tylko, że pan jesteś, że pan jesteś....

— Rozumiem, dlatego tylko, że jestem ślepy.

Bessie wybuchnęła płaczem. Strach ją zdejmował wobec tej twarzy spokojnej, szyderczej, o martwem spojrzeniu, a przytem była zła, że jej zemsta rozśmieszyła tylko Dicka.

— Nie płacz — rzekł, tuląc ją w objęciach — zrobiłaś to przez głupotę i nie mam żalu do ciebie.

— Ja... ja nie jestem grudkę błota, jeżeli pan tak będziesz mnie nazywał, to już tu nigdy nie przyjdę.

— Nie rozumiesz nawet, jaką mi krzywdę wyrządziłaś. Nie gniewam się na ciebie, oh! nie, wierzaj mi. Uspokój-że się, choć na chwilę.

Bessie pozostała w jego objęciach, cała drżąca.

Dick, tuląc ją do siebie, myślał o Maisie, a myśl ta paliła go, jak rozgrzane do białości żelazo wypala ranę.

Mężczyzna nie może w uścisku kobiety niekochanej zapomnieć o tej, którą ukochał całem sercem; wspomnienie o niej wracać będzie ustawicznie, zatruwając jadem śmiertelnym każdą pieszczotę.

Ta męczarnia znana jest dobrze ludziom, którzy zostawszy odtrąceni przez jedną, poślubiają inną kobietę, przy jej boku tęskniąc tylko ustawicznie do tamtej, nielitościwej.

Lepiej jest stokroć pozostać samotnym i cierpieć nad osamotnieniem jedynie.

Takie i tym podobne myśli przelatywały przez głowę Dicka, podczas gdy przyciskał Bessie do serca.

— Zapewne nie wiesz o tem — rzekł, podnosząc głowę — ale Bóg jest Panem srogim i sprawiedliwym. To słuszna dla mnie kara, zupełnie słuszna. Torp zrozumiałby mnie, ty, naturalnie, zrozumieć nie możesz. Cierpiał przez ciebie, ale krótko bardzo. Ja go ocaliłem z twych szponów. Powinno mi to być poczytanem za zasługę, tam w górze.

— Puść mnie pan — mówiła Bessie, okropnie blada, zalękniona — pozwól mi odejść. Puść mnie pan.

— Wszystko w swoim czasie. Czy chodziłaś też kiedy do szkółki niedzielnej?

— Nigdy. Puść mnie pan, rozumiem doskonale, że stroisz pan sobie ze mnie drwiny.

— Doprawdy, że nie. Drwię z siebie samego....

Puścił jej rękę, ale ponieważ stał pomiędzy nią a drzwiami, wymknąć się nie mogła.

— Co za ogrom złego może wyrządzić jedna mała kobietka, ot taka.

— Przykro mi bardzo, przykro mi, że ten obraz....

— A mnie wcale nie przykro, i owszem, wdzięcznym ci jestem, żeś go zniszczyła.... I o czemże to mówiliśmy poprzednio? zanim wspomniałaś o owym „figlu?“

— Mówiliśmy o wyprowadzeniu się ztąd... o pieniądzach. Mieliśmy zamieszkać razem... pan ze mną.

— O! tak, wyruszymy, to jest właściwie, ja wyruszę.

— A ja?

— Ty dostaniesz pięćdziesiąt funtów, za to, żeś obraz zniszczyła.

— A więc pan już nie chce....

— Rozmyśliłem się. No, będziesz miała natomiast pięćdziesiąt funtów....

— Pan mówił, że nie potrafi sobie dać rady bezemnie.

— Przed chwilą byłem tego pewien. Teraz, dzięki tobie, czuję się silniejszy i zaradniejszy daleko. Podaj mi kapelusz.

— A jak nie podam?

— No, to mi poda Beeton, a ty stracisz pięćdziesiąt funtów. Tylko tyle. No, podaj-że.

Bessie zaklęła w duchu.

Z początku żałowała szczerze biednego niewidomego, i niemniej szczerze go całowała, bo nie był wcale brzydki; podobała jej się rola opiekunki, a przedewszystkiem uśmiechała jej się myśl dzielenia z nim czterech tysięcy funtów.

I potrzebnie ją język zaswędził!...

Teraz, przez obrzydliwe gadulstwo i iście kobiecą chętkę dokuczenia, straciła pieniądze, pożądaną bezczynność, ładne suknie, kapelusze i okrywki, towarzystwo gentlemana i szansę zostania z czasem prawdziwą *lady*.

— A teraz napchaj mi fajkę. Tytoń mi od pewnego czasu nie smakuje, ale mniejsza o to, przy fajce myśli łatwiej przychodzą a muszę się dobrze namyśleć i zastanowić. Jaki mamy dzień w tygodni?

— Wtorek.

— Parowce odpływają we czwartki. Jaki ja byłem osioł! jaki osioł! Przeprawa kosztuje marne dwadzieścia dwa funty. Liczmy jeszcze dziesięć na niespodziewane wydatki. Trzeba będzie stanąć u madame Binat... przez pamięć na dawne czasy. A zatem wszystko razem, trzydzieści dwa funty. Ze sto funtów będzie kosztować dostanie się na miejsce... wyobrażam sobie zdziwienie Torpa; a zatem sto dwadzieścia dwa funty; pozostaje jeszcze siedmdziesiąt ośm na *bakczysze*, to niezbędne, zwłaszcza w mojem położeniu.... Czemuż płaczesz, Bessie? W tem nie było wcale twojej winny, tylko moja, moja wyłącznie. Oh! ty zabawna małpeczko, otrzej-że oczy i prowadź mnie. Potrzebuję paszportu i książeczki czekowej. Zaczekaj chwilkę. Cztery tysiące funtów na cztery procent, wynosi sto sześćdziesiąt funtów rocznie; dodajmy do tego sto dwadzieścia funtów renty, to czyni razem .dwieście ośmdziesiąt, a dwieście ośmdziesiąt funtów rocznego dochodu, gdy się ma oprócz tego trzysta funtów rocznie, to utrzymanie królewskie dla samotnej kobiety. Bess, idźmy do banku.

Podniósłszy dwieście dziesięć funtów z Banku, Dick kazał się prowadzić oszołomionej tem wszystkiem dziewczynie do biura kompanii parowców atlantyckich.

— Port-Said, kabina pojedyncza pierwszej klasy, jaknajbliżej pokładu — zażądał u kasy. — Jaki odpływa okręt?

— „Colgang" — brzmiała odpowiedź kasyera.

— A kiedy?

— We czwartek, dwunasta czterdzieści.

— Dziękuję. Wydaj mi pan resztę. Mam bardzo słaby wzrok, zechciej mi ją pan położyć na dłoni.

— Gdyby wszyscy w ten sposób wykupywali bilety, zamiast rozprawiać i dopytywać się o bagaże, toby nie żal było żyć na tym świecie — mówił kasyer do swego pomocnika, który napróżno silił się wytłómaczyć zaniepokojonej matce, iż kondensowane mleko musi zastąpić na morzu świeże mleko krowie.

— No, teraz — zawołał Dick, gdy powrócili do pracowni, podnosząc w górę pugilares z pieniędzmi i biletem — no teraz jestem zabezpieczony przeciwko djabłu, mężczyźnie i kobiecie, co najważniejsza. Muszę przed czwartkiem załatwić trzy sprawy, lecz nie będę już potrzebował twojej pomocy, Bessie. Przyjdź tu we czwartek o dziewiątej zrana. Zjemy śniadanie, a potem odwieziesz mnie na stacyę.

— Dlaczego?

— Puszczam się w podróż. I po co mam tu siedzieć dłużej?

— Ależ pan nie potrafi sobie dać rady w drodze.

— Potrafię wszystko, co zechcę. Nie zdawałem sobie z tego sprawy dotychczas, ale teraz już nie wątpię. Dokazałem już wiele. Wart nawet jestem nagrody. No, pocałuj-że mnie, Bess.

Bessie odsunęła się pogardliwie z miną obrażonej królowej. Dick miny widzieć nie mógł, ale ruch ten zrozumiał i zaśmiał się serdecznie.

— Masz racyę. Lepiej dać pokój czułościom — rzekł. — A więc przyjdź pojutrze o dziewiątej zrana, a dostaniesz pieniądze.

— Czy dostanę z pewnością?

— Zwykle dotrzymuję danego słowa. Czy teraz dotrzymam czy nie, przekonasz się, jeżeli przyjdziesz. Och! jakże to jeszcze długo czekać! Dowidzenia Bessie, przyszlij mi tu Beetona.

Za chwilę zjawił się Beeton.

— Ile warte umeblowanie moich pokojów? — zapytał Dick wyniośle.

— Nie jestem taksatorem. Niektóre meble są bardzo ładne, inne zniszczone okropnie.

— Ubezpieczyłem całe umeblowanie na dwieście siedmdziesiąt funtów.

— Polisy asekuracyjne nie są miarą wartości, chociaż nie mówię....

— Oh! mniejsza o to co pan mówisz i myślisz! Skubałeś mnie i innych lokatorów, to też zebrał się już pewien kapitalik. Zamierzasz pan podobno otworzyć szynkownię. Odpowiadaj wprost na zadane pytanie. Ile warte są moje meble?

— Pięćdziesiąt funtów.

— Podwój tę sumę, bo inaczej połamię wszystkie moje laski na twoich plecach.

Dowlókł się do ślicznego mahoniowego biurka i odłamał jedną z jego nóżek.

— Ależ nie godzi się, to grzech wielki — mitygował mr. Beeton, mocno wylękniony.

— Mam prawo robić co mi się podoba z moją własnością. Dasz pan sto funtów, a nie to....

— Zgoda na sto funtów. Za samą naprawę tej nogi będę musiał zapłacić trzy funty, sześć szylingów.

— Niewątpliwie. Co też za łotr z pana, że śmiałeś mi proponować taką cenę!

— Zdaje mi się, że nie zasłużyłem sobie na niezadowolnienie żadnego z moich lokatorów i stołowników, a zwłaszcza pana.

— Lepiej o tem nie mówić. Przyniesiesz mi pan pieniądze jutro, a dojrzyj, aby zapakowano wszystkie moje rzeczy do skórzanego kuferka.

— Mam nadzieję, że pan zechcesz zapłacić za cały miesiąc, to nie moja wina, że pan się wyprowadza. Mieszkanie będzie stało pustkami. Nie tak łatwo o lokatora w środku kwartału.

— Zapłacę, co się będzie należało. Przygotuj pan mój bagaż, a teraz zostaw mnie w spokoju.

Państwo Beeton dziwili się temu nagłemu wyjazdowi, ona była przekonania, że to musi być sprawka Bessie. Małżonek jej nie podzielał tego zdania.

— To prawda, że wyjazd ten jest zupełnie niespodziewany, ale p. Heldar był zawsze szybki w swoich postanowieniach.

— Mr. Beeton! Mr. Beeton! — zabrzmiał nagle głos Dicka.— Gdzież u djabła są moje pistolety?

— Spiesz się, leć do niego. Pewnie zwaryował i chce sobie życie odebrać — nagliła mrs. Beeton.

Mr. Beeton zaczął mitygować Dicka, lecz upłynęło sporo czasu, zanim tenże, biegając po pokoju, jak zwierz zamknięty w klatce, zrozumiał wreszcie co znaczą obietnice „odszukania jutro wszystkiego co będzie potrzeba."

— Oh! stary durniu! Ośle skończony! Przypuszczasz zatem, że chcę się zastrzelić? — wrzasnął. — Szukaj, gdy ci powiadam. Pistolety muszą być gdzieś na spodzie kufra, pomiędzy rynsztunkiem wojennym.

Dick zachował bowiem całe uzbrojenie i umundurowanie po przebytej kampanii: a więc pistolety, krótki sztylet, płócienną marynarkę, takież spodnie, niebieskie kamasze, koszulę flanelową, flaszkę do wody i przyrządy rysunkowe.

Mr. Beeton wyjmował kolejno z kufra cały ten rynsztunek. Dick każdy przedmiot brał do ręki, pieścił się nim jakby. Odrzucił tylko z gniewem tekę i ołówki.

— To już mi niepotrzebne — mruknął — możesz to pan wziąść dla siebie. Resztę zachowam. Ułóż pan wszystko porządnie w prawym przedziale mojego podróżnego kuferka, a jak skończysz pakowanie, to przyjdź tu z żoną. Potrzebni mi jesteście oboje. Chwilkę jeszcze. Podaj mi pan arkusz papieru, atrament i pióro.

Niełatwo jest pisać gdy się jest ociemniałym, a Dick miał specyalne powody, dla których pragnął, aby pismo jego było czytelne.

Zaczął więc, kierując rękę po papierze.

„Piszę niewyraźnie, bo jestem ślepy i pióra widzieć nie mogę.“

— Hm! nawet prawnik nie znajdzie nic temu do zarzucenia. Dokument musi mieć mój podpis i podpis świadków.... No a teraz odstąpmy jedną linię....

„Taką jest ostatnia wola moja, Ryszarda Heldar. Jestem zupełnie zdrów na ciele i umyśle i nie sporządziłem innego testamentu, którybym odwoływał niniejszym.“

...Chyba dobrze.... Djabli z takiem piórem.... I gdzież się zatrzymałem na papierze?

„Pozostawiam wszystko, co posiadam, to jest cztery tysiące funtów w biletach bankowych i dwa tysiące siedm set funtów, złożone u....“

...Oh! znowu się zgubiłem....

Podarł kartkę i zaczął pisać nanowo, usiłując jak najrzadziej odrywać rękę od papieru.

„Pozostawiam cały mój majątek....“

— Dalej wypisane było nazwisko Maisie i wymienione dwa banki, w których Dick miał pieniądze.

— Nie jest to może zupełnie formalne — myślał — lecz nikt testamentu mojego obalać nie zechce, zresztą podałem dokładnie adres i nazwisko Maisie.... Chodź pan tu, mr. Beeton. Oto mój podpis. Widywałeś go dość często, aby go poznać. Życzę sobie, abyście oboje z żoną go poświadczyli.... Dziękuję. Jutro zaprowadzisz mnie pan do gospodarza domu. Zapłacę mu co się należy, a będę go także prosił, aby zachował u siebie ten dokument, na wypadek gdyby mnie spotkało jakie nieszczęście. No, a teraz rozpalcie ogień na kominku. Zostań pan tu przy mnie. Będziesz mi podawał papiery, który zażądam.

Dick oddał na pastwę płomieni wszystkie rachunki i nagromadzone w ciągu roku listy — wszystkie listy, oprócz trzech nierozpieczętowanych kopert: a zniszczył także albumy, szkice, całą tekę z rysunkami, wrzucił do ognia wszystkie obrazy.

— Ile to się nazbiera śmieci po każdym z lokatorów, jak tylko pomieszka dłużej! — rozważał mr. Beeton.

— Czy nic już nie pozostało?

Dick przeciągał ręką po ścianach.

— Nic, nic już niema — upewnił mr. Beeton.

— A pan straciłeś około tysiąca funtów, dzięki spaleniu tych szkiców.... Tak były warte tyle.

— Niewątpliwie — przytwierdził mr. Beeton z całą uprzejmością.

Pewien był, że Ryszard Heldar dostał pomieszania zmysłów, inaczej bowiem nie oddałby ślicznych swych mebli za czwartą część ich wartości istotnej.

Co zaś do płócien, lepiej że poszły w ogień, zabierałyby tylko miejsce niepotrzebnie.

Dick czołgał się po ziemi, zbierając z podłogi każdy świstek papieru, potem upewnił się jeszcze, że nie pozostało żadnego śladu po jego przeszłem i minionem bezpowrotnie życiu w szufladach od biurka i w komodzie, wreszcie zasiadł przy kominku i długo wśród nocnej ciszy czekał cierpliwie aż ogień zagaśnie.

ROZDZIAŁ XV.

— Żegnaj, Bess. Obiecałem ci pięćdziesiąt funtów. Oto masz sto, tyle, ile dostałem za meble od Beetona. Starczy ci na piękne stroje. Bądź co bądź, niezła z ciebie dziewczyna, lecz nawarzyłaś piwa niemało mnie i Torpenhow'owi.

— Kłaniaj się pan odemnie p. Torpenhow, jeśli go zobaczysz.

— Naturalnie, że go zobaczę. No, prowadź mnie przez ten tłum do moje kabiny.

— Kto się panem zaopiekuje na okręcie?

— Główny steward, jeżeli pieniądze zdołają mi zapewnić jego opiekę, co jest niewątpliwem. Potem Bóg opiekować się mną będzie, jak to czynił dotąd.

Bessie przeciskała się z trudnością wśród tłumu odprowadzających i spłakanych krewnych.

Gdy doszli do kabiny, Dick kazał sobie pokazać, gdzie co stoi, aby się obznajmić z topografią przyszłego swego mieszkania, również dobrze jak się był obeznał ze swemi pokojami w Londynie.

Potem kazał się zaprowadzić na pokład, okrążył go naokoło, poszedł do jadalnej sali, zamówił sobie miejsce przy stole, poczem wrócił do kabiny, pożegnał czule Bess, a po jej odejściu zabrał się do rozpakowania rzeczy i rozgościł się na dobre w prowizorycznym swym apartamencie.

Spędziwszy większą połowę życia na okręcie, czuł się tu jak w dobrze sobie znajomym domu. Wiedział, że da sobie rady i trafi wszędzie.

Gdy pierwsza radość minęła, biednego kalekę ogarnął sen dobroczynny, a to w samą porę, aby go ochronić od wspomnienia Maisie.

Dick obudził się dopiero, gdy statek wypływał na wody kanału.

Ociemniały ziewnął, przeciągnął się i wyszedł na pokład, gdzie się dowiedział, że znajdują się już w pobliżu Brighton.

Nie jest to wprawdzie pełne morze, lecz tem niemniej Dick czuł już działanie jego, wchłaniał przez otwarte usta i rozdęte nozdrza, ożywcze, przesiąknięte solą powietrze; słyszał plusk fali, rozbijającej się o boki statku i z rozkoszą przysłuchiwał się tym dźwiękom.

Cały dzień przesiedział na pomoście, paląc fajeczkę; czuł się zupełnie szczęśliwym, chwilami zapominał, że nie widzi; wyobraźnia i znajomość przebywanych miejsce zastępowały mu wzrok poniekąd.

Na morzu dozwolonem jest czepiać się stołów, lin i słupów, przechodząc z miejsca na miejsce. Na lądzie w człowieku, torującym sobie drogę rękoma, poznają odrazu niewidomego. Na morzu, nawet niewidomy, o ile nie jest dotknięty morską chorobą, może chodzić, rozmawiać i żartować.

Dick zawiązał znajomość z doktorem okrętowym, opowiadał mu mnóstwo dykterjek, palił z nim na pokładzie do późnej nocy i tak dalece zyskał sobie jego sympatyę, iż tenże obiecał, za przybyciem do Port-Said, poświęcić ociemniałemu kilka godzin.

Morze szumiało lub też leżało spokojnie, wedle kierunku wiatru; maszyny zawodziły swe pieśni we dnie i w nocy, słońce z każdym dniem przygrzewało silniej, pasażerowie byli coraz weselsi; wreszcie statek dopłynął do Port-Said.

— Zaprowadź mnie pan do *madame* Binat, jeśli wiesz gdzie to jest — rzekł Dick do doktora.

— Wiem, ma się rozumieć — brzmiała odpowiedź. — Coprawda, wybór trudny, lecz wiadomo panu zapewne, że jestto najnieuczciwszy hotel w całem mieście. Zaczną od zrabowania pana a skończą na źgnięciu go nożem.

— Oh! jestem o to spokojny. Zaprowadź mnie pan, gdzie mówię, a dam już sobie radę.

Dick wchłaniał pełną piersią dobrze sobie znaną woń Wschodu, roztaczającą się od Kanału Sueskiego do Hong-Kong; wsłuchiwał się z rozkoszą w dźwięki szkaradnej mowy, zwanej *lingua franca* na Lewancie.

Madame Binat, widząc Dicka wchodzącego do szynkowni, która była jednym z wielu źródeł jej dochodu, uśmiechnęła się, uśmiechem osoby, którą już nic na świecie zdziwić nie może.

Gdyby nie otaczające go ciemności, Dick mógł był sądzić, że nie wyjeżdżał wcale z Port-Said. Panowała tu zawsze ta sama wrzawa, rozlegały się te same przekleństwa.

Ktoś odkorkował butelkę *ginu* i odrębny jego zapach, przypomniał Dickowi *monsieur* Binat.

Po odejściu doktora (zgorszonego, iż w owej jaskini łotrów, przyjmowano tak gorąco jego towarzysza), Dick dowiedział się od *madame* Binat, że mąż jej już nie żyje. Wiadomość ta sprawiła mu pewną przykrość, złagodzoną znacznie radością z tak entuzyastycznego przyjęcia.

— Po roku nieobecności pamiętają mnie jeszcze tutaj —

myślał — wówczas gdy w Anglii wszyscy już o mnie zapomnieli. Madame Binat — rzekł głośno — pragnąłbym porozmawiać z panią dłużej, gdy będziesz już swobodna. Jak to miło znaleść się tu znowu!

Wieczorem zasiedli oboje przy stoliku, zastawionym butelkami, na podwórku. Po za ich plecami hotel wrzał od hałasów, śmiechu, przekleństw i najstraszniejszych pogróżek.

Na niebie zeszły gwiazdy, w porcie pozapalano latarnie i sygnały.

— O tak, wojna sprzyja bardzo handlowi — mówiła madame Binat — ale gdzież byłeś przez cały ten czas? Nie zapomnieliśmy cię, o nie!

— Byłem w Anglii. Spotkało mnie nieszczęście. Oślepłem.

— Tak, ale wpierw zdobyłeś sobie sławę. Doszła nawet tutaj i cieszyliśmy się nią oboje z Binat'em.... Poznawał swoją głowę na wielu pańskich rysunkach i śmiał się serdecznie, a czasem gorzko płakał. Za każdym razem, co przychodziły tu pisma ilustrowane, przeglądaliśmy je ciekawie, a jak były pańskie rysunki, to znajdowaliśmy w nich zawsze jaką twarz znajomą. O tak, zdobyłeś pan sobie sławę, a i pieniądze zapewne.

— Nie jestem biedny. Za wszystko hojnie zapłacę.

— Nie o to mi chodzi. Ja już jestem wynagrodzona.... Mój Boże — dodała z westchnieniem — oślepnąć w tak młodym wieku, to okropne!

Dick nie mógł widzieć twarzy jej, wyrażającej litość szczerą, ani też swojej, zoranej przedwczesnemi zmarszczkami, okolonej siwiejącym włosem.

Był teraz szczęśliwym zupełnie, pragnął tylko jak najprędrej połączyć się z kolumną i życzenie to przedstawił madame Binat.

— Jaką drogą chcesz jechać, młodzieńcze? — pytała. — Kanał zajęty przez okręty angielskie. Od czasu do czasu dają ognia z armat, jak przed dziesięciu laty, gdy była tutaj wojna. Po za Kairem biją się, lecz jakże się tam dostaniesz, nie mając paszportu korespondenta?

— Muszę jechać do Suakinu.

Wiedział, dzięki głośnemu czytaniu Alfa, iż Torpenhow znajdował się tam przy kolumnie, osłaniającej roboty około budowy linii kolejowej pomiędzy Suakinem i Berberem.

Madame Binat znała tu wszystkich, ona jedna mogła mu wskazać drogę i przewodnika.

— Dlaczego chcesz jechać koniecznie do Suakinu?

— Jest tam mój przyjaciel.

— Hm! a zatem przyjaciel twój już nie żyje. Ta pustynia pożera ludzi i domaga się wciąż nowych ofiar.

Madame Binat napełniła Dickowi kieliszek i przypatrywała mu się bacznie w świetle gwiazd.

— Muszę jechać do Suakinu — powtarzał Dick z uporem dziecka. — Obymyśl pani wszystko. Nie będę żałował pieniędzy.

— Dobrze, to już moja rzecz. Pojedziesz. Licz na moje słowo. A teraz posiedź tu chwilkę sam. Muszę wyjść do gości. Wrócę niedługo i zaprowadzę cię do numeru. Bądź spokojny! pojedziesz, pojedziesz.

— Czy jutro?

— Jak tylko będzie można najprędzej.

Mówiła, jak do dziecka, uspokajając go obietnicą.

Zostawiła młodzieńca przy stoliku. Siedział cichutko, przysłuchując się wrzaskom, dolatującym z hotelu, szmerom portu i ulicy, i czekając cierpliwie, aż madame Binat zaprowadzi go do łóżka i spać mu każe.

W hotelu tańczono, śpiewano, kłócono się; madame Binat przesuwała się wśród swych hałaśliwych gości, mając baczne oko na konsumentów, licząc każdy kieliszek likieru, a nie zapominając przytem o sprawie Dicka.

Dlatego to uśmiechała się słodko do wrzeszczących oficerów tureckich, była uprzejma dla cypryjskich urzędników z komisaryatu, a zupełnie czuła dla nieokreślonej narodowości właścicieli wielbłądów.

Wczesnym bardzo rankiem, ubrana w suknię balową z ognistej materyi jedwabnej i naszyjnik z fałszywych brylan-

tów, madame Binat zgotowała czekoladę i zaniosła ją sama do numeru Dicka.

— To tylko ja — rzekła — a wiek mój pozwala mi na taką poufałość, co? Wypij pan i zjedz ten rogalik. U nas, we Francyi, matki przynoszą czekoladę do łóżka synom, gdy są grzeczni i rozsądni. Wszystko już ułożone — oświadczyła z tryumfem, zasiadając na krawędzi łóżka. — Pojedziesz małym statkiem rządowym do inspekcyi latarni morskich. Będzie to kosztowało dziesięć funtów... Kapitan jest bardzo licho płatny przez rząd. Statek w cztery dni dopływa do Suakinu. Pojedzie z tobą także handlarz mułami, Grek Jerzy. I temu także trzeba dać dziesięć funtów. Pieniądze muszą przejść przez moje ręce. Nietrzeba, żeby wiedzieli, że to ty płacisz. Jerzy zaprowadzi cię do Suakinu, potem tutaj powróci, bo ma tu narzeczoną. Jeśli z Suakinu nie otrzymam od ciebie telegramu, że jesteś zdrów i cały, dziewczyna będzie odpowiadała za Jerzego.

— Dziękuję. — Wyciągnął rękę po filiżankę z czekoladą. — Prawdziwie jesteś pani dla mnie bardzo dobra.

— Gdybym mogła ci w czemkolwiek dopomódz i zająć się tobą, powiedziałabym ci: zostań; ale wątpię, czy toby było z twojem dobrem.

Spojrzała z gorzkim uśmiechem na suknię swą, poplamioną likierami i zakąskami.

— Nie, pojedziesz, musisz pojechać — dodała. — Tak będzie lepiej. Wierzaj mi, chłopcze, że tak będzie lepiej.

Pochyliła się i złożyła pocałunek na czole Dicka, pomiędzy oczami.

— To na dzień dobry — rzekła, odchodząc. — Jak się ubierzesz, pomówimy z Jerzym i przygotujemy się do drogi. Ale wpierw musimy otworzyć kuferek. Daj mi klucze.

— Zanadto mnie jakoś całują — myślał Dick. — Gotów jeszcze Torp rzucić mi się w objęcia na przywitanie.... A może przeklinać mnie będzie, że mu wchodzę w drogę... Oh! nie będę mu długo ciężarem, czuję to.... Hejże, madame Binat, po-

móż mi się przystroić po raz ostatni w życiu. Tam, na pustyni nikt nie będzie miał czasu zajmować się moją toaletą.

Dick z wielkiem namaszczeniem przywdziewał po kolei: flanelową koszulę, niebieskie spodnie, kurtkę płócienną, przymocowywał ostrogi.

— Wszystko musi być starannie nałożone i porządne — objaśniał — wkrótce się zawala, ale niech teraz przynajmniej czuję, że jestem ubrany przyzwoicie.

Dotknął rewolweru, ukrytego pod koszulą.

— Nic już dla ciebie więcej zrobić nie mogę — mówiła madame Binat, nawpół się śmiejąc, nawpół płacząc. — Teraz musisz sam dawać sobie rady.

— Nie bój się pani, potrafię. Wdzięczny pani jestem za to, coś dla mnie zrobiła. A teraz chodźmy do portu. Spiesz się pani.

— Ale nie możesz przecie pokazywać się w biały dzień ze mną na ulicy. Pomyśl tylko, gdyby nas zobaczyły jakie angielskie *ladies*, twoje znajome.

— Nie mam tu żadnych znajomych *ladies*, a choćby nawet były jakie, to pewno już o mnie zapomniały. Prowadź mnie pani do portu.

Pomimo gorączkowej niecierpliwości Dicka i ciągłego naglenia, wieczór już się zbliżał, gdy wreszcie statek, wyruszający na inspekcyę latarni morskich, odpłynął od brzegu.

Madame Binat bardzo gorąco zalecała i radziła kapitanowi i Jerzemu, aby jak najsumienniej spełnili swe zobowiązania względem ociemniałego angielskiego gentlemana; a ktokolwiek miał zaszczyt znać madame Binat, wiedział, że niebezpiecznie jest lekceważyć sobie jej zalecenia i rady. Kto się na coś podobnego odważył, mógł się spodziewać lada dzień, iż będzie pchnięty nożem przez jakiego nieznajomego w domu gry lub na ulicy, a to przy bardzo błahym powodzie do bójki.

Przez sześć dni płynął statek do Suakinu, gdzie miał zabrać głównego nadzorcę latarni morskich.

Dick w drodze zjednywał sobie, jak mógł, Jerzego.

Właściciel stada mułów przejęty był ustawicznemi obawami o bezpieczeństwo swej ukochanej, pozostającej pod opieką madame Binat.

Za przybyciem do Suakinu, Jerzy wziął Dicka pod swoje skrzydła; poszli razem do portu, zawalonego materyałami do budowy linii kolejowej pomiędzy Suakinem i Berberem; piętrzył się tam wybrakowany remanent, poczynając od szczątków lokomotyw aż do połamanych krzeseł i rozbitych flaszek.

— Jak się pan będzie mnie trzymał, to nikt się pana o paszport nie zapyta. Wszyscy tu tacy zajęci — objaśniał Jerzy.

— Chciałbym też posłyszeć mowę angielską. Możeby kto przypomniał mnie sobie. Byłem tu dobrze znany niegdyś... gdym jeszcze coś znaczył na świecie.... Ale to dawno temu.

— Och! jeżeli dawno, to pan nikogo znajomego nie spotkasz. Powymierali już z pewnością. Na cmentarzach miejsc już braknie. A teraz słuchaj pan. Ta nowa kolej idzie do Tanai-al-Hassan, to jest o siedm mil ztąd. Tam jest obóz. Mówią, że po za Tanai-el-Hassan wojska angielskie rozgościły się na dobre i że tą koleją idzie wszystko, co im jest potrzebne.

— Tak rozumiem, oszańcowali się w obozie. To lepiej i bezpieczniej, niż walczyć z Fuzzisami na otwartej przestrzeni.

— Dlatego też, wszystko, nawet muły, wyprawiane bywa w wagonach opancerzonych.

— Jakich?

— W wagonach obitych grubą blachą żelazną, bo do nich wciąż strzelają po drodze. Tylko ci, którzy pragną specyalnie jechać tym pociągiem, wsiadają do niego. Strzelanina zaczyna się zaraz za miastem.

— Oh! to dawny ich zwyczaj. Znam go dobrze.

Dick wchłaniał w siebie zapach prochu, żelastwa, farby, pokostu.

Były to wonie dobrze mu znane, przypominały mu dawne życie.

— Ja odjeżdżam dzisiaj z mułami, ale musisz pan wpierw

zatelegrafować do Port-Said, że nie zrobiłem panu żadnej krzywdy.

— Madame trzyma cię dobrze w ręku. Czy źgnąłbyś mnie nożem, gdybyś miał sposobność ku temu.

— Nie mam sposobności — odparł. — *Ona* tam jest w szponach tej jędzy.

— Rozumiem. Trudny to wybór pomiędzy uczuciem dla kobiety, a szansą rabunku. Współczuję ci zupełnie, mój Jerzy.

Doszli do urzędu telegraficznego.

Po drodze nikt ich nie pytał o żadne legitymacye, każdy bowiem spieszył się w swoją stronę, a zresztą nikomuby na myśl nie przyszło, iż można jechać do Suakinu dla przyjemności.

Gdy wracali z telegrafu, jakiś oficer zapytał Dicka, co tu robi.

— Pędzę muły, przysłane tu przez rząd egipski. Otrzymałem rozkaz dostawienia ich do Tanai-el-Hassan. Czy mam pokazć panu legitymacye? — zapytał z ręką opartą na ramieniu poganiacza.

— Oh! to zbyteczne. Przepraszam pana. Jeśli go zaczepiłem tem pytaniem, to dlatego tylko, że twarz pańska jest mi obcą.

— Odjeżdżam pociągiem wieczornym — odparł Dick śmiało. — Wszak nie będziecie mi robili trudności przy ładowaniu mułów, nieprawdaż?

— Widzisz pan ten wagon, to właśnie dla inwentarza. Musisz zająć się wcześniej ładowaniem.

Oficer oddalił się, zaciekawiony w duchu, co to za rodzaj człowieka, który wyrażał się jak prawdziwy gentleman a bratał się z jakimś poganiaczem mułów, wyglądającym na łotra skończonego.

Ani na chwilę nie przyszło mu na myśl, że rozmawiał przed chwilą z niewidomym.

Dick miał sobie za punkt honoru ukrywać swoje kalectwo przed światem, a że trzymał się prosto i szedł naprzód kro-

kiem pewnym, z zadartą butnie głową, nikt nie mógł przypuścić, że jest niewidomym.

Biedny kaleka czuł się nieszczęśliwszym jeszcze, niż w Londynie.

Wyobrażał sobie jak być mogło; myślał z goryczą o tem, co jest, i rozpacz ogarniała go znowu.

Jerzy podzielił się swoim posiłkiem z pupilem i odszedł do mułów.

Dick siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, a przed zagasłemi jego źrenicami migała uśmiechnięta twarzyczka Maisie.

Naokoło wrzał ruch, kipiało życie gorączkowe. Przeraził się go i zaczął wołać na Jerzego.

— No i jakże, czy załatwiłeś się pan z mułami? — zabrzmiał nad głową jego głos oficera.

— Zdałem to na mojego poganiacza.... Bo, bo, przyznam się panu, że dotknięty jestem oftalmią i źle bardzo widzę.

— O! to mi pana żal prawdziwie. Powinieneś poleżeć jakiś czas w szpitalu. I ja także przez to przechodziłem. To równa się prawie ślepocie.

— Zupełnie. Kiedyż odjeżdża opancerzony pociąg?

— O szóstej. A przeprawa, choć to tylko siedm mil drogi, trwa całą godzinę, czasem więcej.

— Czy Fuzzisowie dochodzą do szańców obozu?

— O! tak, nasi muszą ich odpierać conajmniej trzy razy na tydzień. Dziś właśnie ja jestem odkomenderowany do prowadzenia wieczornego pociągu. Zazwyczaj odchodzi pusty.

— Czy obóz duży?

— Dość duży.

— Czy to ztąd daleko?

— Trzydzieści do czterdziestu mil drogi okropnej, przez pustynię.

— Czy okolica pomiędzy stacyą a obozem jest bezpieczna?

— Mniej więcej. Nie chciałbym coprawda odbywać tej drogi sam lub nawet ze szczupłym oddziałem, ale podjazdy przebywają ją bez szwanku.

— Zawsze miały dużo zręczności pod tym względem?

— A więc nie pierwszy raz jesteś pan tutaj?

— Byłem podczas poprzedniej kampanii.

— Musiał służyć w wojsku i został zdegradowany.

Takie posądzenie przyszło na myśl oficerowi, to też powstrzymał się od zapytań.

— Oto wraca już pański poganiacz z mułami. Dziwi mnie jednak, że....

— Że ja prowadzę muły? — dokończył Dick.

— Trudno mi to było powiedzieć, ale istotnie, nie pojmuję jakim zbiegiem okoliczności... proszę mi tego nie poczytywać za impertynencyę... pojąć istotnie nie mogę.... Pan wyrażasz się, jak człowiek, który uczęszczał do szkół publicznych. To zaraz widać po paru słowach.

— Bo też istotnie, kończyłem szkoły.

— Tak mi się też zdawało odrazu. Przebaczy pan... nie chciałbym go urazić, ale widocznie powinęła się panu noga. Powiedziałem to sobie, widząc pana siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach. Dlatego to zbliżyłem się i przemówiłem do pana.

— Dziękuję. Wistocie jestem człowiekiem zupełnie złamanym, wykolejonym.

— Możeby pan zechciał, bo to widzi pan, i ja także byłem w szkołach, możeby pan zechciał przyjąć jaką pomoc.... To tylko koleżeńska usługa.

— O! dziękuję bardzo, ale mam dość pieniędzy na swoje potrzeby.... Mógłbyś pan jednak wyświadczyć mi przysługę, za którą byłbym mu niesłychanie wdzięczny. W pociągu opancerzonym musi być zapewne wagon dla zbrojnego oddziału.

— Istotnie. Zkąd pan wiesz o tem?

— Jechałem już kiedyś pociągiem takim. Otóż pozwól mi pan przyjrzeć się... przysłuchać się tej muzyce.... Jadę na własne ryzyko i udziału w strzelaninie brać nie będę.

Oficer namyślał się przez chwilę.

— Dobrze — rzekł wreszcie.

Jerzy przy pomocy wrzaskliwej zgrai, naładował muły do niskiego wagonu z małym okienkiem okratowanem.

Pociąg wyglądał jak jedna długa trumna.

Dwa pierwsze wagony przed lokomotywą były całe pokryte żelazną blachą; w pierwszym był na przodzie otwór na lawetę armatnią, w drugim mniejsze otwory w ścianach bocznych, na lufy karabinów.

Oba wagony tworzyły długą sklepioną z żelaza komnatę, w której umieszczony był oddział artyleryi.

Dick potrafił sobie odrazu zjednać żołnierzy. Przemówił ich językiem, był jakby dobrym znajomym.

Oficer dał sygnał odjazdu.

Pociąg ruszył.

— Jak widzę, zaszły ulepszenia w walce na otwartej przestrzeni z Fuzzisami — odezwał się Dick ze swego miejsca w kącie.

— To ich swoją drogą nie odstrasza.... O! zaczyna się już... słyszysz pan — rzekł podoficer; w chwili tej kula odbiła się o żelazny bok wagonu. — Miewamy zwykle po kilka podobnych demonstracyj podczas przejazdu nocnego pociągu. Zazwyczaj kule mierzą w drugi wagon, gdzie siedzi podoficer. Zazdroszczę mu nieraz tego koncertu.

Rozległ się nowy wystrzał, a po nim wrzaski i złorzeczenia.

Kula odbiła się o pancerz.

Dzieci pustyni bawiły się po swojemu: pociąg służył im niejako za tarczę strzelniczą.

— No, teraz my głos zabieramy — rzekł oficer do porucznika saperów, który stał przy armatce.

— Tak, trzeba ich zagłuszyć, bo będą tak pukali przez całą drogę.

Rozległ się huk potężny; dym, przeciskając się przez otwór, napełnił cały wagon.

W odpowiedzi zabrzmiały znowu odgłosy z pustyni.

Dzieci jej nie dawały tak łatwo za wygranę.

Dick rozciągnął się na podłodze, z rozkoszą przysłuchując się tym dźwiękom i wchłaniając w siebie zapach dymu i prochu.

— Oh! Bóg jest dobry — szeptał — straciłem już nadzieję usłyszenia kiedykolwiek tej muzyki. Dawajcie ognia, chłopcy. Prażcie ich dobrze — zachęcał.

Nagle pociąg zatrzymał się.

Dojrzano zoddali przedmiot jakiś, zawalający plant kolejowy.

Kilku żołnierzy wyskoczyło, aby zobaczyć przeszkodę.

Dzieci pustyni nasypały na relsy piasku i żwiru.

Upłynęło dobre dwadzieścia minut, zanim zdołano tor oczyścić.

Pociąg ruszył znowu — powoli, ostrożnie i znowu zaczęła się strzelanina, rozległy się wrzaski wściekłości.

Po pewnym czasie musiano pociąg zatrzymać ponownie, gdyż w jednym miejscu podkopane były szyny.

Po usunięciu wielu przeszkód i niebezpieczeństw, pociąg stanął wreszcie pod osłoną wrzaskliwego obozu w Tanai-el-Hassan.

— Teraz pan już pojąłeś, dlaczego przejazd po tak krótkiej linii zajmuje półtorej godziny z górą — rzekł oficer.

— Żałuję bardzo, że to nie trwało dwa razy dłużej — zawołał Dick. — Toż to była rozkosz. Wyobrażam sobie, jak to musiało wyglądać wspaniale!

— Po kilku takich przeprawach, nie zachwycałbyś się pan tym widokiem. Ale, ale, jak pan zdasz muły, zajdź do mojego namiotu. Może się tam co znajdzie do zjedzenia. Jestem Bennil z 4-go pułku strzelców. A idąc, uważaj pan, żebyś po ciemku nie potknął się o liny mojego namiotu.

Dla Dicka panowały ciemności ustawiczne.

Mógł poznać po zapachu jedynie — wielbłądy, namioty, kotły z warzącą się w nich strawą.

Po wyjściu z wagonu znalazł się osamotniony, wśród ogólnego ruchu i wrzawy.

Z całych sił przywoływał Jerzego.

Z ostatnich wagonów dolatywały wrzaski i uderzenia kopyt o żelazną podłogę.

Jerzy wyładowywał muły.

Lokomotywa wyrzucała z siebie parę, sycząc nad samem prawie uchem Dicka.

Chłodny wiatr pustyni wionął mu po nogach.

Dick był głodny, a przytem zmęczony okropnie; czuł także, że musi być strasznie brudny, próbował strząsnąć ręką kurz z ubrania, lecz trud to był daremny.

Wsunął zatem ręce w kieszenie i zaczął sobie przypominać, ile razy w życiu swem czekał tak samo jak teraz, w najrozmaitszych miejscach kuli ziemskiej: na pociągi, wielbłądy, konie lub muły.

W owych czasach jeszcze widział a nawet miał wzrok tak bystry, jakim mało kto mógł się poszczycić.

Widok zbrojnego obozu, spożywającego wieczerzę w świetle gwiazd, pod gołem niebem, stanowił zawsze uciechę dla oka artysty.

Były tam barwy, światło, życie, jednem słowem to wszystko, co jest niezbędnem dla szczęścia.

Obecnie czekała go jeszcze jedna przeprawa wśród ustawicznych ciemności; potem miał się połączyć z jedynym człowiekiem na świecie, który dbał trochę o niego.

Dick myślał o tem, jak uściśnie rękę Torpenhowa — Torpenhowa, który był zdrów i silny i smażył się w piekle wojennym, w którem niegdyś pozyskał sobie sławę, człowiek, zwany Dickiem Heldar: a nie należało brać za jedno z ślepym, ogłupiałym włóczęgą, odpowiadającym temu samemu imieniu i nazwisku.

Tak, odnajdzie Torpenhowa i zbliży się, o ile możności, do dawnego życia, a wtedy zapomni o wszystkiem — o Bessie, która zniszczyła Melancholię i o mały włos nie złamała mu życia; o Beetonie, który mieszkał w dziwnem, nieprawdopodobnem mieście, z gazometrami, latarniami, wodociągami, jednem

słowem z mnóstwem rzeczy, niepotrzebnych nikomu; zapomni o jakiejś nieznanej sobie zupełnie a dziwacznej istocie, która darzyła go bezinteresownie miłością i poświęceniem, lecz na ofercie nie podpisała swego nazwiska; a przedewszystkiem zapomni o Maisie, która miała słuszność we wszystkiem co czyniła, a była przytem tak piękną, tak ponętną — oh! jedyną na świecie i ukochaną!

Z krainy wspomnień ściągnął Dicka Jerzy, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Co pan teraz ze sobą pocznie? — zapytał.

— Istotnie, trzeba się nad tem zastanowić. Prowadź mnie do szeików, wynajmujących wielbłądy. Wiem, że siadają zwykle przy ogniskach. Wielbłądy jedzą siano, rzucone na duże płótna, a ludzie posilają się, obok, nie o wiele wykwintniej. Prowadź mnie tam.

Obóz roztasowany był na gruncie nierównym, stratowanym od kopyt, racic bydlęcych i nóg ludzkich, Dick kilkakrotnie zawadzał o pnie, do których przytwierdzone były namioty, a raz nawet upadł na dobre.

Szeik, otoczony przewodnikami, siedział istotnie przy wielbłądach.

Światło ognisk padało na ich twarze ogorzałe, brodate.

Dick nie życzył sobie jechać przez pustynię z oddziałem, wysyłanym na zwiady, bał się pytań i indagacyj wojennych; ponieważ człowiek ociemniały, nie mogący przyjąć udziału w walce, nie jest wcale potrzebnym ani pożądanym wśród walczących szeregów, prawdopodobnie zmuszonoby go, aby powrócił do Suakinu.

Dick postanowił zatem wyruszyć oddzielnie.

— Pokój z wami, bracia — rzekł, zwracając się do właścicieli wielbłądów.

Troskliwy Jerzy podprowadził go do najbliższego ogniska.

Szeik z wielką powagą i namaszczeniem pochylił głowę, wielbłądy, zwęszywszy Europejczyka, poruszyły się, gotowe powstać za lada skinieniem.

— Potrzebuję wielbląda z przewodnikiem, któryby mnie zawiózł dziś jeszcze na miejsce, gdzie się biją— oświadczył Dick.

— Mulaida? — odezwał się głos jakiś, wymieniając opryskliwie najgorszą rasę.

— Bisharina — odparł Dick ostro.

Upłynęło parę minut. Szeik namyślał się.

— Nie wyruszymy na noc — mówili przewodnicy. — Niepodobna wydostać się z obozu.

— Nawet za pieniądze?

— Hm! Ah! Za pieniądze angielskie?

Znowu zaległa cisza. Szeik zastanawiał się, rozważał korzyści.

— Ile? — zapytał wreszcie.

— Dwadzieścia pięć funtów angielskich, płatnych na ręce przewodnika przy końcu podróży i tyleż na ręce szeika tutaj, płatnych dopiero, po powrocie przewodnika.

Była to zapłata królewska.

Szeik wahał się coraz mniej.

— Pięćdziesiąt funtów do zarobienia na czysto w ciągu jednej nocy. Za te pieniądze można mieć ziemie i studnie i żony i spokój do końca życia.... No, zgadzacie się? — kusił Dick.

— Ja gotów jestem jechać, ale niepodobna wydostać się z obozu — odezwał się jeden z przewodników.

— Głupcze! To już twoja rzecz. Dwadzieścia pięć funtów zaraz i drugie dwadzieścia pięć funtów potem, to nie do pogardzenia. Ale wielbląd musi być biszarińskim. Nie wezmę pociągowego.

Zaczęły się targi; po półgodzinnej wrzawie, pierwsza rata została wypłacona na ręce szeika.

Ten głosem przyciszonym dawał jakieś wskazówki przewodnikowi.

Dick dosłyszał odpowiedź tego ostatniego.

— Rozumiem, odwiozę go kawałek drogi i porzucę.... Dobry będzie pierwszy lepszy wielbląd. Ktoby tam marnował porządne bydlę dla takiego ślepca!

— Ja wprawdzie nie widzę — zawołał Dick głosem podniesionym — ale ten oto rewolwer ma aż sześć oczu. Przewodnik siądzie przedemną. Jeśli nie dotrzemy do wojska angielskiego o świcie, położę go trupem na miejscu.

— Ale gdzież, u Boga, są wojska?

— Jeżeli ty nie wiesz, to niech jedzie inny. Ale pamiętajcie, że to nie żarty. Chodzi o śmierć lub życie.

— Wiem — odparł przewodnik ponuro. — Odstąp pan trochę, muszę wypuścić wielbłąda.

— Nie tak prędko. Jerzy, przytrzymaj łeb. Chcę pysk pomacać.

Dick wodził ręką po łbie, aż natrafił na wypalone w półkole piętno, będące odznaką biszarińskiego, szybkonogiego wielbłąda do jazdy pod wierzch.

— Dobrze — rzekł — odwiąż mi tego, a pamiętaj, że przekleństwo Boże ciąży na tych, co oszukują niewidomych.

Ludzie, siedzący przy ognisku, zaśmieli się z szeika, którego spotkał przykry zawód.

Próbował on, zamiast lekkiego Biszarina, dać powolne zwierzę do przewozu ładunków.

— Odstąp — zawołał przewodnik, smagnął batem wielbłąda i odwiązał przytrzymujący go powróz.

— Illaha! Aho! — zabrzmiał okrzyk z kilkunastu piersi.

Biszariński wielbłąd chrapnął, zachwiał się całem ciałem, podniósł na nogi i z wyciągniętą szyją popędził naprzód w stronę pustyni.

Przewodnik biegł za nim z głośnym lamentem.

Jerzy wziął Dicka pod rękę i prowadził go około żołnierzy, stojących na straży.

— Co tam znowu? — zawołał jeden z nich.

— Biegnę za tym oto wielbłądem, bo urwał się i popędził z całą moją garderobą. Mój Boże co ja teraz pocznę! — wołał Dick z udaną desperacyą.

— No, no, możesz za nim pogonić; uważaj jednak, aby nie poderżnięto gardzieli tobie i twemu dromaderowi na pustni.

Wrzaski i lamentacye ucichły natychmiast, gdy wzgórze zakryło wielbłąda przed oczyma straży.

Przewodnik przyzwał go do siebie gwizdnięciem i kazał mu przyklęknąć!

— Siadaj pierwszy — rzekł Dick, a gdy rozkaz ten został spełniony, sam zajął miejsce z tyłu i przyłożył do pleców swego towarzysza rewolwer. — Ruszaj w imię Boga, a szybko — zawołał. — Żegnaj, Jerzy. Przypomnij mnie pamięci madame Binat. Życzę ci, żebyś był szczęśliwy z twoją dziewczyną. No dalejże, jazda.

W kilka chwil potem, nakoło Dicka zapanowała cisza grobowa, przerywana tylko tętentem kopyt szybkonogiego wielbłąda, który zdawał się nie biedz, lecz płynąć, jak istny „okręt pustyni.“

Przez całą godzinę obaj ludzie nie odezwali się do siebie ani razu.

Dick czuł, że musieli oddalić się już znacznie od obozu.

— Wspaniałe zwierzę! — szepnął.

— To pewna! drugiego takiego nieprędko pan znajdzie. Sam go wychowałem, a wiem jak się wielbłądami obchodzić — odburknął przewodnik z widocznem do swego wychowanka przywiązaniem.

— Pędź dalej!

Dick zwiesił głowę na piersi i usiłował myśli zebrać, lecz plątały mu się coraz bardziej; czuł się zmęczonym i śpiącym.

Zdrzemnął się na chwilę; zdało mu się, że jest małym chłopcem i że mistress Jannett, za pokutę, kazała mu się nauczyć hymnu na pamięć.

Dopuścił się był jakiejś zbrodni — zbił szklankę czy też spodek i został zamknięty na klucz w pokoju sypialnym.

Na stole leżała książka z hymnami; w żaden sposób jednak nie mógł nauczyć się więcej, jak te dwa wiersze:

„Gdy Izrael, ukochany przez Pana,
Wychodził z ziemi niewoli.“

Wiersze te powtarzał po tysiąc razy, i coraz mniej zdawał sobie sprawy z ich znaczenia.

Przewodnik, widząc, że towarzysz jego się nie porusza, odwrócił się, aby zobaczyć, czy możnaby wyrwać mu rewolwer z ręki i zakończyć tę, tak przykrą dla siebie, podróż.

Dick, słysząc poruszenie swego towarzysza, ocknął się odrazu; uderzył go pięścią w głowę i w jednej chwili z krainy pół-snu, powrócił do świadomości zupełnej.

Ktoś zaczajony po za piaszczystym pagórkiem, w chwili tej dał wystrzał do mknącego obok wielbłąda; lecz kula świsnęła tylko nad uszami jeźdźców i padła o kilka kroków dalej.

Znowu zaległa cisza, usposabiająca do snu.

I znowu Dick nie mógł zebrać myśli; drzemał, od czasu do czasu się kiwając, siłą woli się budził i trącał towarzysza swego rewolwerem, aby mu dać poznać, że jest zupełnie trzeźwym.

— Czy jest na niebie księżyc? — zapytał ponuro.

— Teraz właśnie wschodzić zaczyna.

— Żałuję, że go widzieć nie mogę. Zatrzymaj wielbłąda. Niech przynajmniej usłyszę głos pustyni.

Przewodnik usłuchał.

Wśród uroczystej ciszy wionął wietrzyk, poruszył spieczone liście jakiejś krzewiny i ucichł.

— Jedź dalej — rzekł Dick — noc chłodna.

Ci, którzy czuwali do rana, wiedzą dobrze jak długą wydaje się zawsze ostatnia godzina przed świtem.

Dick myślał, że nigdy już się dnia nie doczeka; dla skrócenia sobie czasu, liczył po sto, i tysiąc razy gwoździe, ponabijane w siodle.

Zdało mu się, że liczy już wieki, że zaczął, zanim jeszcze rozproszyły się ciemności, świat ogarniające przed stworzeniem.

Chwilami zdawało mu się, że jest w Londynie i stoi przed stalugą, a widzi daleko, bardzo daleko, na tysiące mil.

Rękę podnosił dla namalowania cichej, bezbrzeżnej pustyni oświetlonej promieniami księżyca, mknącego po niej wielbłąda i pochylonych nad jego grzbietem dwóch ludzkich postaci; lecz gdy chciał to przelać na płótno, poznawał, że zamiast pędzla trzyma w ręku rewolwer, a zamiast stalugi ma przed sobą plecy przewodnika.

Przekonywał się przytem, że nic nie widzi — ani pustyni, ani nieba oświetlonego księżycem, ani wielbłąda, ani owych dwóch postaci.

Przewodnik poruszył się.

Dick uczuł zmianę w powietrzu.

— Świta — szepnął.

— Dojeżdżamy, widać już wojska. Czy dobrze się sprawiłem? — pytał przewodnik.

Wielbłąd wysunął szyję i zarżał, wiatr bowiem przyniósł mu zapach, właściwy jego towarzyszom.

— Jedź dalej. Naprzód, naprzód, a żywo!

— Obóz już się rusza, ale tyle kurzu naokoło, że nie mogę dojrzeć, co tam robią.

— I ja również. Jedź dalej!

Słychać już było szmer ludzkiej mowy, pojedyncze okrzyki, chrapanie zwierząt, wrzaski żołnierzy.

Rozległy się dwa wystrzały, jeden po drugim.

— Czy to do nas? — pytał Dick. — Naturalnie nie mogą widzieć, że jestem Anglikiem — dodał ze złością.

— Nie, to z pustyni — odparł przewodnik, wylękniony.

— Jedź dalej, moje dziecię, jedź dalej. Dobrze, że świt nie wskazał nas oczom ich przed godziną.

Wielbłąd mknął wprost do obozu, po za nim coraz częściej świstały kule.

Dzieci pustyni gotowały się do napadnięcia na obóz angielski o świcie, tymczasem za cel pocisków służył im jedyny ruchomy przedmiot na pustyni.

— Co za szczęście! Co za niespodziewane szczęście! — mówił Dick do siebie. — Przybywam przed samą bitwą. O matko

moja! to tyś mi uprosiła szczęście takie u Boga.... Oh! tak Bóg dobry, bardzo dobry... szkoda tylko — zapomniany ból odezwał się z piersi.... — Maisie — szepnął kaleka — Maisie najdroższa!

— Allahu! Stanęliśmy na miejscu! — zawołał przewodnik, wjeżdżając w obręb obozu.

Wielbłąd zgiął kolana.

— Coś za jeden, u licha?

— Z depeszami?

— Jaka jest siła nieprzyjaciela?

— Jakżeś się przedostał?

Zarzucono pytaniami nowoprzybyłego.

Za całą odpowiedź, Dick wciągnął w piersi dużo, bardzo dużo powietrza, przesiąkniętego upragnioną wonią obozu i pustyni, odwiązał pasa i zawołał z siodła głosem zmęczonym, ochrypłym:

— Torpenhow! Ohe, Torp! Coo-ee, Tor-pen-how!

Brodaty, rudowłosy mężczyzna, rozgrzebujący właśnie popiół, dla zapalenia papierosa, na okrzyk ten zerwał się i biegł w stronę, zkąd głos dochodził.

Przednie straże ostrzeliwały ukrytego po za piaszczystemi pagórkami nieprzyjacielami.

Z po za wzgórzy nie ustawała także pukanina.

Proch i dym zasłaniał oczy Torpowi, biegł jednak naprzód.

Nagle potknął się o leżącego na ziemi wielbłąda.

W chwili tej zwierzę zaskomlało żałośnie i przechyliło się na bok.

Rozległ się znowu świst kuli, potem przedśmiertny okrzyk trafionego nią człowieka.

Człowiekiem tym był Dick.

Nie było czas na pytania.

— Zeskocz. Ukryj się po za wielbłądem — rzekł Torpenhow, zbliżając się do rannego.

— Oh! nie. Prowadź mnie naprzód, na same czoło wojska.

Dick odwrócił się twarzą do Torpenhowa i podniósł rękę, aby poprawić hełm na głowie.

Torpenhow zobaczył, że przyjacie jego ma włosy zupełnie siwe na skroniach i twarz starca.

— Złaź-że, waryacie. Dickie, zejdź z wielbląda!

Dick chciał go usłuchać, lecz, jak drzewo, podcięte siekierą, stoczył się pod nogi Torpenhowa.

Szczęście dopisało mu do końca, modlitwy matki sprawiły, iż kula trafiła go w samą głowę.

Torpenhow przykląkł i podniósł z ziemi — trupa.

KONIEC.

Drugie zakończenie.*)

ROZDZIAŁ XVI. **)

Za przybyciem do Londynu, poproszono ją grzecznie, aby poczekała w dużej sieni starego jakiegoś domu.

Przewodnik jej wbiegł na schody, dla powzięcia jakichś wiadomości.

I znowu, myśl, że jest traktowaną jak niegrzeczna dziewczynka, wywołała płomień oburzenia na jej policzki.

Torpenhow zaprowadził Maisie przed drzwi zamknięte, które otworzyła bardzo cichutko.

Dick siedział przy oknie, z głową na piersi zwieszoną.

Przed nim leżały trzy koperty; wciąż je obracał i z ręki do ręki przekładał, pieszcząc je jakby.

Olbrzyma, wydającego rozkazy, nie było już przy boku Maisie; drzwi od pracowni zawarły się za nią.

---

*) Wedle uczynionej czytelnikom naszym obietnicy, powieść niniejszą drukujemy z dwoma zakończeniami. Kipling, chcąc zadowolnić gust mniej wykwintnej publiczności, domagającej się zazwyczaj, aby Numa wyszła za Pompiliusza, w drugiem wydaniu swej ślicznej powieści skojarzył Maisie z Dickiem, wyrzucając po mistrzowsku skreślone zawody i bóle ociemniałego artysty, jego przeprawę do obozu Tanai-el-Hassan i śmierć tragiczną, a tak pożądaną przez tego, dla którego światło i szczęście zagasło już na zawsze.

(Przypisek tłómaczki.)

**) Patrz str. 169.

Usłyszawszy skrzypnięcie ich, Dick wsunął pospiesznie listy do kieszeni.

— Hola! Torp! To ty? Było mi tak źle i smutno bez ciebie!

Głos jego miał właściwą ociemniałym bezdźwięczność.

Maisie wsunęła się w najdalszy kącik pokoju.

Serce jej biło gwałtownie, przyłożyła rękę do piersi, aby stłumić jego tętno.

Dick miał wzrok zwrócony w jej stronę; po raz pierwszy zdała sobie dokładnie sprawę z tego, co to jest być ociemniałym.

Zamykać oczy w wagonie, aby je otworzyć za chwilę, było dziecinną igraszką.

Człowiek ten był niewidomym, choć oczy miał rozwarte szeroko.

— Torp, czy to ty?

Dicka gniewało widocznie i krępowało to przedłużające się milczenie.

— Nie, to tylko ja — brzmiała odpowiedź, wyszeptana bardzo cichutko.

Maisie zaledwie mogła ustami poruszać.

— Hm! — mruknął Dick, zaniepokojony. — To coś nowego. Dotychczas widzieć nie mogłem, ale przynajmniej słyszałem doskonale.

...Czyż był nietylko ociemniałym, ale i obłąkanym, że tak mówił do siebie?

Serce Maisie zabiło jeszcze silniej, jeszcze lękliwiej.

Dick powstał i szedł przez pokój, z rękami wyciągniętemi, dotykając każdego przedmiotu po drodze.

Raz zawadził nogą o chodnik, zaklął i schylił się, aby namacać tę przeszkodę.

Maisie przypomniała go sobie, kroczącego po Parku z taką miną, jak gdyby cały świat należał do niego.

Niedalej jak przed dwoma miesiącami przebiegał wzdłuż i wszerz jej pracownię i przeskakiwał po schodach na pomoście statku w Duwrze.

Nogi drżały pod Maisie, bliską była omdlenia, a Dick zbliżał się coraz bardziej, wiedziony jej przyspieszonym oddechem.

Machinalnie wyciągnęła rękę: aby go ochronić od upadku, lub zeby go do siebie przyciągnąć — sama nie wiedziała co powoduje ów odruch.

Dotknęła jego piersi, cofnął się, jak gdyby został kulą rażony.

— To Maisie — szepnął, a głos jego podobny był do łkania. — Co ty tutaj robisz?

— Przyjechałam, przyjechałam... do ciebie.

Dick zagryzł usta do krwi.

— Może usiądziesz — rzekł po chwili. — Jak widzisz, miałem biedę z oczami.

— Wiem. Wiem. Dlaczegożeś mi nie dał znać?

— Nie mogłem napisać.

— Mogłeś polecić to panu Torpenhow.

— Cóż mu do moich spraw?

— On... on przywiózł mnie z Vitry-sur-Marne. Mówił, że powinnam być przy tobie.

— Co się stało? Czy mogę ci w czem pomódz. Nie, nie mogę... zapomniałem....

— Oh! Dick! Żal mi cię bardzo. Och! jak żal! Poczekaj.... Podprowadzę cię do krzesła.

— Oh! nie! Nie jestem dzieckiem. Robisz to tylko z litości. ...Nigdy nie byłbym ci o tem powiedział. Jestem już teraz do niczego. Wszystko już skończone dla mnie na zawsze. Pozostaw mnie samemu sobie.

Dowlókł się do fotelu, był cały zadyszany.

Maisie patrzała na niego z oczyma łez pełnemi.

Opuściła już ją zupełnie obawa.

— Nie, nie pozostawię cię — rzekła, siadając na poręczy fotela. — Teraz do mnie należysz. Przyjechałam tu, aby cię zabrać na własność, nikomu cię nie odstąpię i... i...

Łzy nie pozwoliły jej dokończyć.

Płakała cicho, jak dziecię, oparłszy główkę o jego ramię.

Dick drżał ze wzruszenia; odwrócił się, aby Maisie nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy.

— Dickie, nie zechcesz przecież być samolubem. Mnie tak przykro! Tak żałuję! Przyjechałam tu naumyślnie...

— Zostaw mnie lepiej mojemu smutnemu losowi. Żałowałabyś jeszcze bardziej tego, co terąz chcesz dla mnie uczynić.

— Oh! nie, nigdy.

Pochyliła się i coś mu szepnęła na ucho.

Po pierwszych łzach, jakie wylała w życiu, nastąpiła w niej dziwna zmiana.

Teraz dopiero zrozumiała, że kocha tego nieszczęśliwego, niedołężnego kalekę, że darzy go całem uczuciem, jakie odmawiała zdrowemu, pełnemu życia Dickowi.

— Mój najdroższy — szepnęła, a uśmiech rozświecił jej twarzyczkę, jak tęcza spłakane niebo. — Możesz się na mnie gniewać, możesz mnie odtrącać, ja już cię teraz nie opuszczę, nie odstąpię cię ani na krok jeden. Byłam okrutną, nielitościwą. Wstyd mi siebie samej. Czy mam na klęczkach błagać cię o przebaczenie? Dickie, nie bądź-że dziecinnym. Po co się upierasz? Wiem przecież, że mnie zawsze kochasz.

— O tak, kocham cię. Bóg jeden wie jak szczerze, jak gorąco!

— A więc dlaczegoś udawał? — rzekła z wyrzutem. — Czy przypominasz sobie nasze pożegnanie na statku w Duwrze? Weź teraz to, co ci wówczas dawałam tak niechętnie — szepnęła, z rumieńcem zakłopotania. — Oh! Dickie, dopomóż mi. Nie mogę przecież mówić sama o naszej wspólnej miłości

Ten ostatni argument obalił resztę skrupułów.

Maisie znalazła się nagle w objęciach Dicka.

Upusty łez otworzyły się znowu.

— Cicho, najdroższa, cicho — uspakajał ją — nie płakać, lecz śmiać się nam należy.

— Oddawna mogliśmy być szczęśliwi. To była moja wina,

moja... zmarnowaliśmy tyle czasu!... I teraz ja... ja musiałam ci się oświadczyć pierwsza.... To okropne!

— Ślepy wielbiciel jest na prawach wyjątkowych.

— Oh! nie mów tak. Nie używaj nigdy tego słowa.

— A jednak określa ono jasno wzajemny nasz stosunek. Oddałbym wszystko na świecie, oprócz ciebie, najdroższa, aby módz widzieć w tej chwili twoją słodką twarzyczkę. Ale, jak to już powiedziałem: jestem ślepy.

— Cóż to znaczy? — szepnęła, tuląc się do ukochanego.— Posłuchaj mnie. Sam mówiłeś przecież, że dziesięć lat, to chwila... A czy przypominasz sobie, jak dziesięć lat temu, nad brzegiem morza, bawiliśmy się rewolwerem.... Włosy mi się rozwiały i przysłoniły ci oczy.

Dick powiódł rękoma po jej włosach, szukając szpilek i wyjął je ostrożnie.

Długie sploty Maisie osunęły mu się na powieki.

— Choćbyś miał wzrok najlepszy, nie mógłbyś teraz widzieć — mówiła dalej. — Przypuśćmy więc, że wzrok ci przyciemnia nie co innego, tylko moje włosy, a to nie na chwilę, ale przez lata całe, przez lat pięćdziesiąt, sześćdziesiąt.... Pięćdziesiąt lat, to pięć razy tylko po lat dziesięć, a sam powiedziałeś, że dziesięć lat, to chwila... Czy uznajesz, że mam słuszność, najdroższy, czy mnie rozumiesz?

Wstrząsnęła włosami, jakby chciała powiększyć jeszcze ciemności i dar kombinacyjny Dicka.

— Rozumiem — odparł, uradowany. — Oh! co to za szczęście dla mnie, żeś wróciła!

— Większem jeszcze szczęściem dla mnie było powrócić.

I opowiadali sobie nawzajem o tem szczęściu... z przerwami, i tworzyli projekta na przyszłość... z przerwami również; czas przestał dla nich istnieć, aż wreszcie Maisie rzekła:

— Dowidzenia, najdroższy, muszę iść załatwić pewną ważną sprawę. Muszę być „stroną?“

— Co przez to rozumiesz, najdroższa?

— Znam chłopca — mówiła Maisie, trzymając w zębach

szpilkę od włosów i poprawiając sobie warkocze — znam chłopca, który dawno, bardzo dawno, ze dwa miesiące temu, chciał mnie prowadzić do urzędu stanu cywilnego i spisać kontrakt ślubny. Powiadał wówczas, że jedna ze „stron“ musi uwiadomić poprzednio urzędnika. Otóż idę kupić sobie gęstą woalkę, i będę ową „stroną.“ Jak to miło myśleć i krzątać się za dwoje!

— Znam i ja tego chłopca — rzekł Dick. — Szkoda, że w swoim czasie nie pozwoliłaś mu zakrzątnąć się około tego!

— O! szkoda! szkoda nieodżałowana. Za to mnie wybijesz po ślubie. Zasłużyłam na dobre cięgi! Oh! Dick byłam taka zła, taka okrutna, z tą moją obojętnością i z ową przebrzydłą Melancholią....

— Ah! prawda, to mi przypomina coś, o czem zapomniałem zupełnie.... Bo to trzeba ci wiedzieć, żem malował także Melancholię, zanim zostałem....

— Oh! nie, nie wymawiaj tego słowa.

— A więc, zanim... przejrzałem. Obraz ten stoi gdzieś w kącie. W swoim czasie podobał mi się ogromnie. I cóż ty o nim powiadasz?

Mówił to tym samym głosem, z jakim niegdyś, w Parku, opowiadał jej o swoich walkach i tryumfach — z zaufaniem w swój talent olbrzymi.

— Czy to jest to zasłonięte płótno na stalugach?

— Tak... No i cóż?

Dick pytał wesoło, wiedząc, że to najlepsze jego dzieło.

Maisie odsłoniła obraz i zobaczyła jakąś jaskrawą bazgraninę bez żadnych konturów.

Widocznie ktoś zeskrobał świeżą farbę nożem. Była to jakaś zemsta okropna, której przyczyny Maisie pojąć nie mogła, lecz postanowiła nie dać poznać Dickowi, co się stało z jego dziełem.

— Oh! Dick, jakie to piękne! — zawołała, z tłumionem łkaniem.

Dick usłyszał to łkanie i wziął je za hołd sobie należny.

— Wiedziałem, że ci się to podoba — rzekł, uśmiechając się do niej.

Maisie zaledwie mogła zapanować nad swem wzruszeniem, lecz walczyła z niem dzielnie, ze względu na ukochanego.

Na pożegnanie przytuliła się znowu do jego piersi.

— Dickie — szeptała, obejmując go za szyję — Dickie, czy sądzisz, że gdy kobieta kocha prawdziwie mężczyznę, to dla jego arcydzieł.... Nie, ona go kocha dla niego, dla niego samego.... No, a teraz muszę już uciekać.... Czy pozwolisz mi zanucić na schodach?

Mówiła to naumyślnie, aby mu zrobić przyjemność, bo w duszy było jej smutno, bardzo smutno.

Żałowała lat zmarnowanych, i owego zniszczonego płótna, które Dick do końca życia powinien był uważać za swoje arcydzieło.

Torpenhow nie pokazał się na korytarzu, ani na schodach.

— To bardzo delikatnie z jego strony — pomyślała Maisie. Zbiegła cichutko i wsiadłszy do dorożki, kazała się zawieść do swojej pracowni.

Potrzebowała spokoju dla przyprowadzenia do porządku uczuć i myśli.

— Hola! — zawołał Torp, wchodząc do pokoju, w dwie godziny potem. — Wróciłem już. Jakże się czujesz?

— Torp, chodź-no tutaj. Nie wiem doprawdy, co ci powiedzieć — rzekł Dick głosem drżącym.

— Co tu mówić, wstawaj i skacz z radości!

Torpenhow był uszczęśliwiony.

Zaczęli, jak zwykle, chodzić po pokoju, ręka w rękę.

— Jakimże sposobem, u licha, dowiedziałeś się o wszystkiem? — zapytał Dick rozpromieniony.

— Jeżeli chcesz mieć tajemnice, nie dostawaj gorączki. Było to bardzo niedyskretnie z mojej strony, ale gdybyś mnie był widział cwałującym na francuskiej szkapie kawaleryjskiej,

po okropnym upale, ręczę, że śmiałbyś się na całe gardło.... Będzie dziś hałas w moim pokoju. Zbierze się nas siedmiu....

— Wiem... korespondenci wojenni już ściągnęli. W Sudanie południowym wybuchły zamieszki. Przed kilku dniami słyszałem ich narady i czułem się okropnie nieszczęśliwym. Czyś się już zdecydował na wyjazd? Z kim wszedłeś w układy?

— Nie przyjąłem dotychczas żadnego zobowiązania. Chciałem wpierw zobaczyć, jaki obrót wezmą twoje sprawy.

— Czy byłbyś ze mną pozostał, gdyby... gdyby rzeczy nie poszły po twojej myśli?

— Nie żądaj odemnie odpowiedzi. Jestem tylko człowiekiem.

— Bardzo skutecznie starałeś się być aniołem.

— Cóż znowu!... Czy chcesz być obecnym dziś przy naradach? Jutro połowa ich już się rozpierzchnie. Wszyscy są pewni wojny.

— Naturalnie, że przyjdę. Dawne życie ma jeszcze dla mnie pewien urok.

Owego wieczora straszny był hałas na schodach.

Korespondenci przybywali do Torpenhowa z teatru, z obiadów, z koncertów, aby obgadać plan przyszłej i niezawodnej kampanii.

Torpenhow, Keneu i Nilghai zaprosili wszystkich dawnych towarzyszów na ucztę.

Mister Beeton, rządca domu, oświadczył, że w żuciu swem nie widział tak hałaśliwego grona *gentlemen'ów*.

W całym domu było ich słychać. Nikt z lokatorów nie mógł zmrużyć oka:

Śpiewali, krzyczeli, biegali po pokoju, a starsi nie byli lepsi, ani spokojniejsi od młodych.

Nie dziw: czekała ich wojna, a każdy z nich wiedział, jak się dla niego skończyć może.

W chwili gdy hałas był największy, do pokoju wszedł Dick z wyrazem nieopisanego szczęścia na twarzy.

Wszyscy zwrócili oczy na niego.

— Biedni gladyatorowie! — zawołał z udaną pogardą. — Żyjecie po to tylko, aby opisywać, kto umra tam, na piaskach pustyni. Połowy was od dziś za rok nie będzie. Sudan jest zabójczy dla specyalnych korespondentów.

— *Ave Imperator! te morituri salutant!* — rzekł Keneu — siadaj na fotelu i daj pokój morałom. Publiczność potrzebuje naszych usług.

— Ale, ale, cóż teraz owa publiczność powiada o mnie?

— Gazety przed sześciu tygodniami ubolewały nad utratą wzroku tak zdolnego malarza. Dziś wszyscy zapomnieli już o tobie.

— Słodka wdzięczności! Ha! jest mi to już zupełnie obojętnem. To zresztą naturalny porządek rzeczy. Dawajcie kieliszek. Niech żyje Miłość i Hymen!

KONIEC.